

3
4

IGH

D

INT

W KRAJU ARPADA.

W. KRZYSZTOF ARPAJA

WYDAWCA: WYDZIAŁ HISTORII I SOCJOLOGII
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

WYDZIAŁ HISTORII I SOCJOLOGII
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

WYDZIAŁ HISTORII I SOCJOLOGII
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

W KRAJU ARPADA.

Wedle własnych wspomnień

NAKREŚLIŁ

Wład. Kor. Zieliński.

WARSZAWA.

Nakład Filipa Sulimierskiego. Ś.-Krzyżka Nr. 17.

1882.

<http://rcin.org.pl>

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ,
Дня 19 *Июля* 1882 года



4

Drukiem „Wiek”
Nowy Świat Nr. 59.

<http://rcin.org.pl>
NH 40643/15

Alojzemu Piotrowi Hrabieemu

ZORZI.

SEKRETARZOWI MIEJSKIEGO MUZEUM „CORRER“ W
WENKCYI, CZŁONKOWI KORESPONDENTOWI PANTEONU
I CZŁONKOWI HONOROWEMU AKADEMII ŚW. ŁUKASZA
W RZYMIE, TOWARZYSTWA OPIEKI NAD POMNIKAMI
STAROŻYTNYMI W LONDYNIE, KOMITETU OPIEKI NAD
BAZYLIKĄ ŚW. MARKA, TOWARZYSTWA ARCHEOLOGICZNEGO
FRANCUSKIEGO W PARYŻU,
i t. d., i t. d.

Życzliwemu przyjacielowi

poświęca

Autor.

ALMA MATER

NO. 1

THE ALMA MATER OF THE UNIVERSITY OF MICHIGAN
PUBLISHED BY THE ALMA MATER SOCIETY
OF THE UNIVERSITY OF MICHIGAN
ANN ARBOR, MICHIGAN
1901

WSTĘP.

Już od lat wielu nosiłem się z myślą przyswojenia literaturze naszej dziejów Węgier, tak znakomicie i wyczerpująco napisanych przez Horvata, lecz różne i nieprzewidziane przeszkody stawały temu na zawadzie, i dziś, pozostawiając wykonanie powziętego zamiaru na czas późniejszy, przystąpiłem do opisanja téj części kraju synów Arpada, w której czas dłuższy przebywając bliżej się z nią poznałem.

Tak dzieje same jakotéz i kraj cały na zwiedzającym, niezmiernie budzą zajęcie, które tem większe się staje, gdy przypomnimy sobie, że od zarania dziejów naszych, dzieje Węgier są z niemi niejako połączone a w wielu razach wzajemnie się uzupełniają.

Węgry właściwe z banacko-serbskim okręgiem wojskowym liczące dziś 4094, ,,4 mil kw. były rzymianom znane pod nazwą: Pannonia i za Augusta stawszy się rzymską prowincją, od III wieku były krajem, w którym germańskie, słowiańskie i tatarskie migra-

cyjne plemiona w pochodach swoich zatrzymywały się odpoczywając tu chwilowo. Część znaczna tych narodów osiadła tu stale.

Dzieje właściwe Węgier rozpoczynają się z chwilą przybycia i osiedlenia się Magyarów, co w połowie IX stulecia nastąpiło. Dzieje te są nadzwyczaj barwne, mnogą ilością wypadków mających doniosłe znaczenie przepełnione i łączące się ściśle z dziejami innych państw Europy środkowej. Rozwój dziejów węgierskich przedstawia się jak wstęga barw tęczyowych. Rozwój tych dziejów uczy zarazem, jak kraj podległy straszliwym wstrząśnieniom, przy niespożytej sile i energii ducha, z upadku i rozstroju podnieść się i zakwitnąć może, nie tylko pod względem ekonomicznym lecz i politycznym.

Z rozwojem polityczno-ekonomicznym, Węgry, zawsze bogate ze względu na swe położenie klimatyczne, w drugiej połowie bieżącego wieku szczególnie szczęśliwie pod każdym względem rozwijać się poczęły i dalej na tej drodze rozwoju postępują.

R. 1871 wedle sprawozdań ministeryalnych na 2,206,187 dzieci obowiązanych do uczęszczania do szkół, uczęszczało 1,258,500, i w roku tym było 14550 szkół ludowych z 19,297 nauczycielami. Nadto tegoż roku w Węgrzech było 60 seminariów dla nauczycieli, 99 wyższych a 47 niższych gimnazyów, 11 wyższych a 17 niższych szkół realnych, 1 akademia handlowa, 1 politechnika, 1 uniwersytet i akademia umiejętności w Peszcie.

We trzy lata później szkół ludowych było już

15,384, Do roku 1875 liczba dzieci uczęszczających do szkół podniosła się na 70%, i przeciętnie jedna szkoła przypadała na 874 mieszkańców.

Z rozwojem oświaty rozwija się bardzo naturalnie i dobrobyt krajowy, tak pod względem rolniczym, przemysłowym, jakoteż i handlowym. Produkcya pokrywa wszelkie krajowe potrzeby. Uprawiają też tutaj w ogromnych ilościach kukurydzę, pszenicę, (najpiękniejszą i najbardziej poszukiwaną w Banacie), jęczmień, żyto, owies i proso, oprócz tego uprawiane są: rzepak, rośliny farbiarskie, strączkowe, cebulowate, melony, dynie, ogórki, rzodkiew, sałata, pieprz turecki, len i t. d. W rolnictwie najpiérwsze miejsce zajmuje uprawa tytoniu, którego rok rocznie $\frac{1}{2}$ miliona cetnarów w przecięciu Węgry produkują. Następnie największym bogactwem Węgiei są winnice, zajmujące 70 mil kw. i dostarczające przeciętnie 7 milionów wiader wina. Owoce najwyborniejsze jak słynne śliwy węgierskie, dalej brzoskwinie, morele, włoskie orzechy i t. d., stanowią także nie małą gałąź produkcyjną.

Ogromne łąki i pastwiska, obejmujące 1090 mil kw. kraju, przyczyniają się, że Węgry posiadają nadzwyczaj bogaty stan inwentarza rogatego i nierogatego: bo blisko 4,000,000 wołów i krów, 2,000,000 koni i przeszło 12,000,000 owiec. Drobiu idącego na handel eksportowy Węgry z nad dolnej Cisy produkują rocznie przeszło 3,000 cetnarów. Toż samo dzieje się i ze zwierzyną, a mianowicie dzikiem ptastwem i z rybami.

Do tych bogactw fauny węgierskiej przyłącza się jeszcze i bogactwo produktów kopalnianych; samego złota kopalnie węgierskie dostarczyły r. 1872 przeszło za 2,000,000 guldenów, srebra za 1,500,000 guld., miedzi 21,000 cetnarów, żelaza 2,500,000 cetnarów, a soli kamiennej pięć razy tyle ile Węgry spotrzebować mogą. Węgla kamiennego przeszło 28,000,000 cetnarów. Nie mówię już tu o innych produktach kopalnych jak: antymonie, ołowiu, cynku, o sodzie, alunie, glinie garncarskiej i porcelanie, marmurze, alabastrze, szlachetnym opalu, oleju skalnym, graficie i torfie, które to produkta, aczkolwiek w mniejszych ilościach wydobywane, znaczne jednak przynoszą korzyści.

Przemysł nie jest jeszcze bardzo rozwinięty w Węgrzech, istnieje tu bowiem tylko 2706 fabryk, poruszanych siłą pary, dla tego też zbywająca ilość produktów krajowych wywołała żywy ruch handlowy, który od r. 1851 znacznie się podniósł. W r. 1871 wartość towarów przywozowych wynosiła 472³/₄ mil. guld. a wywozowych 357⁶/₁₀ mil. guld., gdy w roku 1868 przywozu było za 319⁷/₁₀ mil. guld., a wywozu za 329³/₁₀. Komunikacją krajową stanowią koleje żelazne i rzek spławne jak Dunaj i Cisa.

Pod względem intelektualnym od czasu pierwszych zawiązków literatury magyarskiej, Węgrzy ogromny postęp uczynili. W XVI wieku widzimy zaczątki literatury węgierskiej w pracach Balassa, który po węgiersku pisać począł, gdyż dotąd pisano

tylko po łacinie. Dawniejsze zabytki literatury węgierskiej, pochodzące z XII do XVI w., ograniczają się na nielicznych fragmentach piśmiennictwa węgierskiego. Wiek XVII wydał kilku poetów jak Tinödi, Szegedi, Erdösi, Zriny, Liszti, Kóharu, Beniczky i Gyöngyösi. Wiek XVIII szczyć się zaczął wielką liczbą uczonych ludzi, i z ich też grona, szczególnie Faludi, Virag, Endrödi i Kazinczy, odznaczyli się pieśniami ludowymi, które do dziś jeszcze w uściech narodu żyją; między tymi poetami odznacza się szczególnie jeden, znany także jako znakomity historyk, Józef Katona. Na samym zaś początku świetnej epoki literatury węgierskiej XIX w., zabłysły imiona dwóch braci Aleksandra i Karola Kisfaludych; po nich to Węgry szczyć się zaczęły takimi poetami jak Uzczor, Uzokonai, Borzsényi, Kölcsey, i twórcą samostatnej węgierskiej literatury „Michałem Vorosmarty“ (1800—1855). Po nim szeregi poetów, powieściopisarzy i historyków z dniem każdym powiększać się zaczęły i coraz bardziej powiększają a w szeregach tych widzimy Aleksandra Petöfy, Jana Arany, N. Josika, Etvösa, M. Jokai'a, Jesaiasa Budai, Benedykta Virag, Horvath'a, Szalay'ego, Heltaia, Szalardiego, Kertbeny'ego, Vambery'ego i t. d.

Po ostatecznym uregulowaniu spraw politycznych z Węgrami, r. 1867, reskryptem Franciszka Józefa I nadaną została Węgrom oddzielna administracja krajowa. Wedle prawa węgierskiego, sprawy państwa winien załatwiać palatyn jako namiestnik królewski, lecz urząd ten dotąd nie jest obsa-

dzony, gdyż zakres działania polatyna nie został jeszcze unormowany. Obecnie więc krajem administrują ministerya: spraw wewnętrznych, wyznań i oświecania, rolnictwa, handlu i przemysłu, robót publicznych i komunikacyi, obrony krajowej, sprawiedliwości, finansów, ministerstwo kroacko-sławońskie i dworu królewskiego. Ostatnie ministerstwo jest niejako pośredniczącem między osobą króla i rządem austryackim z jednej strony, a ministerstwami węgierskimi z drugiej strony; podobnież zadanie ma i ministerstwo kroacko-sławońskie pośrednicząc między królem i ministerstwami węgierskimi z jednej strony, a kroacko-sławońskimi krajami z drugiej strony. Ministrowie są odpowiedzialni przed węgierską radą państwa; prawo oskarżenia ma izba reprezentantów, sprawy zaś rozstrzyga sąd wybrany z łona izby magnatów.

Pod względem administracyi politycznej kraj dzieli się na komitaty, dystrykty i wolne miasta. Węgry właściwe liczą 49 komitatów czyli hrabstw, 5 wolnych dystryktów i 48 królewskich miast. Każda wymieniona miejscowość tworzy odrębną municypalność, którą zawiaduje wydział municypalny. Na czele komitatów stoją nadzupani („Föispän“), na czele powiatów szeklerskich: wyższy sędzia królewski („Királyi föbiró“), na czele dystryktów: nadkapitan („Fökapitány). Tym władzom poddani są sędziowie powiatowi (Kerület biró), którzy zajmują się sprawami powiatów. Dla wymiaru sprawiedliwości istnieją liczne sądy. Najwyższą instancją w Węgrzech jest „Curia

regis“ albo „Tabula septemviralis“, rezydująca w Peszcie. Obrona kraju powierzona jest wojsku krajowemu zwanemu „Honved“ i pospolitemu ruszeniu. Honwedzi dzielą się na pułki piesze, konnicę i artyleryą, na czele tej armii, liczącej 113,000 ludzi, stoi naczelny komendant, będący zarazem i ministrem obrony krajowej. Węgierska rada państwa składa się z izby deputowanych czyli reprezentantów (435) i z izby magnatów, w skład której wchodzi wyższe duchowieństwo i wysoka szlachta. Rezydencya króla i władz centralnych jest w Buda-Peszcie.

Wedle Hunfalvy'ego Węgrzy są blisko spokrewniani z ugierskim szczepem Wogulów, Ostjaków i Mordwinów, zamieszkujących u Altaju i Uralu. Pierwotnie zamieszkiwali przodkowie ich w Mongolii południowej i zwali się Ujgurami, Ugrami, skąd przenieśli się na północ, poczem zjawili się w Baszkiryi, w sąsiedztwie Pieczyngów, około Uralu górnego, a ostatecznie, unikając ich ucisków, przedsiębrali wyprawy na południe, i z końcem IX wieku owdładnęli kraje położone nad Cisą i Dunajem, nazywając się już Magyarami („Magyar“) a kraj swój „Magyar-Orszag.“

Język węgierski jest zupełnie odrębny od wszystkich języków europejskich jako wielce spokrewniony z fino-mongolskimi, i pomimo że naród ten tyle wieków już w środku Europy przebywa, w języku węgierskim, który nadzwyczaj jest bogaty, bardzo a bardzo mało napotykamy obcych naleciałości, a jeżeli które są, to przeważnie pochodzą z języków słowiańskich

lub też z tureckiego. Językiem urzędowym, kościelnym, a nawet że tak powiem ogólnie konwersacyjnym do ostatnich czasów, prawie w całych Węgrzech, był język łaciński, którym każdy węgier umiejący czytać i pisać tak jak rodowitym językiem władał. W ostatnich dopiero czasach po r. 1848 zaczęto umiejętność języka łacińskiego zaniedbywać i dziś posiadają go tylko ludzie poświęcający się naukom i życiu politycznemu.

Ponieważ niejednokrotnie przyjdzie mi w ciągu tej pracy, przytoczyć bądź pojedyncze wyrazy, nazwy lub też i zdania węgierskie, wypada mi przeto coś powiedzieć o pisowni i wymowie magyarskiej.

Alfabet węgierski składa się z 41 liter, i dzielą się one na samogłoski (maganzok lub też öhangzók) i spółgłoski (mássalhangzók lub też: tarshanguak).

a, á, b, cs, cz, d, e, é, e, f, g, gy, h, i, i, j, k, l, ly, m, n, ny, o, ó, o, p, r, s, sz, t, (ts, tz) ty, n, ü, ü, z, za*).

Głoski te są ze względu na sposób wymawiania gardłowe, wargowe, zębowe, i językowe.

Wskutek tego dzielą się na:

1. zamknięte czyli tępe: o, u, ö, ú, ó, ü.
2. otwarte czyli jasne: e, a, é.
3. pół zamknięte: a.
4. pół otwarte: i, i.

Pod względem zaś głębokości (concauitas) wewnętrznej jamy ustnej (gardzieli) samogłoski są następujące.

*) Ze względu na brak odpowiednich czcionek zmuszeni jesteśmy poprzestać tylko na wymienieniu powyższych głosek.

1. głęboko brzmiące czyli twarde (melyak) u, o, a, ü, ó, á.

2. średnio brzmiące czyli miękkie (magasak) ü, ö, e.

3. wysoko brzmiące czyli ostre (legfensöbb) é, i, i.

Pojedyncze głoski i spółgłoski wymawiają się:

1. **cs** jak **cz**, np. *csók* całus, wymawia się **czok**; *gancs* nagana, wymawia się: **gancz**.

2. **cz** jak **c** naprzykład: *czukor*-cukor (cukier) *czérna*-cerna (nitka).

3. **gy** jak miękkie **dj** a mianowicie jak **d** w francuskim *dieu* (Bóg), np. *Vagyok Vadiok* (jestem); *gyermek* diermek (dziecko).

4. **ly** jak **lj** w francuskim *bouteille* lub w włoskim: *gli*, *figli* (synowie) np. **Lyuk** Ljuk (dziura), **Király** Kiralj (król).

5. **s** jak **sz** np. **só** szo (sól), **ser** szer (piwo).

6. **sz** jak **ss** np. **szeg** *sseg* (gwóźdz), **szen** *ssent* (święty).

7. **ty** jak w francuskim *t*, *metier* (rzemiosło) np. **tyuk** tiuk (kura), **kutya** kutia (pies).

8. **Z** jak polskie **z**.

8 **Zs** jak francuskie **j**, *jour* (dzień) lub polskie **ż**, np. **zsido**-żido (żyd), **zseb**-żeb (kieszzeń).

Oto przykład:

Egy szó mint száz, czyta się: *Edi so mint ssaz* (słowo się rzekło).

Kitetszik a vasszeg a zsakból czyta się: *Kitetssik a vassseg a zakbol* (I z pod lwiój skóry wylążą ośle uszy).

Na tem krótkim rzucie oka na dzieje, oświatę, handel, przemysł i administracyą Węgier poprzestaję.

I.

Opuściwszy Wiedeń statkiem parowym dążącym do Galaczu, po parogodzinnej podróży wśród malowniczej okolicy, znaleźliśmy się nareszcie w przesmyku tak zwanym „Porta Hungarnica“, utworzony pomiędzy łańcuchem gór Litawy, kończącym się pod Hainburgiem a małemi Karpatami, rozpoczynającemi się od skał tuż nad ujściem Morawy, na szczycie których rozsiadły się malownicze ruiny zamku Dewin (Theben).

W miejscu tem przekraczamy granicę cesarstwa austriackiego i wkraczamy do Węgier, uroczej ziemi synów Arpada.

Minąwszy zaledwo przesmyk wyżej wzmiankowany, spostrzegamy już zdala zamek i most łyżwowy w Presburgu; miasta samego jeszcze nie widzimy lecz szereg pięknych domów wznoszących się po nad wybrzeżem pozwala nam wnosić, że i miasto samo nie zawiedzie nas w oczekiwaniu.

Parowiec pędzący z szybkością strzały zbliżył się do mostu, który tymczasem został otwarty, a przemknąwszy pomiędzy jego przesłami, zakreślił ku wybrzeżu, na którym się zebrały tłumy ciekawych spacerowiczów.

W towarzystwie dwu młodych węgrowskich dążących do Pesztu, panów Kovacsa i Mighazi, opuściłem statek, który za pół godziny dalej miał popłynąć, i pośpieszyłem do miasta gdzie do dnia następnego zabawić zamierzaliśmy, celem dokładnego poznania Presburga, niegdyś miasta koronacyjnego królów węgierskich.

Ulokowawszy się w hotelu „pod królem węgierskim“, tuż naprzeciw przystani, ruszyliśmy najpierw do katedry wzniesionej 1090 r. przez św. Władysława, pod wezwaniem św. Marcina.

Piękna to świątynia w stylu gotyckim, zdobna wspaniałą wieżą o złocistej kopule. Zewnętrznie wielce oszpecona licznymi przybudowaniami wzniesionymi w czasach późniejszych, zato wewnątrz ma wspaniałe i godne miejsca koronacji królów, którzy stąd wyjeżdżali na tak zwany pagórek koronacyjny, wznoszący się tuż nad brzegiem Dunaju, gdzie na znak gotowości do obrony kraju na cztery strony świata mieczem św. Szczepana w powietrzu nakreślali znak krzyża świętego. W świątyni tej najgodniejszą uwagę jest ołowiana grupa Dannera, przedstawiająca św. Marcina na wspinającym się koniu, w chwili w której płaszcz swój rozcina na dwie połowy, by okryć u nog klęczącego ubogiego. Św. Marcin był Węgrem,

przeto i artysta rzeźbiarz ubrał go w kostium narodowy, co dosyć pociesznie wygląda. Oprócz tej rzeźby zwraca także na siebie uwagę chrzcielnica metalowa, pochodząca z r. 1400, piękne wrota kościelne w kaplicy św. Anny wzniesionej w XV stuleciu i prześliczna monstrancya, zabytek z r. 1517, ważąca 13 funtów, cała ze srebra i 3 $\frac{1}{2}$ stóp wysoka. W kaplicy św. Jana podczas koronacyi królów przez ciąg dni trzech złożone były insygnia koronacyjne, i na tę też okoliczność usłużny cicerone kościelny zwraca szczególną uwagę zwiedzających.

Oprócz katedry zwiedzaliśmy jeszcze parę innych kościołów, między temi kościół franciszkanów z piękną kaplicą św. Jana.

Zwiedziwszy starożytny ratusz zewnę trznie zdo bny malowidłami al fresco, podążyliśmy wąskimi i nieschludnymi uliczkami, zamieszkałymi przez ludność bardzo nisko upadłą pod względem moralności, na górę zamkową, która panuje nad całym miastem.

W zamku roztacza się rozległy widok, sięgający aż wiedeńskiego Kahlenbergu; sam zamek nie budzi żadnego zajęcia, gdyż o ile to być mogło mury jego zużytkowano na pomieszczenie koszar wojskowych, magazynów i mieszkań dla oficerów.

Preszburg będąc stolicą komitatu tegoż nazwiska jest zarazem wolnym miastem królewskim, liczy do 50,000 mieszkańców, i jest siedzibą arcybiskupa mającego tu piękny pałac; jest też akademia prawnicza, gimnazyum, wyższa szkoła realna, protestancka i

katolicka szkoła teologiczna. Niegdyś gdy w Presburgu odbywały się sejmy i koronacje, wtedy miasto to było wielce ożywione i ruchliwe; dziś spokojne i dla tegoteż zamieszkują je liczni cywilni i wojskowi emeryci; w każdym razie nie w tak znacznej ilości jak w Hradcu, skutkiem czego to ostatnie miasto otrzymało nazwę *Pensionopolis*.

Z góry zamkowej udaliśmy się do ogrodu miejskiego, tuż obok teatru, gdzie „le beau monde“ na przechadzkę się zgromadza. Nim jeszcze słońce na horyzoncie zapadło podążyliśmy na lewy brzeg Dunaju do tak zwanej „Brückenau“, pięknego ogrodu, pośród którego znajduje się teatr letni zwany Areną. W ogrodzie tym, minawszy obie pływalnie, zasiedliśmy pod werendą kawiarni zwanej „Im Habern“ a słynnej tem, że tu gromadzą się na białą kawę damy z towarzystwa miejskiego. Pomimo jednak rozgłosnej sławy jakoby Preszburdzanki były zachwycająco piękne, muszę temu stanowczo zaprzeczyć, albowiem te które tak w tem miejscu jako też w ciągu dnia widziałem w mieście, na sławę piękności bynajmniej nie zasługiwały; przeciwnie nawet prędzej do niepięknych policzone być mogły.

Presburg (Posony, Pożoń) po zdobyciu Budy przez Turków, od r. 1541 do r. 1794 był stolicą Węgiei. Tu także po bitwie pod Austerlitz r. 1805 dnia 26 grudnia zawarty został słynny w dziejach pokój Presburski.

Tak handel jako i przemysł względnie jest tu dosyć ożywiony, a przemysł tutejszy odznacza się słyn-

nemi w całej Austrii i Węgrzech: „presburskiemi sucharami“. Wyrób to cukierniczy z mąki kukurudzianej, rozchodzi się podobno w niezmiernie wielkiej ilości.

Uprzejmy gospodarz hotelu pod królem węgierskim zachęcał nas bardzo, ażebyśmy nazajutrz zwiędzili jeszcze wioskę Oberufer nad brzegiem Dunaju pod górę wody, zasługującą na uwagę z tego, że tu dotąd jeszcze tak jak w Oberammergau, jak w Tyrolu lub Körmöcbanya (Kremnitz), rok rocznie przedstawiane bywają przez włościan miejscowych misterye religijne, sięgające połowy XVI wieku. Misterye pomienione „Narodzenie Chrystusa“, „Raj“, „Męka Pańska“ poprzedzane są prologami śpiewanemi przez przewodniczącego chórami. Bomimo jednak wielkiej wymowy pana gospodarza, następnego dnia statkiem, który przybył z Wiednia, puściliśmy się w dalszą podróż.

Na statku było dosyć gwaro i ludno; jechało bowiem do Pesztu liczne niemieckie towarzystwo. składające się z kilku opasłych bawarczyków i ich szanownych połowic. Niemcy, wyjechawszy z Wiednia po dobrem widać śniadaniu, w różowych byli humorach, a że dzień poczynał być skwarnym, więc też chłodzili się bezustannie szwechackim nektarem, którego w bufecie parowca sporą znaleźli ilość, zagryzając presburskiemi preclami i suchemi rogalikami z makiem. Cały statek szwargotem i wykrzykami zachwytu napełniali.

Tuż za Presburgiem na lewo rozdziela się Dunaj na dwa ramiona, tworząc wielką wyspę „Czallokoz“. Ramię lewe, okrążające tę wyspę, w dalszym przebiegu łączy się z Waagiem i pod Komornem wpada do Dunaju. Główne koryto Dunaju w miejscu tém zwane jest „Ersek-Ujvár-Duna“, a to z powodu iż nad tuż brzegiem rozsiadło się miasteczko Ersék-Ujvar (Neuhausel) po za którym znowu od Dunaju oddziela się na prawo drugie ramię zwane „Wieselburskie“, które tworząc wyspę „Mały Schütt“, prod Venek napowtót z głównym kanałem się łączy. Cała ta przeszło dziewięćmiłowa przestrzeń chwilami każe nam zapominać że znajdujemy się w samym środku Europy. Niezliczona ilość ław piaszczystych i żwirkowych, wysepek porośniętych i nagich, zapełnia tę przestrzeń i zmusza szybujący statek do ciągłego zmieniania kierunku i nadzwyczaj przezornej żeglugi. Towarzystwo komunikacyjne żeglugi na Dunaju, z uwagi że stan wody w tém miejscu jest bardzo rozmaity, a mianowicie śród lata, utrzymuje statki płytko idące które w danym razie są spożytkowywane.

Dunaj w tém miejscu jeszcze dla jednej przyczyny ma wielkie podobieństwo z amerykańską rzeką Mississipi, a to że najeżony jest mnogą ilością pniaków i całych pni osadzonych w mulastém łożysku rzeki

Wprawdzie ponad brzegami Dunaju nie widać już lasów dziewiczych, ale gdy na wiosnę Morawa jaką starą wierzbę wyrwawszy z nad brzegu, uniesie i pod Presburgiem w korycie Dunaju złoży, to jak na Missisipi na pniach drzewa bawełnianego, tak tu ku

wierzbie przepływający statek rozpruć się może. Przeszkody te w ostatnich czasach, mianowicie przed r. 1856, znacznie pousuwano pomimo tego jeszcze wiele pracy potrzeba nim koryto rzeki z nich zupełnie oczyszczone zostanie, i dlatego tak sternicy jako i kapitanowie na statkach tędy kursujących muszą być dobrze z korytem i prądami rzeki obznajmieni.

Kapitan naszego statku należał właśnie do liczby starych wilków morskich, a że rozochoceni Niemcy parę razy w kierowaniu statkiem sternikowi przeszkadzali i przez to omal że statek nie wpadł na pień podwodny, przeto rozbrykanych pasażerów zapędził do kajuty, zagrożiwszy, że jeżeli spokojniej się nie zachowają, każe ich na ląd wysadzić. Odtąd Niemcy spokornieli znacznie i siedząc w kajucie czas skracali sobie śpiewami chóralnymi.

Na całej tej przestrzeni z powodu niestałości brzegów przed wielu laty zaczęto koryto rzeki regulować; olbrzymią tę pracę rozpoczęto jeszcze r. 1853, i utworzono sztuczny lewy brzeg z kamienia ułożonego na mech. Roku 1859 regulacja prawego brzegu jeszcze nie była skończoną.

Okolica, którą tu przebywają statki mało budzi zajęcia, zdala gdzie niegdzie widać wśród ogrodów jakąś wioskę, wieżę kościelną; lub gmach większych rozmiarów. Nad brzegami wśród sitowia, gnieźdzą się w wielkiej ilości dzikie kaczki, kurki i inne ptastwo wodne, które przepływające statki parowe wita krzykiem ogłuszającym.

Wielka wyspa: Czalloköz, obok której przepływamy, ciągnie się przeszło 11 mil i liczy 2 do 4 mil szerokości na niej rozsiadło się wiele miasteczek wsi i osad. Wyspę pomienioną przeważnie zamieszkuje udność czysto madjarskiego pochodzenia, a to z tej przyczyny, że Węgrzy, przybywszy w te strony, naj-samprzód tu osiedli.

Tuż nad lewym brzegiem widnieje miasteczko Vajka, zamieszkałe przez samą szlachtę. Mieszkańcy tej miejscowości przed wieki byli wasalami arcybiskupów Granu, i zwali się: praedialistami. mając obowiązek służyć w czasie wojen w banderyach arcybiskupich, za co zostali uszlachceni. Wedle podania w Vajka przemieszkiwał św. Stefan, wtedy gdy na cześć 12 apostołów, dwanaście kościołów budował; samo zaś miasteczko nosi jego imię, którego będąc jeszcze poga-ninem używał. W każdym razie zadziwiającą jest rzeczą, że w przeważnej liczbie kościoły wzniesione na wyspie Csallokoz są do siebie tak podobne jakby je jeden i ten sam wznosił budowniczy. Struktura tych kościołów starogotycka. Najprawdopodobniej budowle te powstały za czasów króla Macieja.

Dotarliśmy do Fehértemplomvaros (Weiskirchen, Medve), gdzie znajduje się przewóz i stacya dla statków zbożowych. Tu wesołe towarzystwo, siedzące dotąd w kajucie, wyległo na pokład i przy óźwiewkach cygańskiej muzyki, która od Vajka z nami jechała, zaczęło tańczyć i skakać; lecz p. kapitan, uważając te wybuchy wesołości za zbyt uczynne i niepokojące innych pasażerów, zabronił muzyce przygrywania do tańca i

kategorycznie oświadczył synom Tusneldy, aby się uspokoiłi, gdyż w razie przeciwnym zmusi ich do przyzwoitego zachowania się.

Usłyszawszy to oświadczenie, jeden z wesołych turystów, człowiek wzrostu niskiego, rumiany i okrągły jak pączek w maśle, ze starannie ogoloną twarzą o małych, siwych i ruchliwych oczkach, z wiecznie na ustach igrającym uśmiechem zadowolenia, zbliżył się do kapitana, a stanąwszy przed nim w pozycyi Napoleona po bitwie pod Austerlitz donośnym zawołał głosem.

— Mój paniel! ja i całe nasze towarzystwo, zapłaciliśmy za bilety pierwszej klasy, mamy więc prawo robić co nam się podoba, a pan, który jesteś na to aby nas szczęśliwie dowieść do oznaczonego miejsca! nie masz prawa zabraniać nam bawienia się!

— *O! Ez igazán pompás!* (1) zawołał kapitan Węgier rodem i jak łatwo pojąć można bardzo źle mówiący po niemiecku. Czy pan nie znasz praw mnie przysługujących, i przepisów jakie podróźnych obowiązują?

— *Ah! Was? Co? przepisy?!* zawołał czupurny Niemiec; nic mnie one nie obchodzą, zapłaciłem i basta! wolno mi robić co mi się podoba! *Himmel-Kreutz Donner-Weter!*

— Nie przeczę, tylko nie na statku, który ja prowadzę, odparł kapitan, i dlatego albo pan i towa-

(1) O! ależ to wyborne!

rzysze jego zastosują się do przepisów i mego rozkazu, lub też natychmiast będę zmuszony panów wysadzić na ląd!

— Spróbuj pan, zakrzyknął Niemiec.

— *Bizonjos!* (2) odparł kapitan a zwracając się ku pokładowi maszynowemu zawołał: „*Stop!*“

W chwil kilka statek w pośrodku rzeki zatrzymał się. Łódź do wody spuszczoną została, a kapitan w towarzystwie kontrolera i dwu majtków buńczuczego Niemca wraz z jego towarzystwem wezwał, aby ze względu na nieprzyzwoite zachowanie się statek niezwłocznie opuścili.

Niemiec ów, widząc, że to nie zarty, uderzył w pokorę, i oświadczywszy, że tak on jako też i jego towarzysze zachowają się nadal spokojnie, zdołał wyprosić się od eksmisyi i mrużąc tylko pod nosem jakieś niezrozumiałe wyrazy, wraz z całym towarzystwem wrócił do kajuty, w której niebawem, zapewne z nudów usnął snem sprawiedliwego, kapitan zaś zakląwszy siarczyście i splunąwszy pogardliwe wydał rozkaz, aby statek w dalszą puścił się drogę.

Po tém małym intermezzo zbliżyliśmy się do Oroszvar (rzymskie Castra Gerulata) a minąwszy je w głębi po za małym Szütt ujrzeliśmy Magyar Ovar i Mosony. Pierwsza z tych miejscowości jest stolicą rozległych dóbr arcyksięcia Albrechta, obejmujących 13 mil kwadratowych a z powodu swych agronomicz-

(2) Niewątpliwie!

nych zakładów, wysokiej kultury i wzorowego gospodarstwa, są te dobra, tak jak włości arcyksiążęce w Cieszyńszczyźnie i Żywiecczyźnie, znane w całej monarchii. W r. 1814 z bezużytecznie leżącego państwu, utworzono tu łąkę zwaną „Marienau“, która po dwudziestu latach stopniowego rozszerzania obejmowała już 1200 morgów trzy i czterokośnego państwu. Przez stosowną zaś uprawę, drenowanie i t. d., z bagien Hausag nad jeziorem Fertö (Neusiedlersee) w ciągu lat 10 uzyskano tyle uprawnej ziemi, że w r. 1859 było tu przeszło 2000 owiec i 400 wołów na wypasie. W ciągu tego czasu t. j. w ciągu lat 20 do r. 1814 na całej przestrzeni dóbr Magyar Ovar'skich wykopano 40,187 sążni rowów i na przestrzeni 50 mil w prostej linii zasadzono w około pól żywopłoty.

Już arcyksiążę Albrecht Sasko Cieszyński założył tu r. 1818 instytut agronomiczny, który przez arcyksięcia Karola, słynnego wodza z pod Aspern, znacznie został rozszerzony; pomieszczono tu bezpłatnie 50 uczniów. Doniosłość tego zakładu, skłoniła rząd, że instytut ten stał się zakładem rządowym i otrzymał tytuł akademii rolniczej.

Magyar Ovar leży na wyspie utworzonej przez Lejtę, która tu do Dunaju wpada. Król Ludwik posiadłość pomienioną dał jako podarek ślubny siostrze swój Annie, idącej za mąż za arcyksięcia Ferdynanda. Dobra te ciągle jako wiano przechodziły w ręce królowych węgierskich z domu Habsburgów i nareszcie dostały się siostrze cesarza Franciszka, Maryi Krystynie, która poślubiła księcia Alberta Sasko-Cieszyń-

skiego, a której pomnik rzeźbiony przez Canovę znajduje się w kościele augustyanów w Wiedniu. W byłym zamku książęcym mieści się teraz akademія rolnicza. Magyarski Owar leży w komitacie mosońskim, tuż nad koleją wiedeńsko-peszteńską i liczy do 3000 mieszkańców; oprócz gmachu akademii rolniczej na uwagę zasługuje tu także piękny kościół wraz z kolegium pijarów.

Tuż u ujścia Raaby do Dunaju leży miasto Győr (Raab). Jadąc statkiem parowym, głównym kanałem Dunaju, zdaleka tylko widać starożytne to miasto, które za Rzymian niewątpliwie zwało się Arrabona, i w którym r. 1009 król Stefan założył stolicę biskupią. Győr było główną twierdzą przeciw Turkom, którzy zdobyli ją dopiero r. 1594. Statek dopływa tylko do Gönyö, stacyi głównej, będącej zarazem i portem Györskim.

Miejscowość ta leży tuż złączenia się kanału bocznego z głównym kanałem Dunaju do tego punktu zwykle dochodzą wielkie statki pływające pod wodę. Tu wznoszą się piękny gmach agentury żeglugi parowej, obszerne magazyny i piękny hotel. Przy niskim stanie wody zawsze w tutejszym porcie stoją na kotwicy remorkery, które nadpływające statki pod wodę ciągną. Tu stają także wielkie amerykańskie statki pasażerskie, które przy wysokim stanie wody aż do Wiednia dochodzą. Trzeba jeszcze dodać, że aż do Gönyö dochodzą także wielkie statki zbożowe, holowane przez 20—40 koni.

Opuściwszy tutejszą przystań, dążymy dalej na południe okolicą bynajmniej nie budzącą zajęcia, pomimo że od Gönyö aż do Granu tuż ponad prawym brzegiem rzeki ciągnie się szosa dosyć ożywiona. Przy korzystnem oświetleniu, z Gönyö widać słynny klasztor benedyktynów Szent Marton (Sacer mons Panoniae) założony przez króla Stefana.

Minąwszy ujście małej rzeczki Czonzö i wioskę Acs pod murami której r. 1849 krwawa stoczona była bitwa, dopłynęliśmy nakoniec do łyżwowego mostu pod Komornem. Naprawo widnieją stacya kolei żelaznej Uj-Szöny i w dali cóskolwiek O Szöny.

Twierdza Komorn (Komarom) zbudowaną jest na lewym brzegu Dunaju tuż u ujścia Waag-Duny i na ostatecznym krańcu wyspy Csallokoz. Twierdza ta wzniesioną była 1277 r. W przystani statków parowych pogwarzywszy cóskolwiek z kolegami, którzy przypadkowym sposobem tu się znajdowali, ruszyliśmy dalej przepływając po pod park O-Szöny należący do hr. Zichy. Tu znajduje się wielka liczba rzymskich pomników, i jeżeli miejsce to zwało się niegdyś Bregetium, to tutaj 17 listopada 375 r. p. N. Chr. w czasie audyencji udzielanej wysłannikom Quadów, zmarł imperator Walentynian. Od tej miejscowości rozpoczynają się winnice Naszmely, ciągnąc się aż do Granu. W Almas obok którego przepływamy znajdują się termy i kopalnie czerwonego marmuru. W Neszmely r. 1439 zmarł cesarz Albrecht II zjadłszy nie pomierną ilość kawonów, które dotąd słyną tu ze swój

dobroci. Minąwszy Süttö, Piszke i Tath zbliżyliśmy się narazcie do Estergom (Gran).

Wspaniały widok roztoczył się przed oczyma naszymi; na wysokości górze po nad modrym Dunajem wznosiła się olbrzymia świątynia, a zarazem i rezydencya prymasów węgierskich. Tu też opuściliśmy statek celem zwiędzenia tój miejscowości.

Estergom położony jest naprzeciw ujścia rzeki Gran wpadającej do Dunaju po lewej jego stronie. Nieulega wątpliwości że miejscowość ta znaną już była za Rzymian i że istniała przed przybyciem Magyarów w te miejsca. Obrane za siedzibę Geyzy wsławiło się tem, że r. 994 urodził się tutaj syn jego Stefan pierwszy król i apostoł Węgier, który lud swój nakłonił do przyjęcia chrześcjanizmu i ufundowany tu kościół podniósł do godności metropolitalnej. Otóż ta okoliczność jest powodem, że arcybiskupi Granu zostali prymasami Węgier i że w następstwie tutaj wzniesiono olbrzymią i wspaniałą świątynię. Jak widzimy Estergom ściśle jest związany z pierwotnymi dziejami tego kraju, bo stąd rozlały się pierwsze promienie światła nosącego zbawienie, tu przyszedł na świat wielki mąż, który był węgierskiej korony utrwalił, który, urodzony z Adelajdy siostry Mieczysława I zwanój „białą kniehiną“ a więc będąc siostrzeńcem Mieczysława I i bratem ciotecznym Bolesława Chrobrego zajaśniał świętobliwością i bogobojnym żywotem swoim zdobył sobie promienną koronę świętych, stając się zarazem patronem tój pięknej krainy.

Estergom składa się z właściwego wolnego królewskiego miasta, z miasta arcybiskupiego i dwu wcielonych miasteczek St-Georg i Tomashegyvaros, liczy 1500 domów i przeszło 13,000 ludności. Na placu ratuszowym wznosi się figura św. Trójcy na pamiątkę ustania zarazy, i pomnik Maryi Teresy wzniesiony r. 1871 z białego marmuru. Tak królewskie jakoteż i arcybiskupie miasto pięknie jest zabudowane i posiada kilka pięknych pałaców i gmachów publicznych jak np. gmach komitatowy. Oprócz wspaniałej arcybiskupiej rezydencji znajduje się także seminaryum duchowne i kilka klasztorów z pięknymi kościołami. Mieszkańcy tutejsi trudnią się przeważnie handlem win i zboża. Naprzeciw Estergomu leży miasteczko Parkany połączone ze stolicą komitatu mostem na pontonach. Pod tém to miasteczkiem Jan III wracając z pod Wiednia 1683 odniósł świetne zwycięstwo nad Turkami.

Wszystko to jednak mało budzi zajęcia w obec katedry wznoszącej się na zamkowej górze. Na górze tej pierwotnie wznosiła się twierdza, którą Bela III rozszerzył i wzmocnił, tak dalece, że r. 1241 Mongołowie napadłszy na Esztergom wprawdzie miasto zdobyli lecz zamku zdobyć nie mogli. Przed nadciągającym Solimanem prymas umknął do Presburga, kapituła zaś do Tyrnawy (Nagy-Szombat) skąd dopiero r. 1820 do dawniej swjej siedziby wróciła. Estergom był w posiadaniu Turków w latach 1543 do 1595 i w roku 1605 do 1683. Zamek estergomski za Karola VI zburzono, i dziś pozostały tylko po nim niektóre ślady. Ze wspaniałej gotyckiej katedry, sklepienia

której spoczywały na kolumnach z białego marmuru, Turcy pozostawili w całości tylko kaplicę. Kilkakrotnie sporządzano różne plany aby zburzoną świątynię podźwignąć, jednak dopiero r. 1856 we wrześniu za prymasa Aleksandra Rudnay nowowzniesiona świątynia mogła być poświęconą. Katedra już jest wykończona, brak jednak jeszcze dwu skrzydeł pobocznych. Jedno z nich stanowić ma rezydencją prymasa drugie zaś króla, i wtedy dopiero katedra estergomska przedstawi się w całym przepychu.

Na zamkowej górze którą splantowano, rozciąga się obszerny plac na którym wzniesiono nowe rezydencje dla 24 kanoników; jest ich tylko dwunastu, bo dochody przeznaczone dla reszty obracane są na wykończenie gmachów katedralnych. Tuż obok i naprzeciw kościoła wznoszą się dwa gmachy seminaryjne. Stąd szeroki podjazd prowadzi do katedry, która wznosi się na szczycie góry zamkowej. Pod tym podjazdem znajduje się tunel długi 60 sążni, z którego wchodzi się do olbrzymich piwnic we wnętrzościach góry. Do wzniesienia kościoła i wszystkich gmachów, naśladowując kościół św. Piotra w Rzymie, dał plany architekt Kuhnel. Po nad kościołem wznoszą się dwie dzwonnice mające na dole kaplice i wejścia boczne do świątyni. Brama wchodowa będąca pod portykiem, zdobnym w olbrzymie wschody, jest dziełem peszteńskiego ślusarza Sozer, i każda jej połowa waży 104 cetnary; pomimo tego jednak obraca się z całą łatwością jak piórko na olbrzymich swoich zawiasach. Wnętrze tej świątyni, swoim ogromem i po-

ważną ornamentacją sprawiło na mnie niezmiernie wrażenie.

Stałem oniemiały u wrót kościelnych, patrząc w niezmiernie rozległą przestrzeń: katedra ma 336 stóp długości, 144 stóp szerokości, a kopuła 250 stóp wysokości. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz pędzla Grigolettiego z Wenecyi, mający bez ram 40 stóp wysokości, a 20 stóp szerokości. Obraz ten przedstawia Wniebowzięcie N. Maryi Panny, i pomimo swoich rozmiarów wcale wielkim się nie wydaje. Poprzednio pomieszczony tu był obraz św. Stefana, malowany przez Michała Hesz'a z Egervaros (Erlau, Jager) *).

Ołtarz wielki cały jest z białego marmuru, rzeźbiony przez Bonaniego, ozdobiony prześlicznymi bronzami Danningera z Wiednia. Ołtarz ten kosztował 32,000 guld. a budowa całego kościoła do roku 1859 kosztowała 2,080,000 guld. Prześliczne są tu stalle kanoników, boazerye zdobne w biusta słynnych książąt kościoła, rzeźby Schönhalera i t. d. Cokół wewnątrz kościoła cały jest z czerwonego marmuru ze Süttö, ściany zaś z białego stiuku; takież są i kolumny podtrzymujące kopułę z tłem niebieskiem, zasianém złotem gwiazdami. Freski pomieszczone na ścianach

*) Obraz ten o wiele jest większy od Bitwy pod Grunwaldem Matejki, która liczy 9 metrów 87 $\frac{1}{2}$ centim. długości a 4 metry 26 $\frac{1}{2}$ cent. wysokości czyli mniej więcej: 30 stóp długości a 13 wysokości.

są pędzla Moralt'a z Monachium. Posadzka marmurowa. Boczne ołtarze rzeźbił Meixner. Przy tej katedrze kaplic bocznych jest tylko dwie, jedną 300 lat licząca kaplica Panny Maryi a druga św. Stefana, zdobne we wspaniałą rzeźbę Ferenczi ego, przedstawiającą patrona Węgier, i w pomnik marmurowy prymasa arcyksięcia Ambrożego, zmarłego r. 1808. Pomnik ten rzeźbił Pisani. Organy o 64 regestrach budował Moser w Salzburgu.

Po 117 stopniach schodowych dostaliśmy się do sali modelowej, gdzie są ustawione drewniane modele całego kościoła z otoczeniem i starój twierdzy, prześlicznie wykonane w rozmiarze pół cala na 1 sążęń. Tu przechowywany jest także pałasz i pancerz ostatniego komendanta twierdzy generała Schuhknechta, zmarłego 1734 roku.

Z sali tej dostaliśmy się na pierwszy taras, na czterech rogach którego ustawione są statuy czterech ewangelistów, po 15 stóp wysokości, nadto od strony rzeki ustawione postacie św. Stefana, Władysława, Piotra, Pawła i 21 stóp wysoka symboliczna postać Religii. Wszystkie te figury rzeźbił Casagrande w Wenecyi.

Kopułę, jak mówiłem, podtrzymują kolumny, po 60 stóp wysokości; żelazne wiązanie kopuły waży 106,735 funtów, a miedziane pokrycie 30623 funtów. Połączony krzyż 19 stóp wysoki osadzony jest na kuli mającej 15 stóp w przecięciu. Wnętrze katedry oświetla 22 olbrzymich okien.

Pod katedrą znajdują się groby, do których po-

przedzeni przez kościelnego, spuściliśmy się. Dwie olbrzymie postacie skrzydlatych aniołów (z piaskowca) stoją u wrót prowadzących do podziemia, podtrzymując wieńce cyzelowane z ołowiu (każdy wieńiec waży 84 funtów). W ciemnym przedsionku pomieszczonych jest w murze 239 nisz, w które być mają wstawiane trumny. Sklepienie głównej halli podtrzymuje 10 słupów z piaskowca, i tu pomieszczono stare kamienie grobowe. Za tą hallą jest rotunda, w której stoi ołtarz i są nisze grobowe dla prymasów. Ściany, ołtarz, cztery kolumny: słowem wszystko tu z marmuru czerwonego, i tu spoczywają ciała arcybiskupów, Ambrożego, Rudnay'a i Kopacsy'ego; w bocznej halli pomieszczony] marmurowy pomnik generała Schuhknechta, wzniesiony r. 1732.

W pobliżu katedry stoi jeszcze parę starych domów, wzniesionych na starych fortecznych murach; napravo zaś od katedry wznosił się do niedawna jeszcze dom, w którym urodził się św. Stefan. Cały ten dom był niegdyś smętarzyskiem tureckim. Na północnym stoku góry, 312 stóp ponad powierzchnią rzeki wznosi się rezerwoar wodny, obejmujący 2300 stóp kubicznych wody, pompowanej maszyną parową, służący do zaopatrywania w wodę całej rezydencji arcybiskupiej.

Obejrzawszy kościół i jego otoczenie zeszliśmy do miasta, gdzie ulokowaliśmy się w hotelu „pod krzyżem“ i pozostaliśmy na noc, aby nazajutrz po południu puścić się w dalszą drogę.

Dodać tu winienem, że w Esztergon znajdują się termy i źródła gorzkiej wody.

Po śniadaniu ruszyliśmy przez most pontonowy do miasteczka Parkany, gdzie do południa zwiedzaliśmy pole bitwy z r. 1683; naturalnie że dziś ani śladu niema krwawej walki, jaka się tu odbyła; są tylko gdzie jeszcze niegdzie śród winnic i ogrodów małe pagórki, które kryć mają zwłoki pobitych muzułmanów. Na jednym z nich wznosi się w ziemię zapadły i mchem porośnięty krzyż kamienny. Oprowadzający nas gazda opowiadał, że pod tym krzyżem spoczywać mają rycerze polscy. Na krzyżu są jeszcze ślady jakiegoś napisu, lecz odczytanie jest już nie możliwe.

Po południu, gdy statek z Wiednia nadpłynął, puściliśmy się w dalszą drogę.

Kapitan statku zaraz na wstępie, dowiedziawszy się że pragnę dokładnie poznać wybrzeże Dunaju, z całą uprzejmością ofiarował się być moim ciceronem, zasiadłem więc na pokładzie i z góry przypatrzyłem się pięknej panoramie.

Okolica, którą od Esztergom, przybywaliśmy z każdym krokiem niemal stawała się bardziej zajmującą. Poniżej opuszczonego miejsca rzeka przediera się przez porfirowe góry, które z doliny Granu przedostają się na prawy brzeg Dunaju; wyżyny porośnięte lasami, winnice tuż ponad lewym brzegiem rzeki, z błyskawiczną szybkością przelatujące pociągi kolei żelaznej: wszystko, urozmaicając tę część drogi, bawiło zarazem oko, znużone monotonością okolicy między Preszburgiem a Esztergomem.

Naprawo kapitan wskazał mi szczątki malowni-

czych ruin opactwa Szt-Margit, położonych tuż obok wioski Domös, poza którą wśród zieleni gajów i winnic rozsiadły się folwarki i osady wiejskie.

Minąwszy jeden z większych zakrętów rzeki, nagle ujrzeliśmy przed sobą wspaniałe ruiny Vissehradu, słynne w dziejach Węgier, a nieobce i dziejom naszym, boć przecież Jadwiga, córka Ludwika a wnuczka Kazimierza Wielkiego, stąd udała się w podróż do Polski, aby zasiąść na tronie Piastów. Nieliczna kupka domów nad brzegiem rzeki, to resztki byłego miasteczka, poza którym o 781 stóp nad powierzchnią wody, wznosi się góra zamkowa.

U stóp téj góry stoi jeszcze dobrze zachowana sześć piętrowa wysoka wieża Salamona i jedna baszta, która z zamkiem połączona była murem mającym 24 stopy wysokości. Zamek składał się z dwóch części, z górnego i dolnego zamku. Z dolnego zamku, do którego można było się dostać po moście zwodzonym, pozostały jeszcze 15 stóp wysokie mury i duża do połowy już zasypana cysterna. Obok niej przez małą bramę idzie się do górnego zamku, gdzie są podziemia, w których korona węgierska była przechowywana. Nad wejściem do tego podziemia pomieszczony jest rok 1493.

Dzieje Vissehradu są nadzwyczaj zajmujące. Chociaż miejsce to nie było rzymskim, lecz jak to nazwa wskazuje słowiańską siedzibą przed przybyciem Magyarów, to jednak nie ulega wątpliwości, że Andrzej I r. 1055 wznosił tu klasztor, i że tu r. 1081, już wówczas w bardzo silnej twierdzy, Władysław I

wieził swego siostrzeńca króla Salomona w wieży która dziś jego imię nosi. W Vissehradzie 45 lat spoczywały także kości św. Stefana i gdy Władysław chciał je przenieść do innego miejsca, nikt nie mógł, jak piszą, poruszyć kamienia zamykającego gróbświąty. Wtedy pewna zakonnica imieniem Charitas, objawiła, że przeniesienie kości wtedy nastąpi, gdy więziony król uwolniony zostanie, i tak się też stało.

Karol Robert d'Anjou zamek tutejszy obrał za rezydencyą królewską, i r. 1310 przeniósł tu koronę św. Stefana, która dotąd była przechowywaną w Székes-Féjérvár (Stuhlweissenburg). On to stał się fundatorem wielkości i wspaniałości Vissehradu, tu obchodził potrójne swe małżeństwo, tu r. 1335 podejmował królów Jana Czeskiego, Kazimierza W. Polskiego i Szczepana Bośnińskiego a r. 1338 w murach tegoż zamku witał Karol Robert księcia pruskiego. Tu także r. 1330 Felicyan Zach, mszcząc honor, swój córki, napadł na króla i królowę, poczem przez Patorrha zamordowany został; tu nakoniec r. 1342 Karol Robert umarł.

W murach tego zamku Jan Paleolog cesarz bizantyjski wyprosił pomoc Ludwika Wielkiego przeciw Turkom i tu zmarł w niewoli Karol Mały król neapolitański.

Vissehrad ulubioną był również siedzibą Macieja Korwina, który przez królowę Elżbietę r. 1440 uwiezioną koronę ponownie do zamku sprowadził i zamek tak wspaniale ozdobił, że legat papieski miejsce to nazwał „ziemskim rajem“. Rozległy zamek obej-

mował w murach swoich 350 pokojów. Zamek ten r. 1529 zdobyty przez Turków straszliwemu uległ zniszczeniu. R. 1540 dostał się znowu w ręce Węgrów, którzy r. 1605 oddać go musieli Turkom. Przez lat 56 Vissehrad pozostawał w rękach tureckich a wydarty im przez hrabiego Forgacs'a, po raz trzeci dostał się r. 1683 w posiadanie Turków, od których ostatecznie odebrał go Karol Lotaryński. Za Leopolda I zburzono twierdzę, i dziś pozostała po niej tylko malownicza ruina, pełna dziejowych wspomnień.

Naprzeciw Vissehradu rozsiadła się piękna wioska Nagy-Maros, przeważnie zamieszkała przez Niemców i zdobna pięknym kościołem gotyckim. Niedaleko stąd widać znowu Migazzivar, zamek z parkiem należące niegdyś do kardynała Migazzi.

Znowu góry nadbrzeżne zamieniają się w pagórki, równina się rozszerza, a Dunaj nagle robi skręt ku południowi. Wzrok sięga coraz dalej i dalej, przeczucie niezmierniej równiny węgierskiej zaczyna nas ogarniać! Tu zaczynają się znowu liczne grupy wyspek rozrzuconych po Dunaju. Statek dąży lewym kanałem, który okrąża trzymilową wyspę Szent Endre. Na wyspie téj mieszczą się cztery wioski.

Zdała już na lewym brzegu uśmiecha się do nas miasto Vacz ze swą wspaniałą katedrą bo i tu jest siedziba biskupa, fundowana przez Stefana a może i Geyzę I.

Katedra wzniesiona w stylu włoskim wedle planu Canaval'a. Budowę tej pięknej świątyni rozpoczął r. 1761 kardynał Eszterhazy, nkończył zaś ją roku

1777 kardynał Migazzi. W wielkim ołtarzu mieści się obraz Schmidta, freski zaś malował Maulpersch. Kościół ten ma 192 stóp długości i 132 stóp szerokości. Wspaniałą rezydencją biskupią, zwaną zamkiem Migazziego, otacza mur, w którym osadzone są różne rzymskie zabytki, część których przeszła na własność muzeum w Peszcie. Tuż nad brzegiem Dunaju wznosi się nowy gmach więzienny. Historia tej miejscowości jest dosyć zajmującą a najciekawszym ustępem jest ten fakt, że tu zawarty został pokój między królem Ferdynandem a Janem Zapolya r. 1535, i że tu dnia 3 lipca 1684 Karol Lotaryński odniósł świetne zwycięstwo nad Turkami.

Rządy Macieja Korvina i Vacz'owi przysporzyły wiele ozdoby, bo pod panowaniem tego króla biskup Bathory wznosił katedrę i rezydencją w stylu włoskim. Obie te budowle Turcy zniszczyli.

Niepodobna przemilczeć o pięknej legendzie, przywiązanej do tej miejscowości a dotyczącej jej założenia.

Geyza i Władysław przed bitwą pod Mogyorod jechali tędy przez las, gdy nagle Władysławowi ukazał się anioł, lecący z nieba, który złotą koronę, trzymaną w ręce, włożył na głowę Geyzie. Geyza, który widzenia tego nie miał, ślubował, że po bitwie na cześć Bogarodzicy wzniesie kościół. Po bitwie obaj książęta, jako zwycięzcy zuowu, przez tenże las powracali, i oto na tem samem miejscu, na którem Władysław miał widzenie, ujrzeni jelenia z płonącemi rogami, który odbiegł kawałek drogi, a zatrzymawszy

się chwilkę, następnie skoczył do Dunaju i znikł. W miejscu tem Geyza założył kościół, ufundował biskupstwo i erygował miasto, które nazwał Vacz wedle imienia jedyne go starca, który mieszkał w tych lasach.

Po półgodzinnym przystanku pod Vacz statek ruszył dalej, i niebawem w niebieskawej oddali, na horyzoncie ukazały się wyżyny Budy i wspaniała panorama stolicy Węgier, oblanéj złotemi promieniami zachodzącego słońca. Z uwagą zwróconą na cel mojej podróży nie słuchałem objaśnień kapitana, który zachwycał się położeniem wioskiśw. Andrzeja, letnie j rezydencyi biskupa greckiego i mającej w obrębie swoim aż siedm greckich cerkwi. Tak zapatrzony w cudowną panoramę nie spostrzegłem kiedy statek nasz w przystani się zatrzymał.

Z towarzyszami podróży mieliśmy się zatrzymać w Peszcie; pożegnaliśmy więc uprzejmego kapitana, który dążył do Galaczu, i wysiadłszy na brzeg, udaliśmy się do hotelu pod „Królową angielską“ (*Angol-orszag kiralyno*).

II.

Kilkakrotnie będąc już w Peszcie, znałem to miasto powierzchownie; teraz zaś pragnąłem poznać dokładnie. Wrażenie, jakiego się doznaje, przybywając do stolicy Węgier na statku parowym jest zupełnie odmienne od wrażenia gdy przybywamy koleją. Ze statku Peszt przedstawia się nam z imponująco wspaniałą panoramą, jako wielkie handlowe miasto; przybywszy zaś koleją żelazną poznajemy je tylko jako wielkie miasto.

Już od Varz jadąc koleją doznajemy przedsmaku wielkiej bezmiernej równiny; opuściwszy zaś dworzec i wkroczywszy w Vacz-ut (Waiceńska ulica) odrazu mamy przed sobą dokładny obraz bezmiernej przestrzeni, która każde prawie węgierskie miasto na równinie charakteryzuje. Ulica ta w połączeniu z Orszagut i Ullöut jest przeszło jedne milę długa i gdyby nie potrójny załamek, to można by ją w całej olbrzymiej owój długości przejrzeć; ulica ta jednak nie jest najwspanialszą, i tu wcale niemieszka ją magnaci.

Przybywając statkiem odrazu poznamy, że Peszt jest ważnym miastem handlowym, gdy ujrzymy tłumy statków parowych i żaglowych, stojących na kotwicy wzdłuż brzegów rzeki, ponad którą ciągną się szeregi najwspanialszych hoteli i pałaców. Brzegi Dunaju przez całe miasto po obu stronach ujęte w ciosowe bulwarki i połączone z sobą prześlicznym mostem łańcuchowym.

Most ten to duma Pesztu. Jestto dzieło nie tylko olbrzymie, lecz nadto zadziwiająco piękne.

Most pomieniony ma 1230 stóp długości i zwiększa się tylko na dwóch słupach. Słup od strony Budy, zbudowany w prądzie rzeki, od lądu ma 27 stóp a od strony rzeki 33 stóp głębokości przy najniższym stanie wody; słup peszteński zaś z obu stron ma tylko 21 stóp głębokości. Budowę pomienionego mostu r. 1838, baron Sina powierzył pewnemu akcyjnemu towarzystwu, które w zamian za wybudowanie go pobierać miało pewną opłatę od przechodzących i przejeżdżających. Budowniczym jest Anglik: W. T. Clark, który tą budowlą uwiecznił się. R. 1848 most był już skończony i kosztował 4,412, 628 florenów srebrem. Po obu stronach mostu od strony Pesztu ciągnie się bulwar nowy, który roku 1858 wykończyć miało towarzystwo żeglugi, liczący 146 sążni długości i 18 do 27 sążni szerokości. Wzdłuż tego bulwaru wznoszą się składy towarów, kryte cynkiem i w czasie słotnej pory zasłaniane z boków żaglowym płótnem; poza temi magazynami wznosi się długi szereg magazynów murowanych. Bulwar ten z boków zamknięty, od

strony rzeki jest otwarty. Po za bulwajem wznosi się o 12 stóp wyżej miasto. Dalsze bulwary na przestrzeni 100 sążni buduje miasto swoim kosztem, i tu wznoszą się piękne gmachy, między którymi jeden należący do towarz. żeglugi po Dunaju swą strukturą się odznacza.

Peszt jest jeszcze miastem względnie nowém, nie można więc dziwić się że starożytnych pamiątek nie napotyka się tu pod dostatkiem, tém bardziej gdy przypomnimy sobie jak długo Peszt i Buda pozostawały w rękach tureckich i że r. 1838 straszliwa powódź nie mniej jak 3000 domów tu zburzyła. Od r. 1838 przeważnie pochodzą nowsze gmachy, starsze zaś nie sięgają dalej jak po czasy Karola VI, To też przyczyna, że Peszt jest więcej regularny, że ma bardzo szerokie ulice, a nawet i na starem mieście ma bardzo mało zaułków. Domy tutejsze, przeważnie jednopiętrowe, odznaczają się szlachetnym stylem; kamienic dwu i trzypiętrowych bardzo mało widać w stolicy Węgier. W odleglejszych częściach miasta są same parterowe domki a tak stare, że już zupełnie prawie wgląd ziemi zapadły; pojąć więc łatwo można, jakie zniszczenie szērzyły tu wylewy w latach 1789, 1795, 1790 a mianowicie r. 1838.

W r. 1859 wedle ostatnich obliczeń, Peszt miał 131,705, a Buda 55,240 mieszkańców czyli, że ogół ludności obudwu miast wynosił 186,945. W owym czasie Peszt był siedzibą wojskowo-cywilnego gubernatora (arcyksiążę Albrecht), będącego zarazem na-

miestnikiem Węgier i szefem wielu innych władz i instytucyj rządowych i krajowych.

Nazajutrz po przybyciu do Pesztu, dopełniwszy formalności służbowych, przedstawiwszy się miejscowemu komendantowi placu, puściłem się na wędrówkę po mieście, rozpoczynając ją od placu Franciszka Józefa tuż przy moście.

Na prawo wznosi się tu wspaniały gmach kupiectwa peszteńskiego, w którym na parterze jest wielki magazyn zbożowy, drukarnia dziennika „Lloyd“ wspaniała kawiarnia i restauracya. Na pierwszym piętrze mieszczą się biura towarzystwa „Lloyd“ z piękną salą, i węgierski bank handlowy; na drugim piętrze zaś izba handlowa. Tuż obok wznosi się piękny gmach kąpieli Dyany, w którym są też salony nieustającej wystawy sztuk pięknych.

Przeszedłszy obok kawiarni „Lloyda“ i przez ulicę Doroty dostałem się na mały plac teatralny, gdzie na prawo stoi gmach byłego niemieckiego teatru, który od czasu pożaru w r. 1847 do 1859 stał pustkami. Stąd wszedłem na najpiękniejszą ulicę miasta zdobną, wliczne eleganckie sklepy i magazyny; ulica ta zwie się Vacz-utcza i prowadzi na plac ratuszowy z którego skręcając na prawo dostałem się do głównego kościoła parafialnego.

Zwiedziwszy oboczne ulice Wężową i szkłem kryty pasaż Paryzki, wydostałem się na plac Franciszkański, gdzie obok kościoła w parterowym gmachu pomieszczoną jest biblioteka uniwersytecka.

Uniwersytet założony 1635 r. z nowo dobudowa-
nem seminaryum, wcale na zewnątrz nie budzi zaję-
cia, lecz za to roku 1858 odnowiony po pauliń-
ski kościół jako najpiękniejszy ze wszystkich kościo-
łów Pesztu zasługuje na dokładniejsze obejrzenie, a to
zwłaszcza ze względu na piękne freski i przepyszne
boazerye.

Ulicą Kecskemecką idąc dalej wszedłem na plac
sienny, gdzie wznosi się kościół ewangelicko-reformo-
wany. Stąd ciągnie się w prostym kierunku Ulloer-
ska ulica, przy której znajduje się „kosztelek“, gmach
węgierskiego towarzystwa rolniczego, wielkie ullöer-
skie koszary, dom sierot, ogród botaniczny i szpital
wojskowy „Ludovicum“. Po za tym szpitalem roz-
ciąga się wspaniały ogród Orczy'ego, szczególnie licz-
nie w niedziele i święta odwiedzany. Stąd wróciw-
szy na plac sienny zbliżyłem się do wspaniałego gma-
chu narodowego muzeum, we wnętrzu którego prze-
chowywane są cenne pamiątki z przeszłości Węgier
pochodzące. „Magyar Nemzeti Museum“ jest jed-
nym z najciekawszych zakładów peszteńskich; dlate-
go téż z całą przyjemnością spędziłem tu parę godzin,
rozpatrując się w nagromadzonych skarbach, a jest
ich tu liczba niemała, bo 59,460 sztuk starożytności i
2408 dzieł sztuki.

Muzeum to założone 1802, uposażone 1,000,000 fl.
zostało przez hr. Franciszka Szecheny'ego przy sil-
nem poparciu ze strony Batyaniego, Raday'a, Szeche-
nyi'ego, Teleki'ego, Apponyi'ego, Palocsay'a, Viczay'a,

Kubiny'ego, palatyna Józefa i wielu innych magnatów i szlachty, z rokiem każdym rozwijało się i wzmacniało w bogate zbiory, które dziś są ogromne. Oprócz przeslicznych zbiorów rzymskich zabytków znalezionych na ziemi węgierskiej a pomieszczonych w salonach i przedsionku dolnej części gmachu, widzimy tu bogaty zbiór, bo 15,000 srebrnych monet węgierskich św. Szczepana króla, Beli I, św. Władysława, Beli II i Beli III i t. d., które zachwycają znawców przesliczną konserwą i pięknym rysunkiem; dalej idą tu różne wykopaliska z epoki kamiennej i brązowej, a więc różnych kształtów topory, dłuta i strzały, pomiędzy którymi delikatnością wyrobu odznacza się grosz strzały w katalogu „Kepes Kalauz“ oznaczony Nr. 24. Z téjże epoki pochodzące urny niemniej są zachwycająco piękne. Z epoki brązowej mamy tu liczny i piękny zbiór różnorodnych toporów, dłuć, noży i ozdób; są również przepyszne wyroby złotnicze, różne pierścienie, bransolety, dalej wyroby ceramiczne i szklane, puchary, stągwie i t. d. Są również rozmaite pamiątki po Rakoczym, Napoleonie I, Stefanie Tökölym, Maryi Teresie i t. d. Niezaprzeczenie zaś pięknym jest zbiór starożytnych rzeźb, bądź w oryginalnym, bądź w kopii.

Opuściwszy muzeum i zwiedziwszy zbiory anatomicznego gabinetu, pomieszczone w zakładzie weterynarskim, pośpieszyłem na ulicę Tabaczną, aby tam przypatrzeć się nowój synagodze. Wspaniały to gmach, wzniesiony w stylu bizantyjsko-maurytańskim,

według planów Forstera. U wejścia głównego zbudowane są dwie wieże, 138 stóp wysokie i zakończone złożonemi kopułami. Świątynia sama jest 120 stóp długa a 78 szeroka i tyleż wysoka. Wnętrze oświetlają barwne okna. Budowa gmachu tego kosztowała przeszło pół miliona guld.

Zwiedziłem w tej części miasta dom komitatuwy, kościół ewangelicki i kiosk w parku i pośpieszyłem na Leopoldstadt, gdzie na placu wznosi się piękny pomnik palatyna Józefa, oraz w r. 1850 rozpoczęta bazylika, przysła katedra. Tuż obok tej budującej się świątyni wznosi się pałac zbudowany na wzór pałacu Ca d'Oro w Wenecyi, istne cacko; lecz kopia nie robi tego wrażenia co oryginał w Wenecyi.

Następnego dnia z p. Bolöny Szandorem, z którym poznałem się w muzeum narodowém, ruszyłem do Budy, aby pod jego kierunkiem zwiedzić rezydencję królewską, kościół św. Zygmunta, skarbiec i t. d., czego dopełniwszy, udaliśmy się do grobowej kaplicy tureckiego świętego derwisza Gülbaba; a stąd do przepysznego gotyckiego kościoła, zbudowanego przez Belę IV, który przez Turków na mosznię był zamieniony. Zwiedziwszy kąpiele królewskie, jakoteż łaźienki tureckie, udaliśmy się na Blocksberg, gdzie pośród fortu wznosi się byłe obserwatorium astronomiczne, z którego dachu roztacza się precudowny widok na całą okolicę. Dziwna rzecz, że kiedy na szczycie tej góry przeciętnie w ciągu roku temperatura nie przechodzi 7,° Réaum., na jój stronie południowej rosną dziko figi, dające dojrzałe owoce.

Wracając z Budy zwiedziliśmy jeszcze wyspę Margarety i starą Pudeę. Wyspę pokrywa przeszliczny park, pośród którego rozrzucone są ruiny czterech klasztorów i dwóch zameczków. Tuż obok willi arcyksiężęcej wznoszą się szczątki opactwa premonstratensów a dalej cósokolwiek ruiny klasztoru Panny Maryi, w których widać jeszcze ołtarze, kazalnicę, i t. d. Klasztor ten fundował Bela IV, którego córka Margareta była tu przełożoną i tu zmarła. W stariej Budzie zwiedziliśmy stare rzymskie kąpiele, ze szczątkami wodociągów i fundamentami amfiteatru.

Czwartego dnia pobytu mego w Peszcie zwiedziłem jeszcze warsztaty żeglugi parowej na Dunaju, i ruszyłem w dalszą drogę statkiem pasażerskim ku Belgradowi.

Madziarzy, osiedlając się nad rozkosznymi brzegami Dunaju, nie mogli byli obrać sobie piękniejszej miejscowości na rezydencją królów, nad tę miejscowość która jest nią dzisiaj! Patrząc na te dwa siostrowane miasta, na te starożytne mury zamku królewskiego, z błyskawiczną szybkością myśl przebiega całe dzieje Węgier, które w tem miejscu się zogniskowały.

W pierwszej połowie XI wieku pierwsze zastępy Madziarów pod wodzą Arpada zjawiły się nad brzegami dolnego Dunaju i walcząc z Bułgarami, przez tychże wyparte zostały na równiny naddunajskie. Ztąd rozpościerając swe zagony zdobyli państwo wielko-morawskie (905 r.) i zadawszy wojewodzie

Luitpoldowi (907) straszliwą klęskę, otworzyli sobie drogę do Niemiec i Wioch.

Niemcy tymczasem przygotowali się do zaciętego oporu i pod wodzą cesarza Ottona I na Lechowie polu (Lechfeld) r. 955 pobili Madjarów na głowę i całą Germanią ocalili od niechybnego podboju. Zaprzestali wprawdzie odtąd Węgrzy napadów swych na Niemcy, ale jednak prowadzili wieki w krajach bizantyjskich; gdy wzrastająca potęga sąsiadów zaczęła im zagrażać, wtedy zaczęli wzmacniać się nabyciem romańsko-germańskiej oświaty.

Pierwszym krokiem do tego było przyjęcie chrześcijaństwa za panowania Giejzy I (972—997) i syna jego Stefana I (997-1038), który otrzymał od papieża koronę królewską i tytuł króla apostolskiego (1000). Stefan I syn Giejzy i Adelaidy zwanej Białą Knihiną, siostry Mieczysława I, w obec Węgrów wielkie położył zasługi, starając się ich zjednoczyć politycznie a przez zaprowadzenie właściwych ustaw i urzędzeń postawić w rzędzie narodów ucywilizowanych. Przez nadanie Węgrom praw na wzór bawarskich i francuskich; naród, ten, dotychczas koczujący znacznie się, zbliżył do cywilizowanego zachodu Europy.

Pod panowaniem siostrzeńca jego Piotra (1038-1046) i Andrzeja I (1046—1060), wzmogły się dążenia ku poganizmowi, które jednak Bela I (1060-1063) stłumił. Pod następnymi rządami Władysława I (1077-95) i Kolomana I (1095—1114) za wojowane zostały, Chorwacya, Sławonia i Dalmacya, przytém przez trafne zastosowanie prawa nastąpiło ustalenie porząd-

ku wewnątrz kraju. Ku końcowi jednak panowania tego króla wybuchły zamieszki domowe, które przeciągnęły się i za jego następców, zmuszonych staczać ciągłe walki z burzącą się szlachtą i z różnymi pretendentami do tronu. Dopiero Andrzej II nad całością zapanował Węgrami; chciał on wprowadzić ukrócić dumę burzliwej szlachty, jednak zrobić tego nie mógł, przeciwnie był zmuszony rozszerzyć jej i duchowieństwa przywileje na zasadzie zawartego konkordatu, nadając „Złotą bullę“ (1222 i 1223).

Pod synem jego Belą IV nastąpiły stosowne reformy, dążące do wzmocnienia i ustalenia bytu narodowego. Lecz oto wtargnięcie Mongołów (1241) dobrobyt kraju zniszczyło, kraj został spustoszony, wyludniony. Następcstwem tego było, iż zaczęto sprowadzać niemieckich i włoskich osadników, przy pomocy których podniósł się stan miejski i pomnożyła się liczba miast wolnych. Wnuk Beli IV, który ku germanizmowi się skłaniał, imieniem Władysław II (1273—1290) sprzymierzywszy się z cesarzem Rudolfem Habsburskim toczył boje z Ottokarem królem czeskim.

W r. 1301 wśród nowych zamieszek krajowych ród Arpada w linii męskiej wygasł na Andrzeju III. Na tron osierocony Węgier dzięki staraniom papieża wstąpił teraz Karol Robert Neapolitański d'Anjou i za jego to panowania (1307—1342) wprowadzono postępowania sądowe ulepszone na sposób francusko-włoski.

Następca jego Ludwik I wielki (1342—1382) granice Węgier rozszerzył aż do Rusi czerwonej,

przyczynił się do rozwoju handlu i przemysłu a r. 1370 na mocy układu ze swoim wujem Kazimierzem Wielkim, połączył korony węgierską i polską. Po śmierci Ludwika na tron węgierski wstąpiła córka jego Marya, lecz musiała zeń ustąpić przed Karolem Neapolitańskim.

R. 1392 po zamordowaniu Karola, tron węgierski objął małżonek Maryi Zygmunt (od r. 1410 cesarz niemiecki), za rządów którego nastąpiło wtargnięcie Turków i wybuch stronnictwa husytów. Po Zygmuncie panował nad Węgrami zięć jego Albrecht V książę austriacki (jako cesarz Albrecht II), lecz ten zaraz po wstąpieniu na tron 1437 umarł, i na miejsce jego na tron wezwany został Władysław III Jagiełłończyk, który r. 1444 zginął pod Warną w walce z Turkami.

Po przedwczesnej śmierci tego króla bohatera, uznano królem Węgier Władysława Pogrobowca, syna Albrehta V, mianując zarazem namiestnikiem państwa zwycięzcę Turków Jana Hunyada. Po zgonie Władysława (1457) Węgrzy obrali królem Macieja Korwina, syna Hunyada (1458), który, przywróciwszy dorządek, ustalił pokój w kraju, podniósł oświatę, pozakładał mnogą ilość kościołów i klasztorów, a dbając o dobrobyt i rozwój narodowy, stał się jednym z najdzielniejszych królów Węgier.

Po śmierci Macieja królem węgierskim obrano Władysława króla czeskiego. Pod słabymi rządami tegoż i syna jego Ludwika II wewnętrzne roztargi wzniecone ambycją i chciwością możnowładców, któ-

rych przewodnikiem był Jan Zapolya, jakoteż i powstanie włościan przytłumiono w okrutny sposób. Po nieszczęśliwej bitwie pod Mohaczem 1526, w której król Ludwik II poległ, znaczna część kraju dostała się pod panowanie tureckie, a o resztę odtąd zaczęły się toczyć spory między Ferdynandem austryackim i Zapolyą, który po wyborze Ferdynanda królem węgierskim r. 1526 otrzymał Siedmiogród i kilka komitatów w Węgrzech górnych.

Od tego to czasu Węgry pozostały już pod panowaniem Habsburgów. Z przyczyny powyżej nadmienionego podziału kraju następowały ciągle zamieszki i niesnaski z następcami Zapolyi, podsycane przez Turków i Francuzów, i rozpoczęło się paześladowanie ewangelików a mianowicie od czasu wprowadzenia jezuitów do Węgier. Wskutek tego wszystkiego i celem usmierzenia zamieszek zawarte zostały traktaty 1606, 1622 i 1645, dalej nastąpiło zdobycie Budy na Turkach przez Austryaków r. 1686, i ostatecznie uznanie dziedziczości korony węgierskiej w domu habsburskim r. 1688. W skutek traktatu karłowickiego zawartego 1699 Turcy opuścili Węgry. Roku 1723 cesarz Karol VI postanowił sankcją pragmatyczną, że następstwo tronu węgierskiego przechodzi także i na płeć żeńską z domu Habsburgów, i wskutek tego postanowienia Maryja Teresa była królem węgierskim; po śmierci jej Józef II, objąwszy rządy dążnością swą do germanizacji kraju potworzył w Węgrzech wielu niezadowolonych i przeciwnych sobie, tak że za panowania Leopolda II i Franciszka II

nastąpiło dopiero pojednanie Węgier z rządem austriackim.

Od r. 1825 w Węgrzech zjawiała się opozycja, dążąca do reform politycznych na sejmach, które stały się widownią gwałtownych sporów. Walka ta jednak z germanizacyjnym systemem wydała pożądane owoce, bo oto od r. 1839 do 1844 nastąpiło utwierdzenie przewagi w narodowości węgierskiej, a to przez wyniesienie języka węgierskiego na język urzędowy, przez ulepszenie stosunków włościańskich i przez ograniczenie przywilejów szlachty. W miarę pozyskiwanych zdobyczy, wzmagaly się także i pragnienia dalszych swobód; pragnieniom tym dały żywszy popęd zaburzenia wiedeńskie 1848 r., i rząd austriacki widział się zmuszonym do zniesienia poddaństwa, dziecięcin, ustanowienia oddzielnego ministerstwa dla Węgier, oraz zaprowadzenia ogólnego opodatkowania. Nieuwzględnienie jednak wymagań i potrzeb innych narodowości zamieszkujących kraje korony Św. Szcze-pana, które teraz zaczęto madjaryzować, wywołało to, że dawna niechęć Słowian, podburzana przez dyplomacją austriacką, wybuchła gwałtownie i przyprowadziła do otwartej walki z Węgrami. Bezpośredni następstwem tego była rewolucya z r. 1849 dla której przytlumienia Austria była zmuszona wezwać na pomoc Rosyą. Węgry, jako kraj podbity zamienione zostały w kraj koronny i systematycznie przeprowadzać zaczęto ogólną organizacją administracyjną i sądową.

Oto są w możliwem streszczeniu najgłówniejsze

momenta dziejów Węgier, które żywo mi się przypomniały w chwili gdy Budę i Peszt opuszczał. W owym czasie przebiegając tę piękną krainę wzdłuż i wszerz nie przypuszczałem, że w lat dziesięć później Węgry odzyskując utracone prawa staną się samoistnym państwem połączonym z monarchią austryacką jedynie tylko czcią personalną. W owym czasie, zwiedzając Węgry nie myślałem o tem aby kiedykolwiek nad zamkiem królewskim w Budzie powiewał tylko sztandar korony węgierskiej i aby pułk w którym służyłem, był zaliczony do królewsko-węgierskiej armii. Zwrot tak pomyślny dla Węgier w ich politycznym bycie zawdzięczają oni nie tylko sami sobie, swemu wysokiemu politycznemu taktowi, lecz przede wszystkim zbiegowi okoliczności, zwyciężkiemu orężowi prusaków. Bo gdyby nie bitwy pod Nachodem i Königsgratzem, w których armia austryacka złamaną i rozbitą została, Węgry nie byłyby tem czem są dziś i musiałyby pokornie słuchać rozporządzeń niemieckich *Rath'ów* i *Hofrathów!*

III.

Statek na którym się znajdowałem wyruszył z przystani o 7-mej rano i szybko przesuwał się po pod Bloksberg u stóp którego wznoszą się ostatnie termy miasta Budy, tak nazwane kąpiele Bruk (Hid fürdo) i kąpiele Block (Sz. Gellért fürdo). Położenie tej miejscowości jest bardzo malownicze: skalista góra Blocksberg (Sz. Gellert-hegye) tworzy tło, na którym rysują się rozproszone domy i domki poprzyczepiane do skały jakby gniazdeczka jaskółcze. Widać też ztąd jaskinie przypominające mieszkania troglodytów a niebawem liczba tych jaskiń wzrasta do takiej ilości, że tworzy jakby wieś jaką, w istocie zamieszkaną i dosyć ludną. Z tego punktu nim okrążymy Sz. Gellert-hegye spojrzawszy na miasto, które przed chwilą opuściliśmy, widzimy po za sobą czarujący widok. Na lewo skały, oblane wodą; w pośrodku po nad płaszczyzną wodną widać górę zamkową, pokrytą zielenią; między tą górą zaś i skałami w wodzie odbijają się wieżyce i gmachy stolicy, ponad którą w niebieskiej oddali sterczą Szwabskie góry (Svabfözl he-

gye) a ponad mostem łańcuchowym i ponad miastem widać wyżyny Starej Budy. Panorama przesliczna, i dziwić się należy że żaden z malarzy widoku tego z téj strony nie przeniósł na płótno.

Minąwszy przedmieście, koszary obozowe, prochownie i całe szeregi ładownych statków wiosłowych zbliżyliśmy się do wysepki „Csepel”, położonej bliżej lewego brzegu rzeki. Wysepka ta, długa pięć mil, zamieszkała przez ludność dziesięciu wsi, ma być pierwotną osadą Magyarów i nazwę swą bierze od imienia „Csepel” które nosił powiernik i przyjaciel Arpada. Tu także znajdować się ma i grób tego wodza.

Minąwszy Albertfalva, wioskę zamieszkałą przez samych stolarzy, i Promontor (Promontorium Csepel lub też Eugenii), zbliżyliśmy się do punktu, w którym wschodnia kolej żelazna tuż po nad brzegiem rzeki przebiega.

W Promontor, wiosce przypierającej do skał, widzimy kastel i kościół zbudowany przez księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Po za temi budynkami na równinie widać liczne kominy, wychylające się z ziemi, we wnętrzu której w przeszło 200 jaskiniach przebywają mieszkańcy tej miejscowości. Jaskinie te powstały z kamieniołomów już opuszczonych. W jednej z takich jaskiń wznosi się aż dziewięć domów, które naturalnie są bez dachu i mają tylko sufity za pokrycie. Oprócz tych mieszkań podziemnych są tu i piwnice wykute w miękkim piaskowcu, największa z tych piwnic, należąca do winiarza A. Len-

key'a, z brzegiem rzeki połączona jest tunelem, tak, że beczki napełnione winem prosto na statek wtaczane być mogą.

Minąwszy Promontor zbliżamy się do Teteny i do Erd (Hamsa-Beg), gdzie wznoszą się jeszcze ruiny moszei i minaretu. Tuż za tą miejscowością ciągną się tak zwane *Centum montes*, uważane za groby Hunnów poległych w bitwie, która tu miała miejsce, jak twierdzą stare węgierskie kroniki. Tuż pod tą wsią w dniu 23 lipca 1683 Karol książę Lotaryński pobiwszy Solimana Baszę, zdobył wielki sztandar seraskiera, który dotąd przechowywany jest w wiedeńskim arsenale.

W Adony, wiosce zbudowanej na miejscu rzymskiej *Vetussalina*, znajduje się jeszcze znaczny kawał szosy zbudowanej przez Rzymian.

Naprzeciw Racz-Almas, wioski zamieszkałej przez Serbów, leży południowy cypel wyżej wzmiankowanej wyspy Csepel, którą w tej okolicy zwą także Raczkewi lub też „*Kapuścianym ogrodem Jezuitów*”. Powodem tej nazwy miało być następne wydarzenie.

Peszteńscy Jezuiti wyprosili sobie od Maryi Teresy, że dała im wyspę Csepel jako grunt bezużyteczny i pusty, który przyrzekli uprawiać i zamienić na warzywne ogrody i plantacje kapusty. Cesarzowa, przychylając się do tego życzenia, przedstawiła sobie prośbę podpisała w obecności ministra księcia Kaunitza, który z całą galanterią ujął niby przez pomyłkę zamiast piaseczniczki kałamarz i podpisał cesarzowej, położony na akcie darowizny, oblat

atramentem. Nim nowy akt darowizny przygotować zdołano w kancelaryi przybocznej, Kaunitz przekonał cesarzową, że wyspa Csepel jest bardzo duża, i wy-mógł, że darowizna nie nastąpiła. Wtedy błazen ce-sarzowej jednemu z Jezuitów będących przy dworze zadał do odgadnięcia znaczenie wyrazu „Indir”, a gdy tenże nie mógł zadosyć uczynić żądaniu błazna, i cesa-rzowa chciała wiedzieć to znaczenie, wtedy dowcipny błazen podał rozwiązanie mówiąc: „*Indir*” znaczy tyle co: „*Jesuitis Non Datur Insula Raczkewi*,” (Jezuitom nie będzie daną wyspa Raczkewi).

Tuż pod wioską Lóré na małym pagórku wznosi się piękna kaplica, fundowana przez cesarza Franci-szka Józefa, a zbudowana z czerwonej cegły w miej-scu, w którym hrabia Zichy r. 1848 był zamordowany.

Duna-Pentele, wioska położona na prawym brze-gu Dunaju, rozsiadłszy się na nadbrzeżnych pagór-kach, pokrytych licznymi winnicami, malowniczy przed-stawia widok, który z każdym stajem przebytem przez statek przybiera coraz więcej barwności.

Pierwszém większém miastem, jakie na tej prze-strzeni napotykamy wyjechawszy z Pesztu, jest Duna-Foldvar, miasteczko dosyć piękne, liczące 12000 ludności. Miejscowość tę zamieszkują przeważnie kamieniarze i rzeźbiarze. W Foldvar istniało nie-gdyś Opactwo św. Heleny, którego posiadłości są dzi-siaj donacyjną własnością peszteńskiego uniwersytetu.

Przybycie statków do przystani wywołuje ruch większy między mieszkańcami, którzy gromadzą się

u brzegu; zbliżają się też w galopie, pędząc wozy i wózki ciągnięte przez osły.

Opuściliśmy Foldvar i minawszy wcale nie malowniczo położone wioski nadbrzeżne jak n. p. *Paks*, zbliżamy się do *Tolna*, miasteczka liczącego 6000 mieszkańców, przeważnie zajmujących się rybołóstwem. Od lat paru, jak mi mówił kapitan statku, rybołóstwo na Dunaju znacznie upadło, a to wskutek kursowania statków parowych, które rybołóstwu wielce przeszkadzają. Poza Tolną napotykamy na rzece liczne jazy, przygotowane do połowu łososi, które w wiekach średnich docierały aż do Tuln, miasta położonego powyżej Wiednia. Przyczyną tego jest to, że mieszkańcy wybrzeży tureckich, pilnie tej gałęzi przemysłu oddając się, przepływające łososie wylawiają. Tolna słynie z tego, że pod murami tej miejscowości Ludwik II posła sultana do Dunaju wrzucić kazal, któreto zgwałcenie praw międzynarodowych wywołało krwawą walkę pod Mohacsem.

W tym miejscu zaczyna być Duraj krętym, co wielce podróż utrudnia i przedłuża. Zapobiegając więc temu rozpoczęto prostować koryto rzeki, i w onym czasie, gdym tę przestrzeń przebywał, były już skończone dwa przekopy, jeden pod Tolną, skracający podróż o dwie godziny, i drugi pod Baja. Pierwszy otwarty był r. 1852, drugi zaś 1854. Między Tolną a Baja na prawym brzegu rzeki, w głębi widać wyżyny i góry Baranya, na stokach których pod Szekszard znajdują się winnice, dające wyborne wina.

Baja, znaczniejsze miasto, liczące 15000 mie-

szkańców, od brzegu oddalone jest o całe półgodziny drogi, który przebywać należy po ogromnych błotach i bagniskach. W niedalekiej stąd odległości na prawym brzegu widzimy wioskę Bata, i tu rozpoczyna się ostatnia wielka wyspa Dunaju, zwana Margitta, czyli wyspa Mohacsu.

Minąwszy Szekeso przybywamy do Mohacsu, gdzie dawniej statki na noc się zatrzymywały, gdy teraz dążą do Apatin, lub też przy wysokim stanie wody dalej płyną.

Mohacs ma 10000 mieszkańców i w ostatnich czasach znacznie się podniósł w skutek linii kolei żelaznej, prowadzącej stąd do Pécs, gdzie są kopalnie węgla tow. żeglugi parowej. Pod tem to miastem r. 1526 w straszliwej walce stoczonej z bardzo liczną armią turecką zginął Ludwik II, ugrzązłszy w błotach okalających to miasto.

Za Mohacsem zbliżamy się nareszcie do Koszeg, miejscowości położonej na prawym brzegu i u podnóża podgórza Baranya, które pod ostrym kątem Dunaj okrąża; naprzeciw tej miejscowości na lewym brzegu widzimy Bezdán (8000 mieszkańców) z nowym ujściem kanału Csorsa czyli Bcerskim; łączącym Cisę z Dunajem. Kanał ten zbudowany został r. 1795—1801 przez towarzystwo akcyjne celem podniesienia handlu zbożowego w Banacie i ułatwienia komunikacji; kanał o 47 mil skraca drogę transportową. Bierze początek pod Tisza-Földvár a przebiegając 16 1/2 mil i pięciu szluzami zaopatrzony wpada do Dunaju pod Monosztorszeg, miejscowości położonej tuż pod

Bezdanem, gdzie znajduje się główna szluza, wykończona r. 1854—1856 pod kierunkiem inżyniera Mihałek. Nowa ta szluza ma 132 sążni, i składa się z trzech oddziałów; ściany boczne sluzy mają 36% stóp wysokości.

Wysoce zajmujący jest widok, gdy statek, wypływając z kanału, wpada na Dunaj, i dopiero u przeciwnego brzegu zwraca się w kierunku swej drogi. Statki przepływające ten kanał są tylko wiosłowe i wyglądają wspaniale; żagli nie mają one, a od masztu na statku zwiesza się lina pociągowa. W r. 1857 na wodach Dunaju i innych rzek pobocznych krążyło takich dużych statków 552, a mniejszych 186. Statki te holowane są końmi, lecz zwyczaj taki zaczyna iść w zaniedbanie, z tej przyczyny, że statki parowe, w coraz większej ilości kursując, o wiele taniej ułatwiają transport towarów i zboża.

Poniżej Batina znajduje się pewna przestrzeń, na której w danych razach żegluga jest niebezpieczniejszą. Prąd wody przechodząc tu po pod sam brzeg prawy, powiększa na lewo będącą ławicę piaskową, którą statki parowe i łodzie z wielką trudnością omijać mogą. Rozpoczęte wtedy roboty około przekopania wyspy Blazsevicza, zapewne tę przeszkodę usunęły.

W miejscu tém zaczął zapadać zmrok wieczorny. W dolnym salonie zapalono lampy, i znaczna część podróżnych zgromadziła się tam, czytając gazety, grając w karty, bądź też bawiąc się pogawędką. Na pokładzie panuje ciemna noc, nigdzie nie widać

i światełka, bo w razie przeciwnym sternik byłby w wielkim kłopotcie i nie mógłby dobrze statkiem kierować. Podróżni, posiliwszy się wcale dobrymi produktami okrętowej kuchni, poczuli rozglądać się za legowiskami swymi. Sypialnie znajdują się pod pokładem i tworzą dwa szeregi łóżek. Jedne nad drugimi. W sypialni są także umywalnie i inne wygody.

Noc była ciepła i księżycowa; wyniósłszy sobie na pokład składany fotelik zasiadłem na dziobie statku, rozglądając się po okolicy oświetlonej magicznie promieniami jasnego księżyca.

Na statku uciszyło się znacznie, z czego korzysta kilku młodych ludzi, dążących do Ujvidek a należących do tamtejszego towarzystwa śpiewaków: zaintonowali harmonijnymi głosami prześliczny węgierski hymn „Szózat”. Uroczą melodię tego poważnego i rzetelnego zarazem hymnu, płynęła szeroko po falach modrego Dunaju, w wołach którego migotały odblaski promieni księżycowych. Na lewo rozciągała się obszerna równina, której widnokrąg ginął w oddali w fosforycznych odblaskach mgły unoszącej się po nad kanałem Csorsa. Po prześpiewaniu hymnu towarzystwo zaintonowało „Naptól virit”, następnie prześliczny marsz z opery „Hunyadi László” i parę jeszcze pieśni ludowych, które szeroko i daleko po wodach Dunaju echem płynęły.

W pobliżu Apatin, stacyi statków parowych, od brzegu naszym pieśniarzom odpowiedział chór dobrych męskich głosów intonując pieśń ludową „Jo Magyarember pajlás” (Dobry z Węgry jest towarzysz),

na którą znowu nasi śpiewacy odpowiedzieli hymnem „Szozat”. Statek nasz tymczasem zbliżył się do przystani i na pokład weszło liczne towarzystwo, złożone z studentów uniwersytetu i kilku obywateli ziemskich, wracających z wycieczki na rzymskie wały. Na statku zrobiło się i ludniej i gwarniej, a towarzysząca muzyka cygańska zagrała od ucha marsza Rakoczego, przy dźwiękach którego ruszyliśmy w dalszą drogę.

O udaniu się na spoczynek i marzyć nie można było, a gdy obadwa towarzystwa śpiewaków się poznały, rozpoczęło się wzajemne częstowanie winem, nie pomijając nikogo kto się tylko na statku znajdował.

Pomiędzy Apatin i Monosztorszeg od Dunaju aż do brzegów Cisy ciągnie się 12 stóp wysoki wał ziemny, który wedle jednych usypany był przez Awarów, a wedle drugich przez Rzymian; sypiąc ten wał mieli oni na celu łatwiejszą obronę pobrzeży Dunaju przeciw barbarzyńcom.

Zbliżyliśmy się nareszcie do jednego z ważniejszych punktów żeglugi, a mianowicie do miejsca, w którym Drawa wpada do Dunaju. Przy samym ujściu Drawy urządzoną jest stacya, i tu oczekiwał statek „Hunyady” na pasażerów dążących do Eszek.

Od Baja począwszy aż do Ujvidek lewy brzeg Dunaju należy do Wojwodiny, a od ujścia Drawy brzeg prawy aż do Illok należy już do Sławonii.

Gdyśmy minęli pięknie położone Maria-Almas, dalej, Erdod okolica wielce urozmaicać się zaczęła. Ze starego zamczyska Erdod, należącego niegdys do ro-

dziny tego nazwiska, pozostały jeszcze tylko ruiny a mianowicie czworoboczna baszta, okrągła wieża z kawałkiem muru, i pod górą zamkową rozwaliny bramy zamkowej. Piękne te zwaliska należą dziś do hrabiego Palfy, który jest potomkiem pierwotnych właścicieli zamku. W Dalya, miejscowości zamieszkaney przez Serbów, wznosi się piękny pałac, letnia rezydencya greckiego arcybiskupa z Koloszvaru. Brzeg jest tu 35—50 stóp wysoki i tworzy go gliniasta prostopadła ściana, na szczycie której rozciąga się park należący do pałacu arcybiskupiego. Tu zaczynają się do brzegu rzeki zbliżać łańcuchy gór Syrmijskich i odnogi Fruska Góra, pokryte sadami i winnicami.

Pod Vukovar, najpiękniejszém z miasteczek serbskich, na wysokiéj górze stoi piękny pałac hr. Eltz i wspaniały klasztor franciszkanów. W głębi, wzdłuż prawego brzegu, widać zbite masy dębowych lasów, które stanowią prawdziwe bogactwo Sławonii; gdy tymczasem na lewym brzegu widnieją nieprzejrzone równiny i bagna. Mijamy Sawograd ze starym kościołem, wieża którego pokryta jest kamiennym dachem. Wysoko nad brzegiem sterczą ruiny starego zamczyska. W tém miejscu liczne pływające młyny zapełniają koryto rzeki, a jest tu ich nie mało, bo ustawione we dwa szeregi dochodzą swą liczbą do 350.

Już nad ranem przybyliśmy do stacyi Illok, miasteczko zaś jest oddalone o 1/4 mili powyżej stacyi. Z pokładu widać liczne i obszerne ogrody owocowe.

Przeplływamy właśnie po pod miasteczko i widzimy liczne zabudowania miejskie, zamek z parkiem, klasztor i kościół franciszkanów, co wszystko razem pięknie się przedstawia przy pierwszych brzaskach letniego poranku.

Illok słynie ze swej starożytności; odnaleziono tu ruiny rzymskiego kastelu, świątyni Dianny i t. p. W wiekach średnich przebywała tu rodzina dynastyczna Ujlaków, z pośród której Niklas przez króla Macieja do godności książęcej był podniesiony, lecz ród ten ze synem Niklasa wymarł. Cesarz Leopold państwo to nadał książętom Odescalchi, którzy też odtąd noszą tytuł książąt Syrmii.

Od Palanki począwszy zaczyna się i lewy brzeg Dunaju ożywiać; widać też z pokładu winnice, sady, tu i owdzie malownicze kamieniołomy, zbliżające się wyżyny Piotrovaradynu, a minawszy Nesteny, Szuszek, Banosztór i Cserevics zbliżamy się do Kamenitz, miasteczka otoczonego lasem drzew owocowych, wśród których starożytny kościół się wychyla. W Kamenitz znajduje się olbrzymi pałac Marczibanów i park, który wzdłuż Dunaju się ciągnie.

Przybywamy do Varadinu (Peterwardein), który leży na szczycie stromych skał brudno zielonego serpentynu, stopy których kąpią się w Dunaju. Skały te tworzą na szczycie swoim płaszczyznę, gdzie rozsiadło się miasto wraz z twierdzą, której zielone wały piękny i malowniczy przedstawiają widok. Naprzeciw Varadinu na lewym brzegu Dunaju leży Ujvidek (Neusatz—Nowisad), miasto przeszło 10000 mieszkańców.

Varadin połączony z Ujvidek mostem łyżwowym-mającym 816 stóp długości, składa się z trzech części: dolnej twierdzy, przedmieść i górnej twierdzy. Dolna twierdza, właściwe miasto, liczące zaledwo 70 domów, otoczona jest silnemi bastionami, wzniesionemi, tuż nad samą rzeką. Piękny lecz skromny kościół farny (niegdyś jezuitów), ozdobiony grobowcami kilku bohaterów z czasów wojen tureckich, a w arsenale znajdują się liczne trofea zdobyte na Turkach. Na przedmieściach ogrody pełne zieleni i woni. Górna twierdza, do której prowadzi kryta galerya, położona 204 stóp nad powierzchnią Dunaju, składa się z samych tylko budowli wojennych. Na skrajnym północnym skalistym wyskoku ku Dunajowi stoi wieża zegarowa, ze szczytu której przepyszny przedstawia się widok po nad Fruska-Górę, na rozległe równiny Banatu aż do dalekich we mgle ginących gór na wschodzie, gdzie szumią ostatnie katarakty Dunaju.

W miejscu starożytnej rzymskiej Milety, za czasów pierwszej wojny krzyżowej wzniesiono tu twierdzę, którą na cześć przywódcy wyprawy Piotra pustelnika, Petervar'em nazwano. Twierdzę tę roku 1526 zdobyli Turcy, i dzierżyli ją w swęj władzy aż do r. 1716, w którym dnia 5 sierpnia książe Eugeniusz pobił Turków, i zdobywszy twierdzę zabrał cały ich obóz, skarby niezmierne i 170 dział. W r. 1848 twierdza ta dostała się w ręce zrewoltowanych Węgrów, którzy wraz z twierdzą armii austriackiej zdali się na łaskę i niełaskę.

Jak to już rzekłem wyżej, naprzeciw twierdzy, na

lewym brzegu Dunaju położone jest miasteczko Ujvidék; miasteczko pomienione w r. 1738 było jeszcze nędzną rybacką osadą, zwaną Sanacz (czytaj Szanac), do której przybyli niemieccy koloniści, uciekający z Belgradu przed Turkami.

Później po tém wydarzeniu cesarzowa Marya Teresa Ujvidek podniosła do stanowiska wolnego królewskiego miasta, wskutek czego niebawem to nowo kreowane miasto stało się jednym z najważniejszych miast handlowych Węgier, do czego przyczyniło się wiele jego położenie geograficzne. Uwagi godną jest tu nadzwyczajna ilość różnorodnych wyznań a mianowicie żyją tu: katolicy, uniacy, prawosławni, ormianie, kalwini, lutrzy i żydzi. W r. 1849 dnia 12 czerwca ban Kroacyi baron Jellachics zdobył to miasto, przyczem obrócone zostało w perzynę, lecz niebawem powstawszy z gruzów dziś piękny przedstawia widok.

Okolice Varadinu niemało budzą zajęcia; o miłę stąd przy drodze prowadzącej do Karlovitz leży słynący cudami kościół Panny Maryi Śnieżnej, wzniesiony r. 1716 na pamiątkę odniesionego zwycięstwa. Obok kościoła śród ogrodzenia rośnie stary dąb, do którego Turcy przykuli łańcuchami pojętego w niewolę feldmarszałka brabiego Breunera, którego wojska potem z więzów oswobodziły. Tak zbroję feldmarszałka jako też i owe łańcuchy zachowane są w zbrojowni varadyńskiej. W tymże samym kierunku leży cmentarz wojskowy, a dalej liczne klasztory bazylianów (we Fruska Gora).

Tuż pod Varadinem Dunaj rozdziela się na dwa ramiona, otaczające wojenną wyspę, którą w czasie wojny stawiają w stanie obrony; przepływając statkiem, widać z pokładu szanice i baterye. Minąwszy tę wyspę przybywamy do Karlovitz, które to miejsce, aczkolwiek zaliczone do liczby miast, zupełnie pozoru miejskiego nie ma i liczy tylko 6000 mieszkańców. A i położenie samo wcale nie jest malownicze. Cerkiew tylko wspaniale się przedstawia, gdy tymczasem rezydencya arcybiskupa (grecko-nieunickiego) wcale nie zaleca się architekturą.

Arcybiskup karłowicki w państwie austriackim jest naczelnikiem kościoła greckiego i tu znajduje się też seminaryum i liceum tegoż wyznania. Mieszkańcy tutejsi przeważnie zajmują się produkcją wina, wyrabianego z białych i czerwonych gron, i znanego pod nazwą wina Schiller (Jatszósziń bór); słynne są tu nie mniej: karłowicka piolunówka, i kielbasy orzechowe, sporządzone z jąder orzechów włoskich moczonych w moszczu winnym.

W Karłowicach r. 1699 dnia 26 stycznia zawarto pokój z Turkami, mocą którego Węgry, Sławonia i Siódmiogród zwrócone zostały Austrii, Peloponez, parę wysp greckich i część Dalmacyi dostały się Wenecyi, Podole zwrócono Polsce, a Azow od Rosyi oderwano. Celem zawarcia tego pokoju zjechali się do Karlowitz posłowie wszystkich narodów i czyniąc zadość ówczesnemu etykietalnemu fanatyzmowi, zbudowano umyślnie salę konferencyonalną z taką ilością drzwi wchodowych ilu było posłów, aby wszyscy jednocze-

śnie do sali narad wejść mogli. W miejscu téj sali wznosi się dziś kościół „*Matki Boskiej pokoju*“.

Charakter téj okolicy, zupełnie odmienny od do tychczasowych, ma w sobie coś smętnego i wprowadza każdego w pewien rodzaj zadumy. Przyczynia się zapewne do tego widok tutejszych mieszkańców, o ponurém spojrzeniu, szorstkiem obejściu, jako też niezatarte ślady długoletnich tureckich wpływów, po których pozostały niektóre naleciałości, wywołujące to wrażenie jakobyśmy się znajdowali daleko na wschodzie, pełnym odrębnych i dziwacznych zwyczajów i obyczajów.

Ludność tutejsza słowiańska, mówiąca językiem dosyć dla nas zrozumiałym, mającym wielkie podobieństwo w brzmieniu do języka rosyjskiego, przeważnie należy do kościoła obrządku greckiego. Mieszkańcy miast tylko wyznają katolicyzm, inne zaś wyznania jak kalwinizm i luteranizm bardzo tu mało mają wyznawców; żydów również niema tu wielu. Co do narodowości to są tu sami prawie słowianie, a tak Słoweńcy jak i Serbowie zamieszkujący Banat odznaczają się dorodnym wzrostem, niepoślednią odwagą i siłą. Serbowie zaczerpnęli cóskolwiek z charakteru i usposobień Czarnogórców i Dalmatyńców; są więc skryci i mściwi, a nadto niełatwo każdego zaufaniem swoim obdarzają.

W ogóle dłuższy pobyt między mieszkańcami Banatu i całego pogranicza nie budzi wielkiej sympatii dla nich, i aczkolwiek są to Słowianie, rad byłem gdym nie był zmuszony znajdować się w ich towarzystwie.

Być może, iż do tego przyczyniły się te okoliczności, iż ci Serbowie i Słoweńcy, których poznać miałem sposobność i z którymi nawet kolegowalem, postępowa-
niem i usposobieniem swoim najohydniejsze dawali świadectwo o narodzie, z którego pochodzili.

Dalsza podróż Dunajem na razie nie jest zgoła zajmującą. Znużeni monotonnymi widokami zbliżamy się do Szlankament, miejscowości znanej w historii z powodu bitwy zwyciężkiej, jaką tu z Turkami r. 1691 stoczył Ludwik Badeński; 25000 zabitych pokryło plac boju. Wielki Wezyr, seraskier, i wielu janiczarów pomarło z ran, a 154 dział było nagrodą odniesionego zwycięstwa. Na górze za nędzną wioszczyną widać jeszcze szczątki warowni, która tu istniała. Starożytne rzymskie *Acimincum* dziś zwie się Szlankamentem i cieszy się posiadaniem obfitego źródła solnego, które jednak wcale nie jest wyzyskiwane. Naprzeciw tej miejscowości do Dunaju wpada Cissa, i stąd odchodzą statki parowe płynące pod wodę po Cissie aż do Tokaju.

Dopływamy do Zimony (Semlin), ostatniej osady austro-węgierskiej, położonej na prawym brzegu Dunaju. Poniżej cokolwiek do Dunaju wpada Sawa, tworząca granicę dzisiejszego księstwa serbskiego, a wówczas gdym te strony zwiędzał Serbii tureckiej. W onym to czasie jeszcze, na przeciw Zimuń spotykało się pierwszą strażnicę austriackich kresów, owego sławnego pogranicza wojskowego, które od Adryatyku zaczynając się u Wrót Żelaznych brało swój koniec.

Zimuń, wolne miasto wojenne (komuna) z 11000

mieszkańców jest bardzo ważnem miastem handlowém. Tu téż była siedziba generała i kapitana pociągowego. Mnóstwo tutaj w porcie statków i łodzi. Wznoszą się liczne i obszerne magazyny towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju. Ulice miasta dosyć dobrze zabrukowane, jako téż dosyć piękne gmachy, które wcale pęknieby wyglądały, gdyby czysiej były utrzymane. W gmachu generalnej komendy r. 1852 mieszkał cesarz Franciszek Józef I, a w innym znowu gmachu r. 1817 cesarz Franciszek I. Cerkiew grecka jest tu najokazalszym gmachem. Za miastem na Górze Cygańskiej wznoszą się warownie, cmentarze i szczytki zamku Hunyady, w murach którego r. 1456 zmarł Janos Hunyady.

Dawniej nim jeszcze żegluga parowa na Dunaju otwartą była, Zimuń był głównym punktem na trakcie tureckim, i stąd podróźni, towary i t. d. dążyli do Niszu, Adryanopola lub Stambułu; z onych to czasów jeszcze znajdują się wielkie budowle, należące do bylej kwarantany, jaką tu podróźni przybywający ze wschodu odbywać musieli. Wskutek otworzonej żeglugi po Dunaju podniósł się niezmiernie dotychczasowy handel ze wschodem. Ze zniesieniem kwarantany wzmógł się także i handel z Serbią, wskutek czego upadł i bazar na Białohrodzkiej łące.

W dawniejszych czasach zwiedzenie Belgradu, przedstawiało pewne trudności, teraz zaś rzecz ma się wcale inaczej; korzystając więc z tego, zwiedziwszy Zimuń, około 6 rano przybyłem do Belgradu, gdzie w przystani serbskiej podoficer odebrał moją kartę

wolnego przejazdu, celem złożenia jój w policyi, w gmachu przystaniowym, gdzie także i austryacki konsul ma biuro. Minąwszy konsulat stromo wznoszącą się uliczką, przybyliśmy do bramy miejskiej prowadzącej do dolnej twierdzy i obsadzonej silną strażą turecką. Droga ta prowadzi nas na wyżyny górnego miasta a raczej twierdzy. Minąwszy cerkiew serbską, która w końcu wzmiankowanej drogi się wznosi, dostaliśmy się na szeroką dobrze zabrukowaną ulicę, przy której na prawo wznosi się piękny gmach wzniesiony przez księcia Miłosza na miejscu nędznych chat i domków. W gmachu tym znajduje się kawiarnia „pod jeleniem“ i książęca apteka (oprócz téj apteki są tu jeszcze dwie inne: serbska i turecka). Ztąd idąc główną ulicą na lewo wchodzimy w aleę i przez esplanadę do twierdzy.

Esplanada rozciąga się aż po nad samą spadzi-
stość, nad którą stanąwszy otwiera się nam przepyszny widok na Ziemuń, obie rzeki oraz dalszą okolicę. Dnie też całe spędzają tu niektórzy mieszkańcy Belgradu, paląc fajki i odbywając rozkoszne kef. Ze zwiedzeniem fortecy niema żadnych trudności, i oddzielnego pozwolenia na to otrzymywać nie trzeba. Pomimo tego jednak jako oficer austryacki za opłatą jednego piastra uzyskałem od miejscowego komendanta tureckiej załogi kartkę zaopatrzoną jego podpisem i pieczęcią. Uzbrojony tą kartką ruszyłem przez trzy bramy i dwa mosty rzucone po nad rowy, do wnętrza fortecy.

Wnętrze twierdzy składa się z obszernego pla-

eu opuszczonego i zaniedbanego pod każdym względem; przy placu tym stoi nowy konak paszy, moszea i gmach głównej kwatery. Z baterji położonej naprzeciw bramy ku północy roztwiera się przepyszny widok, a u stóp widać dolną twierdzę z jęj forwerkami i obok przepływający Dunaj. W ostatnich czasach przed mojem przybyciem do Belgradu, turcy zaczęli poprawiać wały i zaopatrywać fortecę w broń i amunicyę. Obszedłszy wały, baterye i zwiędziwszy tureckie koszary, czyniąc zadosyć przyjętemu zwyczajowi udałem się do baszy, aby mu podziękować za udzlelone mi pozwolenie zwiędzenia twierdzy.

Basza był uprzedzony o mojej wizycie, zastałem go też siedzącego z podwiniętými nogami na niskiej otomance w sali przyjęć. Tłumacz naszego konsultu, który mi towarzyszył, przedstawił mnie baszy. Byłto człowiek już niemłody, o poważnej fizyognomii, na której malowała się niewysłowiona dobrodusznosc. Machinalnie zrobiwszy ręką zwykły ruch powitalny, wskazał mi miejsce obok siebie. Siadłem też na otomance, podwijając pod siebie dosyć niezgrabnie swoje nogi.

Tłumacz ze skrzyżowanemi rękami na piersiach stał przed nami, pośrednicząc w rozmowie.

— W dzięczny jestem ci, baszo, rzekłem, za pozwolenie jakies mi udzielił na zwiędzenie twierdzy, która wielce mnie zajęła, a mianowicie przesliczny widok z baterji północnej.

— Dziękuję Allahowi, odparł po chwili poważny basza, iż mi pozwolił oglądać oczyma memi do-

stojność twoją i zrobić ci tę małą przyjemność a sędzę że nie zaniedbasz powiedzieć twemu padyszachowi jak cię tu przyjąłem i jak się cieszę, że mogę w domu moim ugościć jednego z wojowników jego. Oby Allah błogosławił tę chwilę, w którejś przekroczył próg mego konaku.

— Nie zaniedbam spełnić życzeń twoich, rzekłem cedząc słowo po słowie, aby tęp większą powagę nadać sobie, i również proszę cię, dostojny baszo, chciój swojemu wielkiemu padyszachowi wynurzyć moją najgłębszą cześć i podziękuj mu za tę gościnność, jakiej nasi rodacy w jego państwie doznają.

— A z jakiegoż ty kraju? zapytał basza, patrząc na mnie uważnie.

— Z Lechistanu, odparłem, z owego kraju z którym twoi przodkowie tak częste wojny prowadzili.

— Rozumiem, rzekł po chwili basza, wasz to był wielki wojownik i potężny padyszach, który nasze wojska ciągnące na Wiedeń pobił na głowę; o znam to, znam dobrze, lecz mimo że wtedy przodkowie nasi żyli w niezgodzie, dziś jest inaczej i oby Allah tę zgodę nadal błogosławił.

— Oby Bóg to sprawił! odparłem podnosząc rękę do czoła i pochylając głowę z taką powagą, jakbym był najprawowierniejszym turkiem.

Po zamianie tych słów paru nastąpiło między nami głuche milczenie. Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Basza, który trzymając gałki bursztynowe związane na złotym sznureczku powolnie je przesuwiał, zdawał

się drzemać, ja zaś usiłowałem się poprawić na siedzeniu, bo nieprzyzwyczajonemu do siedzenia na sposób turecki nogi zaczęły cierpnąć.

— Myślę, baszo, rzekłem po chwili, że Bóg używając ci zdrowia pozwoli, abys długo jeszcze był komendantem téj twierdzy i że przyjazne stosunki panujące między naszymi władcami nigdy zerwane nie będą.

— Allah jest wielki i w mocy jego jest wszystko, odparł basza poważnie; i ja myślę i życzę twojej dostojności, abys żyjąc w zdrowiu nie zapomniał o przyjacielu swoim.

Po krótkiej chwili milczenia, jakie znowu nastąpiło, basza, z całą flegmą klasnął parę razy w dłoń i na znak ten bocznemi drzwiami weszło do sali pięciu drabów. Jeden szedł przodem a zbliżywszy się do nas pokłonił się najpierw swemu panu, następnie mnie, czterej idący za nim turcy, przybrani dosyć schludnie a nawet i z pewnym wykwintem niesli na tacach kawę czarną i różne słodycze. Na dany znak przez tego który szedł przodem, podano nam kawę w małych filiżankach. Basza z powagą zaczął pić podaną mu kawę, mlaskając językiem jakieś niezrozumiałe wyrazy; ja zaś popijając także usiłowałem go naśladować, lecz ból jaki czułem w nogach nie pozwalał mi delectować się wyśmienitym napojem. Po wypiciu kawy, basza skinął znowu, i na małych stołeczkach postawiono przed nami przyniesione tace ze słodyczami. Były to orzechy smażone w miodzie, jakieś małe ciasteczka

zdaje się że z migdałów i konfitury z róży, wszystko to rozłożone było na miniaturowych spodeczkach i zaopatrzone małemi srebrnemi łyżeczkami. Skosztowawszy z podanych słodyczy, znowu siedzieliśmy milczący, gdy oto na znak dany przez baszę, przyniesiono ponownie czarną kawę i weszli dwaj czibukczci, niosący zapalone fajki na długich cybuchach. Podano nam je. Przyłożyłem do ust olbrzymi bursztyn zdobiący cybuch i pociągnąłem, silnie puszczając przed siebie spore kłęby arcywonnego dymu. Nogi coraz bardziej mi cierpły, wyciągnąłem je przed siebie i tak już do końca mej wizyty siedziałem.

— Twoja dostojność, baszo, rzekłem, dosyć często musisz tu miewać odwiedziny podróżnych i naszych wojskowych? Wielu mi mówiło, że zawsze gościnnie ich przyjmowałaś!

— Jest to naszym obowiązkiem, odparł basza, gościnność jest przepisana alkoranem, bo gość każdy wnosi błogostawieństwo w dom wiernego sługi Allaha.

— Piękna to zasada, która i u nas w Lechistanie jest wykonywaną.

— Mówi dostojność twoją, rzekł basza, że jesteś z Lechistanu; powiedz mi więc czy to daleko stąd?

— Do Lechistanu stąd jest tak daleko jak do Istambułu.

— Czy w Lechistanie jest tak pięknie jak tu u nas?

— Różnie tam jest, są miejsca o wiele piękniej-

sze i wspanialsze od Belgradu lecz tak pięknych jak Istambuł niema.

— O! o! i poważny turek zaczął głową kiwać. A czy twoja dostojność była kiedy w Istambule?

— Nie, nie byłem tam, lecz czytałem i słyszałem wiele o piękności tego miejsca, które podobnego sobie w całej niema Europie.

— To prawda, to prawda!

Na tém przerwała się nasza rozmowa, a że i tak już za długo trwała, przeto podniosłem się z siedzenia i oddając pokłon baszy rzekłem:

— Żegnam cię, dostojny baszo, i odchodząc unosząc z sobą miłe wspomnienie mego pobytu u ciebie; lecz proszę cię zarazem, abys mnie w swej pamięci chciał zachować. Bóg z Tobą!

— Allah! niech czuwa nad twemi krokami! odparł basza, również powstając z siedzenia i podając mi rękę zwyczajem europejskim. Myśl moja za tobą gonić będzie, dopóki Allah nie powoła mnie przed swoje oblicze.

Basza, skłoniwszy się mi wedle zwyczaju wschodniego, odprowadził do drzwi sali, gdzie nowe nastąpiły ukłony i nowe uściśnienia ręki, wreszcie wyszedłem od gościnnego baszy, którego w kilkanaście minut później widziałem jadącego konno do dolnej fortecy w odwiedzinie do księcia.

Wracając z twierdzy przeszedłem obok angielskiego konsulatu ku tureckiej dzielnicy, która zupełnie odrębny ma charakter niż dzielnica serb-

ska, w której charakter europejski jest jeszcze zachowany. Widok tureckiej dzielnicy nadzwyczaj mnie zajął. Charakterystyczna odrębność tej części polega nie tylko na architekturze wznoszących się tu budynków, lecz przeważnie na tém, że ludność cała prawie żyje i wszelkie swe czynności na ulicy załatwia. Warsztaty i sklepy szeroko rozwarłe pozwalają zajrzeć do ich wnętrza. Szewcy, krawcy, siodlarze a nawet i piekarze pracują tu publicznie siedząc przed swemi zakładami. Wyśmienity tytoń w papuczach, jako téż i cieniuchno krajany, leży całemi stertami na podłodze z desek przed sklepami, a poważny turek, właściciel tytoniu, łałąc fajkę i przesuważąc w palcach paciorki kokosowe, od czasu do czasu piskliwym głosem zachwala swój towar. Z rybnego targu podążyłem ku tureckiej łaźni a stamtąd na obszerny plac, gdzie wznosi się piękny lecz parterowy ratusz. Miejską bramą, „*Stambul kapi*”, zbudowaną przez Loudonę, wchodzimy na przedmieście Teresy, zamieszkałe przez Serbów, a minawszy wielki targ na bydło, zbliżamy się do willi otoczonej pięknym parkiem. Właśnie gdym tedy przechodził basza-komendant twierdzy, jeżeli się nie mylę Selim Basza, u którego byłem z wizytą, znajdował się u księcia z odwiedzinami, które, jak się później dowiedziałem, miały na celu zakomunikowanie mu nowego firmanu sułtana, nakazującego, aby książę kazał zdjąć swą flagę wywieszoną nad przystanią. Stąd idąc w dół ulicy Sawy zbliżyłem się do wielkich magazynów i przystani.

Belgrad (Bijohrad, Nandor-Féjérvár, po turecku:

Darol-Dschihad) położony jest u zbiegu Sawy i Dunaju na prawym jego brzegu; składa się z twierdzy, miasta tureckiego, serbskiego, trzech przedmieść i dolnej twierdzy. Z 14 moszei tu będących ani jedna nie zasługuje na szczególną uwagę, tem bardziej że niektóre z nich są nawet w ruinach. Belgrad liczył w czasie mego tamże pobytu 17650 mieszkańców i był stolicą księstwa serbskiego, podlegającego lennictwu sułtana. Belgrad siedziba księcia panującego, arcybiskupa grecko-wschodniego obrządku, głównych władz krajowych, towarzystwa uczonych, liceum, gimnazjum, grecko-teologicznego kollegium, szkoły handlowo - przemysłowej posiada w murach swoich kilka pięknych cerkwi i kościołów, a jako miasto handlowe i przemysłowe zajmuje znaczniejsze stanowisko. Belgradzkie wyroby z jedwabiu, broń i dywany, jako też wyroby skórzane znane są w świecie handlowym. W hotelach i kawiarniach mówią po francusku; zresztą zaś po serbsku i turecku.

Ze stanowiska militarnego Belgrad już przez Rzymian był wielce ceniony i jako *Singidunum* silnie był otoczony murami. W r. 1342 serbski despota Duszan zbudował tu sobie na szczycie góry warowny zamek. Cesarz Zygmunt nabył w drodze kupna Belgrad, który, opierając się parokrotnie Turkom, nareszcie r. 1521 przez nich był zdobyty i przez ciąg 167 lat w ich posiadaniu pozostawał. W r. 1688 kurfirst Max Emanuel Bawarski wypędził ztąd Turków, lecz ci r. 1690 znowu przez zdradę weszli do Belgradu. R. 1717 książę Eugeniusz ponownie zdobył Belgrad i

zrobił zeń pierwszorzędną fortecę, którą r. 1779 przy zawarciu belgradzkiego pokojowego traktatu oddać trzeba było. R. 1789 zdobył znowu tę twierdzę Laudon, lecz r. 1791 Austria była zmuszoną ostatecznie oddać ją turkom. W r. 1806 w dniu 12 grudnia przywódca serbski Grzegorz Czerny w czasie walki o niepodległość zdobył Belgrad na turkach, lecz r. 1813 serbowie musieli twierdzę oddać w ręce turków, którzy odtąd swoją tu trzymali załogę (aż do wojny 1878r.).

IV.

Przewiózłszy się przez ramię Dunaju na łodzi rybackiej, wsiadłem pod Ziemuniem na statek dążący na wschód. Minąwszy malowniczo położony Belgrad i przepłynąwszy tuż pod wałami dolnej twierdzy jako też pod wieżą „*Nebojse*“, wznoszącą się na przylądku Sawy. wydostaliśmy się na miejsce, gdzie brzegi Dunaju są bardzo niskie i bagniste.

Pancsowę, położoną nad Temesem, widać w głębi na lewym brzegu Dunaju. W miejscu tem z lewej strony wpada Temes, po którym lekkie statki parowe krążą. Tu u przystani zatrzymawszy się chwilę, podążyliśmy dalej mijając Homolicz i Hubin.

Prawy brzeg już od Homolicz począwszy zaczyna być wielce zajmujący różnaitością swoją. Przyjeżdżamy więc po pod Grozka, gdzie r. 1737 austriacy zostali pobici i zmuszeni do zawarcia niekorzystnego pokoju w Belgradzie i przybywamy do Semendryi, znaczniejszej twierdzy, r. 1433 przez Brankovicia zbudowanej, tworzącej dziś jeszcze bardzo malowniczy widok przez swe liczne wieżycy i bastiony,

z poza których wychyla się piękny nowo zbudowany kościół. Dalej cokolwiek do Dunaju wpada Morawa, tworząc z Dunajem sześć mil długą wyspę: *Ostrowa*. Prześliczne są tu ruiny serbskiego fortu Rama, wznoszące się na skale po nad ubożuchną wioseczką Uj-Rama naprzeciw O-Palanka u ujścia Newy.

Od tego punktu rozpoczyna się nadzwyczaj ciekawa 17 mil długa przestrzeń, a mianowicie przetrznięcie się Dunaju przez góry, które na lewym brzegu całemi masami na przód występować zaczynają. Z wpływieniem statku w tę okolicę uczuwamy nagle silny i bezustanny przeciąg powietrza, które wywołuje tak gwałtowne falowanie rzeki, że okna dolnego pokładu szczelnie zamknięte być muszą, jeżeli podróżni nie chcą przymusowej użyć kąpieli. Lecz oto zbliżamy się do Bazjas, i do serbskiego *Gradistie* ze szczątkami starej twierdzy, która miała się wznosić na miejscu, w którym Trojan zbudował most łyżwowy. Na brzegu austriackim widzimy *Starą Moldawę*, gdzie dawniej podróż wodna statkami parowemi kończyła się, a podróżni przez progi na Dunaju będące przebywali na łodziach. Dziś jeszcze dzieje się toż samo gdy wodostan jest niski; jakoż w czasie mój podróży musieliśmy statek opuścić i przesiąść się na parową łódź: „*Karol Ludwik*“, zagłębiającą się tylko 12 cali.

Brzeg serbski na dosyć znacznej przestrzeni przedstawia się tu jako wysoka i stroma ściana glinia sta, gdy tymczasem brzeg lewy mile bawi oko swą żywą zielonością, przerywaną tu i owdzie malowni-

czo rozrzuconemi skałami, po których spinają się liczne trzody kóz. Niezaradność, niewytłumaczona apatya mieszkańców Pogranicza sprawiła to, że w okolicach tych koza jest najulubieńszém stworzeniem, a to chyba dla tej jedynej przyczyny, że nie wymaga dozoru i jakiegokolwiek pieczy.

Już to przyznać należy, że ludność tutejsza, aczkolwiek słowiańska, najmniejszej sympatii nie budzi; przeciwnie wywołuje pewien rodzaj wstrętu. Granicarze są więcej podobni do Greków niż do innych Słowian, a przytém dodać należy, że są arcyniechlujni i tchórzliwój bardzo natury; pomimo tego jednak lud zaciekły i mściwy. W okolicach tych, dzięki koziemu gospodarstwu, niéma ani krzaczka, lasy są zupełnie wyniszczone; dla tego też następnego roku po mej podróży ministryum rolnictwa wydało surowe polecenie, aby kozy wytępiano i gospodarstwo leśne zaprowadzano. Czy rozkaz ten odniósł jaki skutek nie wiem.

Poniżej Mołdawy znajduje się nowa zakładająca się osada, nazwana później Coronini. Minąwszy tę osadę przepływamy około skały wznoszącej się w środku Dunaju; skała ta zwie się Babakai; naprzeciw tej skały, otoczonej uroczém podaniem ludowém, widać najwspanialsze ruiny, jakie zdobią dolny Dunaj. Są to szczątki twierdzy *Golubacz*. Tuż nad samym brzegiem wznosi się potężny ośmiobok, tworzący dolną twierdzę, od której w górę ciągną się podwójne mury z basztami, połączone na szczycie skały z górnym zamkiem składającym się z trzech wieżyc, zbudowanych na trzech oddzielnych skałach.

Golubacz był r. 1391 najpięrszą zdobyczą turków i wedle podania miejscowego dzisiejsza twierdza wzniesioną i zamieszkiwaną była przez cudownie piękną turczynkę: *Gerinę*, która, jak czeska Libussa, siedzącą swą zamieniła na widownię krwawo kończących się miłostek. Ztąd też prosta i turecka nazwa téj miejscowości: „*Göger dschiulik*“ (Gołębnik). Nim jeszcze przyładek na którym leży Golubacz opłyniemy, spostrzegamy w prostopadłej skale jaskinię, do której był przystęp z zamku. Otóż w jaskini tej, wedle podania, Ś. Jerzy zabił smoka, i na gnijącym cielsku tego potworu wyroiły się słynne a tak dokuczliwe: *golubackie komary*. Rok rocznie na początku maja z jaskini tej wylęgają olbrzymie roje tych małych potworów, które nietylko dla ludzi lecz i dla zwierząt są niebezpieczne. Statystycznie bowiem ma być dowiedzione, że r. 1783 te komary zagryzły w Dognaczkuzku 52 koni, 111 bydła rogatego, 130 świń i 310 owiec; r. 1813 pod ciosami komarów golubackich padło 700 sztuk bydła rogatego, a r. 1839 całemi stadami dotarły one aż nad Litawę i Morawę.

Chcąc zaradzić téj pladze zamurowano kilka otworów jaskini, w której te owady się wylęgają; usiłowano też roje te zabić dymem siarczanym, lecz wszystko to okazało się bezskutecznem. Owad ten należy do rodzaju *Simulium sericeum* i przebywa przeważnie na całej przestrzeni między Golubaczem aż po górę Eotz.

Babakai i Golubacz są niejako przedsionkiem śwvych progów Dunaju, owój najwspanialszej i naj-

piękniejszej przestrzeni na całym Dunaju, której żadna inna w Europie całej nie dorównywa. Góry coraz bardziej zbliżają się do Dunaju, rosną coraz wyżej i wyżej, pokrywając się lasami i tworząc arcy malownicze widoki. W wąwozach przerywających te góry tu i owdzie rozsiadły się ubogie wioski, ożywając okolice, które coraz dzikszy przybierają charakter. Na serbskim brzegu widzimy Bernicze, a na austriackim: Lupkowa, Berzaska i Drenkowa, która to ostatnia miejscowość jest stacją parostatków; statki tu nabierają węgla, a przy niskim stanie wody następuje tu także zmiana parostatków, gdyż duże statki dalej płynąć nie mogą z powodu podwodnych raf. Przy bardzo niskim stanie wody, co nadzwyczaj rzadko następuje, już z Mołdawy podróżni jadą drogą lądową aż do Turn-Severin, skąd dalej na wschód dążą statkami.

W Drenkowie na statek przybywa locman, a u steru staje trzech do czterech ludzi. Przy wysokim stanie wody, progi przebywają się szybko i z taką łatwością, że nikt nawet nie wie kiedy to nastąpiło. Przy niskim stanie wody falowanie jest tu dosyć silne, podobne do „*maretty*“ na pełnym morzu; falowanie to jednak nie jest tak potężne, aby mogło grozić jakim niebezpieczeństwem. Statek z chyżością strząły wypuszczonej z cięciwy pędzi unoszony spienionymi falami, pomiędzy rafami wychylającymi swe skaliste grzbiety po nad błękitne tonie, które, uderzane szybko obracającymi się kołami statku, burzą się i pienią, ota-

czając cały statek jakby siatką mglistą a w niej tę-
czowemi barwy łamią się promienie słoneczne.

Poniżej Drenkowy, z środka rzeki wyłania się
rafa *Szirinia*, i tu naprzeciw tego miejsca na serbskiej
stronie 3—4 stóp ponad wodą widać w skale wykute
czworokątne otwory, w których niegdyś wsadzone by-
ły belki, służące za podpory kładek utrzymywanych
przez rzymian. Podobne otwory widać i w innych
miejscach, a mianowicie tam, gdzie skały prostopadle
do rzeki zstępują.

Za rafą *Szirinia* spotykamy rafy *Bivoli* *Kozła*,
Stenka, *Izlas*, *Tachtalia* i *Hrebien*. Ta ostatnia rafa
bierze swe nazwisko od serbskiego przylądka *Hre-
bien*, który statki okrążają, chcąc się między skałami
dostać do spławnego kanału rzeki. Przy wysokim
stanie wody statek płynie środkiem rzeki, gdy zaś
wody opadną, wtedy statek nagle skręcać musi po pod-
samym przylądkiem i to z taką siłą i szybkością, że
cały pochyla się na bok. Falowanie rzeki jest w
miejscu tem bardziej silne i wprawia statek w oscy-
lacyą, wywołać mogącą u osób wrażliwszych skutki
choroby morskiej. Gdy minimy *Hrebien*, dolina któ-
rą Dunaj przepływa rozszerza się cóskolwiek, i tu po
stronie serbskiej spostrzegamy letnią rezydencyą księ-
cia Miłosza „*Milanowacz*“, na lewym zaś brzegu ma-
lowniczą strażnicę *Trikule*. Olbrzymia silnie zbudowa-
wana wieża, wznosząca się nad brzegiem rzeki, jest
tu głównym punktem stancy, i tu główna jej strażni-
ca, z kąd ścieżka po skałach wijąca się pomiędzy dwie-
ma mniejszemi wieżami prowadzi wyżej i tam stoją
pograniczne strażę na czatach

Minąwszy rafę Jusz, przybywamy do Ogassumare, Tissowicy i Plavizoviczy. Tu Dunaj zwięża się do 87 sążni, i wpływamy w kotlinę *Kazan*, w której Dunaj liczy 168 stóp głębokości. Po obu stronach pionowo do wysokości 2—3000 stóp wznoszą się skały lasem porośnięte u góry. Tu kończyła się niegdyś droga, prowadząca wzdłuż lewego brzegu, a chcący się dostać ztąd do Orsowy musiał przedzierać się przez skały. Od r. 1835, staraniem hr. Stefana Széchényi, a pod kierunkiem inżyniera Vasarhely wykuło tuż po nad rzeką piękną szosę, tak zwaną drogę „*Klissury*“.

Opłynąwszy przylądek widzimy na lewym brzegu strumyczek sączący się po pod ową szosą; strumyk ten wypływa z wielkiej jaskini, która tworzy tunel naturalny 500 stóp długi. Nieopodal od tego miejsca spostrzegamy nową czatownię, ponad którą znajduje się jaskinia „*Veteran'ego*“. Przed tą jaskinią czerwienią się mury forteczne, i te jaskinię w zupełności od otworu rzeki zasłaniają. Jaskinia pomieniona jest bardzo wielka i oświetlona otworem w górze. Jaskinię tę r. 1691 ufortyfikował generał Veterani, i tak wtedy jako też r. 1788 osada téj nadpowietrznej twierdzy, licząca 300 ludzi, zaciekle broniła turkom przystępu w głąb kraju.

Za tem miejscem widzimy w ciągu dalszej podróży osady nadbrzeżne po stronie pogranicza banackiego: Dobowę, Ogradinę i Jeselnicę. Naprzeciw Ogradiny po stronie serbskiej spostrzegamy w prostopadłej dolomitowej ścianie słynne tablice Trajana.

Osadzone one są do trzech sążni ponad wodą w rodzaju głębokich nisz, a tuż popod niemi ciągną się ślady rzymskiej kładki. W r. 1855 napisy na tablicy odczyszczono i odnowiono.

Napisy te brzmią jak następuje:

„Imperator Caesar divi Nervae filius —
 Nerva Trajanus Augustus Germanicus
 Pontifex Maximus tribunitice potestatis quartum
 Pater Patriæ consul quartum —
 Montis et fluvii anfractibus
 Superatis viam patefecit.

Otóż, jak z tego napisu widać, droga prowadząca tędy otwartą była przez Trajana 101 r. po N. Chr. Napisów podobnych jest jeszcze więcej, a mianowicie pod Poljetin, lecz tam odnoszą się one do Tyberyusza.

Przybywamy nareszcie do Orszowy, a raczej do Starój Orszowy, bo Nowa-Orszowa znajduje się po stronie tureckiej i jest pograniczną twierdzą na wyspie śród Dunaju.

Orszowa, rzymskie *Beliogonum*, prześlicznie położone miasteczko ze względu na liczne pamiątki i godne zwiedzenia okolice spowodowała mnie, iż tu dalszą moją podróż przerwałem.

Rozlokowawszy się w hotelu „pod Krzyżem“, poszedłem na miasto, zwiedzając przystań, kwarantannę i browar, w którym znajdują się rzymskie sarkofagi, amfory i inne pamiątki. W bazarze zwiedziłem sklepy zapełnione cybuchami, fajkami, tytuniem, duczasami (konfitury tureckie) i pantoflami, poczem udałem się do kaplicy „Koronnej“.

Poniżej Orszowy w półmilionowej odległości leży owo słynne miejsce, na którym r. 1853 dnia 3 września odnaleziono żelazną skrzynię, zawierającą w sobie insygnia koronne Węgier wraz z koroną S. Szczepana, którą Kossuth uchodzący do Turcyi w tym miejscu zakopał. Długi czas panowało mniemanie, że Kossuth te insygnia z sobą zabrał, lecz, jak się później okazało, tak nie było. Z opowiadania dziewczyny pewnej, która służyła w domu, w którym Kossuth w czasie swego pobytu w Orszowie się znajdował, wynioskowano, że Kossuth ciężkiej skrzyni ze skarbami nie uwiózł, lecz że ją na ziemi węgierskiej gdzieś zakopał. Otóż po długich badaniach i poszukiwaniach zdołano się wywiedzieć, że w nocy przed ucieczką do Turcyi, Kossuth, wraz ze swymi towarzyszami, udał się był wozem obładowanym ku górze Allion. U podnóża téj góry, po za rzeczką Czerną uchodzącą w tym miejscu do Dunaju, znajduje się wązki pas ziemi terytorjum neutralnego, rozdzielającego Turcyą od Austryi. W tym też miejscu na zasadzie z Paryża otrzymanych wskazówek pod kierunkiem audytora Kargera rozpoczęto poszukiwania i po dosyć długim upływie czasu, tuż w pobliżu paru rosnących tam drzew, odkopano poszukiwane skarby. Na miejscu tém wzniesiono kaplicę, klucz do której przechowuje strażnik mieszkający w pobliskiej csardzie. Kaplica zbudowana jest w stylu otomańskim. We wnętrzu jej w środku rotundy znajduje się marmurem wyłożone zagłębienie, w miejscu w którym skrzynia była ukryta; na płycie marmurowej przykrywającej ten otwór wy-

rzeźbione są insygnia korony węgierskiej. Odnalezione insygnia z wielką uroczystością przewieziono do Budy, później do Wiednia a ostatecznie znowu do Budy, gdzie są obecnie złożone.

Węgierskie insygnia koronne, które w wiedeńskim cesarskim skarbcu w Burgu, przed ich ostatecznym przewiezieniem do Budy (r. 1860), oglądałem, składają się z płaszcza koronacyjnego, berła, jabłka, pantofli, miecza, krzyża i korony Ś. Stefana. Płaszcz koronacyjny: *Casula Giselaë reginaë* pierwotnie był mszalnym ornatem, który Ś. Stefan i jego żona Ś-ta Gizela ofiarowali przez nich fundowanemu kościołowi w Szèkes-Féjervar (Stuhlweissenburg), jak to stwierdza złotem wyhaftowany napis: „*Casula hæc data et operata est ecclesiae St. Mariae sitae in Civitate Alba anno ab incarnatione Christi IVIXXX indictione XIV, a Stephano rege et Gisela regina.*“ Tkanina, z której płaszcz ten jest zrobiony, jest adamaszkiem jedwabnym wyrobu bizantyjskiego, w którym nitka jedwabiu niebielonego z purpurową osnową tworzy gwiazdy i róże. Na tém delikatnym tle haft złoty tak jest wykonany, że złote nitki obok siebie będące nie są przeciągane, lecz krótkimi ściegami przytwierdzone. W owalnych medalionach nadto są ściegiem drobnym (petit point) artystycznie wykonane obrazy przedstawione. W medalionie środkowym widzimy Zbawiciela świata siedzącego na tarczy i błogosławiącego prawą ręką, gdy pod nogami wije się smok. Ponad tym wychyla się z obłoków ręka Boga Ojca, a niżej znajduje się obraz Matki Boskiej. Półkolem ota-

cza to wszystko powyżej nadmieniony napis, który łączy się z dwiema kolumnami medalionów przedstawiających Proroków i 12 Apostołów. Oprócz znacznej liczby innych świętych i figur symbolicznych są tu nadto popiersia ofiarodawców i ich syna Emerycha. W przeszłym wieku okazała się konieczna potrzeba restauracyi tego płaszcza i z tego to czasu pochodzi podszewka i obszycie; w czasie téj restauracyi jednak pierwotny dzwoniasty kształt kasuli zmieniono, wycinając ją na wzór pluwialu, przez co uszkodzono cykl medalionów. Pierwotny płaszcz koronacyjny St. Stefana jak się zdaje zaginał za Solimana; teraźniejszy zaś sporządzony został na koronację Maryi Teresy z ornatu, który przechowywany był od r. 1543 w cesarskim skarbcu w Wiedniu. Pomimo tego jednak „Casula“ jest arcy cenną, przeszło 800-letnią pamiątką, nie tylko pod względem swéj starożytności, ale i pod względem wielce artystycznego wykończenia.

Berło jest odmiennego rodzaju od wszystkich innych, ma bowiem kształt buzdyganów, jakie w muzeum peszteńskim widzieliśmy. Berło to składa się ze złotej rękojeści, zdobnej w przesliczne filigrany, i z 7 centymetrów w przecięciu liczącej kuli z kryształu, otoczonej złotym filigranem, z którego zwieszają się złote łańcuszki, zakończone takimiż kuleczkami. Złotnicze roboty tego berła niewątpliwie pochodzą z XII wieku. Jabłko jest bardzo skromne, 9 centym. w przecięciu, z połączonej srebrnej blaszki i mające u szczytu gładki krzyż patryarchalny. Pończochy i sandały stały się już bezużyteczne; sandały, jak się

zdaje, pochodzą z czasów Matiasza II, pończochy zaś z początku XVIII wieku i są z tejże samej materii zrobione co i podszewka kasuli. Miecz jest najniewątliwiej najnowszym nabytkiem, i niczem nie różni się od zwykłego rycerskiego miecza. Krzyż, w którym kilka sztuk relikwii się znajduje, jest, podobnie jak berło, ze złota filigranową robotą wykonany i niewątpliwie również z XII wieku pochodzi. Pierwotną podstawę krzyża tego zastąpił w XVI wieku jakiś włoski artysta. Krzyż ten przechowywany był w Estragom i służył wczasie koronacyi jako pacyfikał, na który król składał przysięgę, że prawa Węgier utrzyma.

Najcenniejszą i najdawniejszą relikwią pomiędzy temi insygniami jest korona St. Stefana, która pod względem starożytności, historyi i artyzmu na równi stoi z włoską koroną żelazną. Korona ta w istocie pochodzi z XI wieku i główna część jej niewątpliwie spoczywała na głowie St. Stefana. Korona składa się z dwóch części, pierścienia i górnych obręczy. Pierścień czyli obręcz dolna, cała ze złota, 20 centim. średnicy, ozdobiona jest ośmiu emaliowanemi popiersiami, pomiędzy któremi osadzonych jest 8 dużych nieszlifowanych szafirów. Na pierścieniu tym z przodu pomieszczonych jest 9 stożkowatych bogato przyozdobionych pól, z których środkowe przedstawia Chrystusa na tronie. Dołem od obręczy tej zwieszają się łańcuszki złote, które są zakończone, jakby kutasikami, drogiemi kamieniami w kształcie liści koniczynowych. Obręcz ta charakterystyczna nosi na sobie cechę wyrobu bizantyjskiego z końca

XI wieku i stanowiła dar bizantyjskiego Cesarza Michała Dukasa, przesłany królowi Geyzie między rokiem 1076 a 1077. Dowodem tego portret pomieszczony obok wizerunku Chrystusa a opatrzony (greckim) nadpisem: „*Michael in Christo fidelis Romanorum imperator Ducas*“, tuż obok widzimy jego syna Konstantyna, a na lewo popiersie obdarowanego „*Geobyts (Geysa) dominus fidelis, rex Turciae*“ (*). Na obręczy téj spoczywa złoty emalią ozdobiony skrzyżowany podwójny kabłąk, który w miejscu gdzie się krzyżuje, pomieszczony ma powtórnie wizerunek Zbawiciela. Oprócz tego kabłąk ten zdobią popiersia 8 apostołów, gdy tymczasem na obręczy są popiersia archaniołów Michała i Gabryela. W skutek téż tych ozdób korona otrzymała nazwę „*Apostolska*“ lub téż i „*Anielska*“. Z tego wnosząc cośmy tu opisali, przekonywamy się, że część dolna korony pochodzi z Bizancyi, część zaś górna z Rzymu i stanowi zasadę korony, którą papież Sylwester II poświęcił i St. Stefanowi przesłał, a którą tenże r. 1000 był koronowany. Jak nowoczesne naukowe badania wykazały, korona, którą St. Stefan się koronował, była przeznaczona dla Bolesława Chrobrego, lecz w skutek intryg dostała się w ręce Węgrów. Otóż część dolna tej korony zaginęła gdzieś; w skutek więc tego starożytną grecką obręcz połączono z kabłąkami rzymskie-

(*) Turcyą zwali Bizantyjczycy, aż do XI wieku, Naddunajskie kraje między Cisą a Dunajem.

mi, dlatego też słusznie tę koronę zwać można koroną St. Stefana. Przy składaniu tych części u góry musiano na kabłąkach wizerunek Chrystusa przedziurawić, aby u szczytu pomieścić krzyż zaczepiony dwiema antabkami. Krzyż ten lekko osadzony z czasem przegiął się znacznie na lewo co, jak lud twierdzi jest charakterystyczną oznaką téj świętej korony.

Koronne insygnia po rok 1526 po większej części przechowywane były w Vissehradzie, a terażniejszy płaszcz koronacyjny w Székes-Fejervar, zkąd r. 1543 wojska niemieckie i włoskie, mające dozwołony wolny wymarsz, zabrały je i tym sposobem przed Turkami uratowały. W następstwie wszystkie insygnia razem znajdowały się w Possony i dopiero r. 1790 przeniesione zostały do zamku królewskiego w Budzie. Złożone są one w skrzyni i są pod kluczem i pieczęciami palatyna, księcia prymasa, dwóch strażników koronnych i królewskiego komisarza. W czasie koronacji insygnia koronne, wedle stałego zwyczaju, są zawsze przez trzy dni na widok publiczny wystawione.

Wróciwszy z wycieczki do kaplicy koronnej dnia następnego przepływającym statkiem udałem się do Ada-kalessi (Nowa Orszowa), twierdzy tureckiej położonej na wyspie w samym środku Dunaju; lecz tu, nie mając nic ciekawego do widzenia, wysiadłem na brzeg pod górą Allion, na szczyt której przy pomocy przewodnika wdrapałem się.

W zachodniej stronie, tuż u stóp góry, wpada, do Dunaju rzeczulka Bagna, u ujścia której wznosi się młyn zwany „*Wodica*“, i tu jest granica Austrii od

strony Wołoszy. Tu też zaczyna się przesmyk, zwany *Zelazne wrota* (po turecku *Demirkapi*, po serbsku *Denje djerdap*). Rzeka jest tu 600 stóp szeroka, lecz cała jej szerokość na przestrzeni 10200 stóp z lewego brzegu i 8400 stóp z prawego brzegu zasiana jest rafami. Kanał spławny, którego statki przemykają, jest tylko 240 stóp szeroki i gwałtownie na prawo się zwracający. U prawego brzegu jest drugi kanał, wąski, bardzo kręty i nadzwyczaj głęboki; tym też kanałem płyną statki idące w górę. Nad uregulowaniem łożyska pracują już od r. 1834, i r. 1857 przedsiębrano ostateczne rozsadzanie skał i zapór. Przy niskim stanie wody progi tutejsze wielce malowniczo przedstawiają widok. Nasyciwszy się widokiem tej miejscowości i ogłuszony niemal hukiem burzącej się wody, z Allionu podążyłem pieszo przez góry i wąwozy do Mehadji i słynnych kąpiei herkulesowych. Ze szczytów poszarpanego Allionu około południa już spuściłem się do zakładu kąpielowego, położonego nad rwącym i kryształicznej czystości potokiem Czerna. Góry, otaczające tę miejscowość, dochodzą do 3000 stóp wysokości, i gdy w wąwozie pełno jest zieleni i kwiecia, to nieraz szczyty gór pokryte są śniegiem. Klimat w tym wąwozie jest bardzo łagodny, tak dalece, że rosną tu winogrona, brzoskwinie i migdały! Tutejsze kąpiele alkaliczne znali już rzymianie, i ich *Thermae Herculis* uwieczniają licznie tu znajduwane tablice pamiątkowe, monety i t. d. a w baszcie Herkulesowego źródła widać jeszcze małą statuetkę przedstawiającą Herkulesa, którą uważa nie jeden rumun za

postać jakiegoś świętego, W miejscowości tej znajduje się 24 źródeł, a z tych dziewięć wydaje dziennie 6525 stóp kubicznych wody. Temperatura tutejszych źródeł dochodzi do 31° Reaum. i dla tego też, przed wpuszczeniem wody do basenu, ochładzają ją do 21°. W czasie mojej bytności w tym miejscu rozpoczynano budowę pawilonu łaźniowego wedle planu Hansena.

O piękności tutejszego położenia niema co mówić, jest ono bowiem przepyszne, pełne romantycznej dzikości, której słowami opisać nie podobna. Z żalem też wielkim po dwudniowym pobycie w tej miejscowości, ruszyłem na dalszą wędrówkę ku północy, a nie zatrzymując się w Mehadyi i idąc wzdłuż Białki (Bela rieka) wąwozem ze wschodu i zachodu otoczonym niebotycznymi skałami i urwiskami., zdażyłem pod wieczór do Karansebes (Karańszebesz), miasteczka położonego u skraju doliny rozszerzającej się ku północy, zkąd nazajutrz wózkiem zaprzężonym w jednego konia podążyłem ku Lugosz (Lugós), słynnej miejscowości z bitwy jaką tu Węgrzy r. 1848 stoczyli.

Zwiędziwszy pamiętne pole bitwy i szczątki bateryj sypanych przez węgierską artylerię, która tak dzielnie przyczyniła się do odniesienia świetnego zwycięstwa, dnia następnego pocztową karétką w towarzystwie dwóch węgierskich handlarzy win pośpieszyłem do Temesvaru, zkąd, nie zatrzymując się, pojechałem do Kis-Becskerek (Kisz-Beczkerék), gdzie zawiadomiony o przyjeździe moim oczekiwał mnie p. Kapi

Imre, pod przewodnictwem którego zamierzyłem zwiedzić środkowe Węgry a mianowicie komitaty csanadzki, csongradzki, debreczyński i szolnocski, a jeżeliby na to czas pozwolił to i część górno-węgierskich komitatów.

Głównym zamiarem moim było zwiedzenie i poznanie pobrzeży Cisy i jej dopływów, jako też zwyczajów i obyczajów mieszkających tu Jazygów, Kumanów i Cyganów, których największa liczba rozsiadła się około Debreczyna. Odpocząwszy dni parę pod gościnną strzechą przyjaciela, przez Gyertyamos, tontalską pustą (stepem) ruszyliśmy do Török Becse, gdzie nas pan Barbó-Ferencz miał oczekiwać, abyśmy razem tę podróż odbyli. Przestrzeń dziewięćmiłową dzielącą Kis-Becskerek od Torok-Becze, unoszeni dzielną czwórką zaprzęzoną do lekkiego wózka, przebyliśmy w niespełna sześciu godzinach, zatrzymując się tylko parę razy u przydróżnych csard (karczem), aby konie cośkolwiek odetchnąć a my łykiem wina ochłodzić się mogli. Przybywszy do Becse, zajechaliśmy prosto przed malowniczo nad brzegiem Cisy położony dom p. Barbó, który na nasze powitanie wybiegł z mieszkania. Wprowadzeni do domu, w dużym obszernym pokoju zastaliśmy towarzystwo składające się z honoracyorów miejscowych a mianowicie był tu proboszcz łaciński, pop serbski i sędzia gminny (szolgabiró), którzy przed chwilą jeszcze zajęci byli ozywioną partya ulubionego taroka.

Gospodarz zapoznał nas z obecnymi, i niebawem zawiązała się między nami żywa pogawędka.

Pop serbski, człowiek już niemłody, wzrostu słusznego, chudy, z siwiejącą brodą i takimiż długimi włosami, ubrany był w długą niebieską sutannę, na której miał taką zarzuconą ryzę, podszytą czerwonym jedwabiem. „Tati“ (Ojciec) *Wukowicz* (*Vukovics*) był dziekanem i mieszkał w sąsiedniej osadzie, odległej od Becse parę staj tylko. Na twarzy jego malowała się serbska nieufność i niemała doza chytrości; pomimo to jednak, jak mi mówiono, był to człowiek poczciwy lecz biedny i obciążony liczną rodziną. Jak wszyscy serbowie, tak i szanowny dziekan czystością nie grzeszył, a liczne plamy pochodzące z wina i tabaki, którą namiętnie zażywał, zdobiły wyszarzane jego ubranie. Proboszcz łaciński, mieszkający w miasteczku, wzrostu miernego, okrągłutki i pulchnutki, o twarzy gładkiej, starannie wygolonej, był węgram rodowitym i, jako taki, z góry patrząc na kolegę serba, żartował sobie wesoło z jego dziekaństwa i parafian. Pan sędzia, mały, krótki i gruby, z potężnym nosem i sumiastemi wąsami, śmiał się ciągle i donośnie z żarcików proboszcza, którego z łacińska po węgiersku zwał: *Illustriszszime*.

Po wieczery, korzystając z pięknej księżycowej nocy, odprowadziliśmy proboszcza do jego mieszkania. Na wychodnym gospodarz nasz doręczył nam potężne długie kije, zakończone wielką galką. Zapytałem w jakim je celu nam daje? Celem obrony przed psami! odpowiedziano mi.

Przechodzący wieczorem przez wieś lub małe miasteczko zamieszkane przez węgrows lub serbów,

prawdziwie naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia, gdyż w każdej chacie znajdują się co najmniej dwa lub trzy psy, które z nocą swobodnie puszczono włóczą się po wsi, i nimby kto nadbiegł na ratunek, to można być pewnym, że z napadniętego pozostałyby tylko szczątki; dla tego też każdy, nawet miejscowi mieszkańcy, nocą wychodzą uzbrojeni długimi kijami, aby napadające psy w przyzwoitej trzymać odległości.

— Na co trzymacie taką ilość psów? zapytałem proboszcza.

— Hm, na co? otóż widzisz pan, Serbowie boją się jeden drugiego jak złodziei, a węgry lub niemcy koloniści boją się także serbów z tej samej przyczyny!

Niema co mówić piękna straż bezpieczeństwa publicznego! przyznać jednak należy, że utrzymanie takiej straży gminę nic nie kosztuje, a jeżeli ten lub ów winny przez psy poturbowany zostanie, gmina za to nie odpowiada, bo i po co w nocy włóczyć się po wsi?

Serb okrada skrzętnego kolonistę niemca dla tego jedynie, że jest Niemcem, Niemiec zaś usiłuje doprowadzić serba do ostatniej nędzy, pożyczając mu pieniądze, a gdy tenże zwrócić ich nie może, sprzedaje lub zabiera serbowi całą osadę, wskutek czego ciągle są tu kłótnie i swary. W Török-Becse żywił niemiecki nie był licznie reprezentowany, i, jak twierdził proboszcz, za lat parę miejscowość tę Niemcy zupełnie opuszczają, przesiedlając się w głąb kraju mię-

dzy węgrows, z którymi nie tylko że żyją w zgodzie lecz nadto chętnie się z nimi łączą. Jeden z niemieckich kolonistów, który jawnie swą sympatyą dla węgrows okazywał, mówił mi raz: „Jesteśmy w Węgrzech, tu znaleźliśmy sobie byt, swoje i naszych „dzieci szczęście; dla czegoż więc mamy być w niezgodzie z nimi? tém bardziej, że Węgrzy nas od siebie nie odpychają tak jak Serbowie. Obcujemy więc i łączymy się z Węgrami, przyjmujemy ich zwyczaj i mowę, bo z tém nam dobrzel“

Kolonizowanie się niemców w Węgrzech mniej jest dla Węgrów straszne niż kolonizowanie się Słowian, bo niemcy w drugim a najdalej trzecim pokoleniu stają się już Węgrami jak najzacieklejszymi, gdy tymczasem Słowianie nietylko że swój typ narodowościowy zachowują, lecz nadto przeciwne od Węgrów mają dążności. Za czasów mojej bytności w Węgrzech, jak to już gdzieindziej wspomniałem, toczyła się walka magyaryzmu z germanizmem, lecz walka ta dotyczyła jedynie rządu. Słowianie stali wtedy na uboczu i bojąc się niemców jako swoich naturalnych wrogów, bali się i Węgrów, wiedząc, że gdy ci zwyciężą, rozpoczną gwałtownie magyaryzacją, broniąc się której całych sił dobyć będą musieli.

Przybywszy przed mieszkanie proboszcza, tuż obok ładnie przedstawiającego się kościoła, i ulegając usilnej prośbie gościnnego kapłana, weszliśmy do mieszkania jego, gdzie niebawem na stole przed nami pojawił się spory gąsior wina, różne wędliny, sery, owoce smażone, suszone i świeże.

— Wybaczcie, panowie, ozwał się proboszcz, że nie mogę was tak przyjąć jakbym tego pragnął, lecz czem chata bogata tém rada!

Popijając wino i zagryzając migdałami, potraciliśmy o niejedną kwestyą dotyczącą stanu politycznego Węgier, despotyzmu urzędników komitatowych, nadużyć jakich się dopuszczają i wielu a wielu innych rzeczy.

— Niejeden przykład, mówił proboszcz, mógłbym panom przytoczyć na potwierdzenie tego com powiedział, lecz poprzestanę na jednym, a ten dostatecznie przekona jak daleko samowola nasłanych nam urzędników sięga. „Rok temu, a byłoto w piękny dzień październikowy, wracając z winobrania w Topolya. przejeżdżałem przez Hegyes. We wsi było cicho i spokojnie, stare kobiety, które pozostały w domu aby pilnować dzieci i domostwa, gdyż młodzież i zdolni do pracy zajęci byli winobraniami i robotami w polu, przechadzały się po przed swemi chatami mrużąc pacierze. Przed chatami bawiły się dzieci, a z wieży czki kościelnej słyhać było dzwonek wzywający do modlitwy.

„W smutnych myślach zagłębiony przejechałem obok ostatniej chaty, przez otwarte okna której zachodzące słońce oświetlało puste izby. Niadaleko od tej chaty na wschód, którą i moja droga prowadziła, znajdował się „*ogród łez*“ (cmentarz, temetö). Głęboki rów otaczał go ze wszech stron, a od drogi przerzucony był mostek luźnie ułożony z desek, po za którym sterczały dwa słupy, kiedyś wrota, które czas

i pasterze zniszczyli. W pośrodku wznosi się krzyż pierwotnie pomalowany na czerwono; dzikie róże, osty i krzew jeryzyny rosną tu swobodnie i napełniają to miejsce smutną zielenią, z pośród której tu i owdzie wychyla się czarny dębowy krzyżyk. W chwili w której zbliżyłem się do cmentarza, wychodził zeń ksiądz miejscowy, mój dobry znajomy: Atya Boldenyi Janos, za którym poważnie kroczył organista, niosący kapę żałobną, krucyfiks i kropidło. Za księdzem i organistą postępowało kilkoro ludzi, mężczyzn i kobiet. Niemłoda już kobieta, podtrzymywana również przez wiekową kobietę, stała rzewnie płacząc nad grobem. Widocznie żegnała się z umarłym, którego trumnę grabarz zasypywał. Widząc zbliżającego się proboszcza kazałem woźnicy memu przystanąć, i zeskoczywszy z wózka podszedłem do nadchodzącego. Słońce już zaszło i na niebie gwiazdy świecić zaczynały, mój też kolega zaprosił mnie na noc do siebie, na com się chętnie zgodziłem, témbardziej, że do domu miałem jeszcze spory kawał. Idąc do probostwa, zapytałem kolegę, kogo to przed chwilą pochował? i kolega mój, czyniąc zadosyć memu życzeniu, opowiedział mi dzieje zmarłej.

„Jedenaście lat temu, jak kobieta, którą widziałem płaczącą na cmentarzu, zamieszkała tu w Hegyes. Przez ten przeciąg czasu poznałem ją dobrze, i przyszedłem do tego przekonania, że to pocziwa i zacna kobieta, nad życiem której jakby przekleństwo jakie ciążyło, tyle bowiem doznała przeciwności, umartwień i klęsk! Meża jej, dzierżawcę młynów w Ada, znano

powszechnie jako człowieka wielkiej prawości; pomimo tego jednak umarł on w więzieniu komitatowem, oskarżony o współnictwo z rabusiami, którzy w okolicy Zenty włóczyli się. Człowiek ten, nie należąc do uprzywilejowanej klasy, której nawet w razie popełnionej zbrodni można bronić się z wolnej stopy, pewny swej niewinności, zeznał, że rabusie, przybywający z za Dunaju, dosyć często go nawiedzali, grożąc zamordowaniem, jeżeli ich zdradzi. Dowodów jednak jasnych i niezbitych sąd nie posiadał, jakoby oskarżony z rabusiami dzielił się ich łupami i jakoby ich przed władzą ukrywał; lecz że w sądach naszych musi być ktoś winnym, otóż więc i dzierżawcę młynów uznano za takiego, a majątek jaki posiadał i zebrał przez lat wiele pocziwej pracy uznano, na podstawie, jak się później wykryło, fałszywego świadectwa, za zrabowany, a więc podlegający konfiskacie. Młynarz został skazany na lat trzy ciężkiego więzienia i na karę cielesną. Ale Bóg, ów najsprawiedliwszy sędzia, był miłosiernym i niewinnego człowieka zabrał do siebie, niebawem po wyroku jaki nań był wydany.

„Wdowa wraz z siódmiolletnią Julką, opuściwszy Ada, przesiedliła się tu do nas, gdzie po ojcu swoim kawałek posiadała gruntu. Z pracy rąk i plonów pola swego żyła ona spokojnie z córką swą, która z każdym rokiem rosnąc stawała się coraz piękniejszą. Była to dziewczyna najcnotliwsza i najskromniejsza w całej mojej parafii, a pomimo że obie kobiety prowadziły prawdziwie wzorowe życie, jednak ludzie nie zapominali o hańbie, jaka dotknęła ich męża i ojca.

Stroniła też od nich młodzież wiejska. Jeden tylko z nich nie podzielał przesądu towarzyszków i śmiało zbliżył się do osamotnionych kobiet. Niebawem między młodemi ludźmi zawiązał się stosunek serdeczny, i tak matka Julki jako i ojciec Szandora pozwolili na ich związek, który w niedzielę zapustną miał być uwieczniony błogosławieństwem kościelnem. Lecz przeznaczenie, czy też wola Boża chciały mieć inaczej. Julka z matką mieszkały w owym ostatnim domku, który kolega widziałeś, jadąc drogą do cmentarza. Już przeszło rok temu, gdy do naszej wsi przybył pan Dietrich, nowomianowany szolgabiró, celem dokonania popisu młodzieży zdolnej do wojska. Nie wiem jakim sposobem to się stało, lecz dosyć na tem, że p. Dietrich, niemiec czy też czech zgermanizowany, wkupił się do domu wdowy, gdzie ze względu na jego urzędowe stanowisko, aczkolwiek nie z dobrej chęci, uprzejmie był przyjmowany. Pan sędzia zaczął Julce nadskakiwać, pochlebiać, a nawet ze swą miłością się oświadczać, co bardzo niechętnie przyjęto. Po skończonym popisie, pan sędzia w parę dni pod jakimś błahym pozorem znowu przybył do Hegyes, i odtąd dosyć często naszą wieś nawiedzał, zajeżdżając zawsze do wdowy. Odwiedziny te, naturalnie, wpadły wszystkim w oczy; zaczęto więc rozsiewać różne wieści uchybiające Julce, której cześć dotąd była bez najmniejszej plamy. Szandor bronił swej narzeczonej przeciw oszczercom, lecz nareszcie zabrakło mu cierpliwości i pewnej niedzieli, jednego z oszczerców wobec zgromadzonego ludu potężnym policzkiem

uczestował. Ztąd powstała bójka, a w następstwie tejże i wniesienie skargi na Szandora przez stronę pobitą. Pan sędzia, który widział w oskarżonym rywala, i opór stawiany przez Julkę jemu przypisywał, postanowił z téj skargi korzystać i skazał go na surową karę cielesną, którą z całą sumiennością przed gmachem sądowym za pomocą potężnej leszczynowej laski wykonał hajduk sądowy.

„Karnawał zbliżył się i nadchodził dzień przeznaczony do zaślubin; lecz Szandor zażądał zwłoki, nie chcąc Julki, wnet po ślubie, uczynić słomianą wdową. Ślub miał nastąpić po losowaniu, od którego jako jedynak miał nadzieję być uwolnionym. Prośba w tym celu podana do komitatu dostała się do rąk p. sędziego, który prośbę zatrzymał u siebie i nie przedstawił jej naczelnikowi, wskutek czego i Szandor wraz z innymi do losowania stanąć musiał. Pan sędzia w czasie tym coraz częściej zaglądał do wsi naszej i, jak mówił, czekał na to, aby Julka go prosiła, by narzeczonego od wojska uwolnić; lecz dziewczyna czy z dumy, czy z obawy, czy też z poczucia osobistej godności, kroku tego uczynić nie chciała i nie poniżyła się do tego, aby p. sędziego prosić.

„Tymczasem Szandor stanął do losowania i wyciągnął los do domu. Liczba rekrutów, jaką wieś Hegyes dostarczyć miała, była pełna, i Szandor miał trzeci numer uzupełniający, był więc wedle prawa wolny. Pan sędzia Dietrich, widząc to, przedłożył komisji rekrutacyjnej podanie ojca Szandora, zaopatrzone komentarzami p. sędziego, w których Szandor

przedstawiony był jako niebezpieczny i szkodliwy człowiek, usunięcie którego ze wsi jest konieczne, chociażby tylko dla zabezpieczenia spokoju publicznego. W skutek tego prośba została odrzucona i Szandor w miejsce jednego z rekrutów, który uznany był za niezdatnego, wzięty był do wojska. Pożegnawszy Julkę, a było to pożegnanie, które nawet i głaz poruszyćby mogło, byłem temu obecny, Szandor poszedł do pułku konsystującego w Czechach.

„W dni parę później przybył do wsi pan sędzia Dietrich, uśmiechnięty, wesoły, i pewny zwycięstwa pośpieszył do wdowy, sądząc, że Julka będzie teraz dla niego uleglejszą; lecz zawiódł się straszliwie, bo ta i widzieć go nie chciała. A gdy starania jego okazały się bezowocne, zaprzestał bywać we wsi, zapomniał o nieszczęśliwej dziewczynie, a bardzo być może, że i o swoim szlachetnym czynie.

„Julka tymczasem, tęskniąc za swoim ukochanym, wiedła jak kwiatek, aż nareszcie, jak roślina podcięta, padła na łożę boleści, z którego już więcej nie powstała.“

Świtać już zaczynało, gdy proboszcz opowiadał swe skończył; pożegnaliśmy go więc, obiecując na jutro przyjść na dłuższą pogawędkę.

V.

Po dwudniowym pobycie w Török Becse, przeprawiwszy się przez Cisé do O-Becse, ruszyliśmy traktem wiodącym pod górę rzeki do Szegedyna, skąd zamierzaliśmy przez Hód Mezo Vasárhely i Mezo-Für podążyć do Szolnoku.

Przebyliśmy równinę rozległą i gubiącą się na lewym brzegu Cisy w niezmierzonej okiem oddali; na lewo zaś od nas, to jest na prawym brzegu rzeki, wzdłuż której jechaliśmy, teren był cośkolwiek falisty i ku zachodowi się wznosił; mimo to jednak wznoszenie się terenu jest tu nieznaczące, a ku Dunajowi od Topolya zamienia się na równopochyłą stoczystość. Równinę przerzyna mały strumyk, wpadający do kanału Csorsa, a na pochyłościach zwróconych ku południowi widać liczne winnice i sady, z pomiędzy których wyglądają białe domki właścicieli i dozorców. Sam brzeg Cisy dosyć w tych miejscach głęboki; rzeka więc nie rozlewa się w bagna, lecz płynie krętem korytem. Równinę na lewym brzegu pokrywa wysoka trawa: są to pastwiska, zwane stepem torontal-

skim, wśród którego porozsiadały się różne wioski i osady. Nad brzegami Cisy, wierzby i olchy monotonność widoku urozmaicają, a tu i owdzie przy brzegu klekoczące młyny dodają życia tej głuchej okolicy.

Przed chwilą opuszczone miasteczko O-Becse (czytaj O-Becze), zamieszkałe przeważnie przez Serbów, leży w komitacie bacs'skim (Bacz-Bodrog) i liczy około 11000 mieszkańców, trudniących się przeważnie bardzo rozległym handlem zbożowym. Są też liczne i duże śpichlerze, z których zboże transportują bądź Cisą i kanałem Csorsa do Dunaju, bądź też furmankami do Nagy-Kikinda, skąd już koleją dalej w głąb Węgier i do Austrii się przewozi. Oprócz śpichlerzy znajduje się tu także godny widzenia kościół katolicki, wzniesiony w staro rromańskim stylu. Kościół ten ogołcony ze wszelkich pamiątek; ściany świecą straszliwymi pustkami, a obrazy w ołtarzach wcale do starożytności policzone być nie mogą.

Część Węgier, w której O-Becse jest położone, należy do Województwa serbskiego i Banatu. Ta część kraju, to jest Banat właściwy, zwany także temeszwarskim, leży między Dunajem, Cisą, Maroszem i Siódmiogrodem, skadając się z trzech komitatów: torontalskiego, temesvárskiego i krasoskiego; całe zaś województwo oprócz tych trzech komitatów obejmuje krom tego komitat bacs'ski (Bacs-Bodrog), położony między Dunajem i Cisą, a od północy graniczący z komitatami peszteńskim i csongradzkim. Województwo serbskie liczy przeszło 545 mil kwadratowych i przeszło 2,000,000 ludności, różnej narodo-

wości. Sam Banat, który dopiero w minionem stuleciu z pod panowania tureckiego został oswobodzony, był na razie prawie zupełnie wyludniony i świecił długie lata straszliwemi pustkami; dopiero Józef II przedsięwziął energiczne kroki celem zaludnienia téj pięknej i żyznej krainy. Sprzedawano więc ziemię po nader niskich cenach, i tym sposobem zachęcono kolonistów do osiedlania się. A byli to różnorodni koloniści: niemcy, serbowie, wołosi, bułgarzy, węgry i ormianie, nawet francuzi i włosi. Najwięcej jednak osiadło tu serbów i wołochów. Dotąd pustką leżąca tłusta, czarna i gliniasta ziemia, wzięta pod uprawę, zaczęła bogate wydawać plony, a mianowicie pszenicę; produkują tu jeszcze jęczmień, żyto, kukurydzę, a nawet ryż, tytoń i wino. Klimat wschodniej części województwa jest zatem zupełnie ten sam co i we Włoszech, lecz zima staje się bardzo ostrą, a to wskutek położenia swego między dwiema rzekami. Wschodnia górzysta część Banatu bogatą jest w lasy, pełne różnorodnych drzew i krzewów. Z płodów kopalnych Banat obfituje w miedź, ołów, cynę i cynk; pod Orawicą zaś odkryto węgiel kamienny w bardzo dobrym gatunku, obok którego także znajduje się złoto i srebro.

Minąwszy Ada, przed południem jeszcze stanęliśmy w Szenta (Senta lub Zenta), mieście stołecznem komitatu Bacs, liczącem 17000 mieszkańców i położonem na prawym brzegu Cisy. Słynie to miasto zwycięstwem nad turkami, jakie tu r. 1696 odniósł książę Eugeniusz Sabaudzki. Zdobią je dwa starożytne

kościół, z kilku pięknymi pomnikami i pamiątkami przypominającymi zwycięstwo Eugeniusza. Handel i przemysł ożywiony nadaje Szencie pozór wielkiego miasta, którego położenie jednak wcale nie jest malownicze, chociaż ze wszech stron prawie otaczają je ogrody i winnice. Cóżkolwiek tylko malowniczości dodaje mu tuż pod miastem płynąca Cisa, po falach której zbożem ładowne statki bujają. Ludność tej miejscowości jest mieszana, przeważa w niej jednak żywioł węgierski; coraz mniej tu widać Serbów, coraz mniej też słychać mówiących po serbsku lub wołosku.

Opuściwszy Szenta ruszyliśmy dalej do Kis-Kanisza (także Magyar-Kanisza), miasteczka liczącego 11,200 mieszkańców, trudniących się uprawą i hodowlą bydła i owiec; nie zatrzymując się w tej miejscowości, która niczem w zwiędzającym nie budzi zajęcia, podążyliśmy do Szegedynu, siedziby csanadskiego komitatu, miasta dużego i pięknego, położonego nad Cisą, w pobliżu ujścia Marosu. Szegedyn jest warownią a zarazem wolnym miastem królewskim (przeszło 30000 mieszkańców). To miasto, zabudowane na bardzo rozległej przestrzeni, z mnogą ilością ogrodów, miłe na przybyśzu sprawia wrażenie. Ulice zwyczajem węgierskich miast są tu bardzo szerokie, a place olbrzymie pozbawione jakiegokolwiek cieniu. Gmachy publiczne, jak kolegium pijarów, gimnazjum, szkoły realnej, są bardzo piękne i stanowią prawdziwą ozdobę miasta. Z szóstciu kościołów najwspanialsze są: franciszkański i minorytów, pełne pięknych pomników i prześlicznych malowideł. W kru-

chcie kościoła franciszkanów pomieścić się może 3000 ludzi, i z tego też powodu król Maciej r. 1454 odbył tu zgromadzenie narodowe, poczem obdarzył kościół płaszczem szytym perłami, który, przerobiony na ornat, do dziś jeszcze się tu znajduje. Oprócz większych gmachów publicznych, kamienic i pałaców osób prywatnych, budowanych z cegły palonej i mających po parę pięter, reszta są to domy parterowe, wzniesione z cegły suszonej na słońcu; budowa więc ich nie jest bardzo trwała. Na przedmieściach znajdują się istne folwarki, pełne stodoł, śpichlerzy i t. d., a po za nimi w lepiankach i ziemiankach zamieszkują cyganie. Stary zamek turecki ze szczątkami minaretu, wznoszący się nad rzeką, dziś zamieniony jest w koszary. Za Macieja Korwina Szegedyn znany był jako wielkie i handlowe miasto, które od czasu zajęcia go przez Turków r. 1551 znacznie podupadło, i dopiero nawo odżyło po ustąpieniu stąd tych najeźdźców (1686). W r. 1849 pod murami tego miasta Węgrzy doznali porażki i musieli miasto oddać w ręce Austryaków.

Ciekawy byłem bliżej poznać siedziby cyganów, ich zwyczaje i obyczaje. Z towarzyszem moim ruszyliśmy do osady przez nich zamieszkaney, a znajdującej się w kierunku Dorosmy. Tuż za miastem w pobliżu rzeki ujrzelśmy na znacznej równinie liczne kopce ziemne, rozrzucone tu i owdzie jak kretowiny. Z kopców tych dymiło się. Była to wieś czyli osada cygańska. Nędzne te lepianki, rodzaj ziemianek, biedni cyganie zwą chatami, lecz na to miano nie zasługują one bynajmniej. Skrzyżowane okrągłaki,

osadzone w ziemię i pokryte deskami, obrzucone są gliną i ziemią, od przodu zrobiony jest otwór tak niski, że tylko czołgając się na czworakach można dostać się do wnętrza tej „chaty“, która nadto u góry ma drugi otwór, którydy na zewnątrz dym a deszcz i śnieg do wnętrza się dostaje. Cała chata ma kształt stożkowaty i mieści we wnętrzu swoim liczną nieraz rodzinę, której członkowie w „chacie“ muszą siedzieć lub leżeć, gdyż inaczej nie mogliby się tu pomieścić. Ognisko, na którym żywność gotują, znajduje się latem przed „chatą“, zimą zaś wewnątrz. Tak to mieszkają skuleni i zagrzebani niemal w ziemi synowie Wschodu, niegdyś Paryasi nad brzegami Gangesu, w falach którego kąpie się biały kielich lotosu, a dziś panowie, ludzie wolni. ba co więcej arystokraci węgierskich cyganów; są bowiem panami ziemi na której ich „chaty“ się wznoszą, płacą podatki, trudnią się strycharstwem, tractwem, kowalstwem, kotlarstwem i innymi rzemiosłami, co nie przeszkadza im wszystkim być artystami muzycznymi. Z tych to stron pochodzą owi sławni Farkasze, Josiki, Racz Pale, Balloghowie i t. d.

Opowiadano mi pewne wydarzenie, które przed paru laty miało miejsce w okolicach Lippy; otóż powtórzę je jako arcy charakterystyczne i dające dosyć dokładny obraz z życia cyganów.

W jednej z chat wsi cygańskiej pod Lippa mieszkał stary cygan: Gabór Piszta zwany, przy którym żyła śliczna jego jedyna córka Marica. Stary Gabór uchodził za niezmiernie bogatego i miał zostawać w

ścisłych stosunkach z czartem, przy pomocy którego, nie zajmując się nigdy poszukiwaniem złota w górskich strumykach, znalazł takowe w ogromnej ilości, a to w miejscu jemu tylko wiadomem. Dnia pewnego do chaty Gabora wczółgał się młody cygan Pali, który rozkochał się w Maricy i chciał ją wziąć sobie za żonę. Gabor, ujrzawszy przybyłego, skinął nań ręką w milczeniu, dając mu znać aby mówił. Po długich omówieniach, trzęsąc się cały, Pali wybełkotał nareszcie, że przyszedł prosić Gabora o rękę Maricy. Gabor spojrział na petenta, roześmiał się Źziko i wskazał na otwór w chacie. Pali zrozumiał ten ruch, i nie tracąc chwili wczółgał się pōspiesznie z chaty, w której mu tak duszno było. Wydostawszy się na dwór Pali odetchnął swobodnie i wyciągając dotąd skurczone swe członki, obejrzał się pookolicy i ujrzał Maricę, swą uwielbioną, która go do ojca posłała, rozmawiającą z jego rywalem Miską. Pali, spostrzegłszy to, obezwładniał, lecz, oprzytomniawszy po chwili, jak szalony popędził ku swej chacie. Miska był pierwszym skrzypkiem, a Pali dzierzył smyczek drugich skrzypiec w wiejskim cygańskim kwartecie. Otóż wyższość ta Miski gnięwała zawsze Palego, który teraz, po tēm co widział, powziął ku niemu straszliwą nienawiść.

„Jakto? więc zawsze i wszędzie, mówił do siebie Pali ma mnie uprzedzać? Jakto, czyż zawsze ma on być nietylko chwalony jako dobry muzyk, ale także ma mi dziewczęta zabierać z przed nosa? nie, tak być nie może i nie będzie!“

Wcisnąwszy się do swej chaty, Pali rzucił się na nędzne posłanie i nad planem ukautój zemsty począł rozmyślać; „*poczekaj Miska, pomszczę ja się na tobie!*” zawołał głośno Pali i w chwil parę usnął snem głębokim. Wykrzyknik ten doleciał do uszu tuż obok chaty przechodzącego Miski, który właśnie do siebie powracał. Noc była piękna, księżyc łagodnie oświetlał zieloną dolinę, po której wił się złotonośny strumyk, a po nad piętrzącymi się w głębi górami zwieszało się ciemnobłękitne niebo, zasiane błyszczącymi gwiazdami. Miska, śmiejąc się z zapowiedzianej zemsty, wsunął się do swej chaty, i teraz cisza zaległa całą wioskę; trzoda chlewna tylko wylegiwata się za chatami, pochrzękując od czasu do czasu.

Koguty siedzące na wierzchu ziemianek jak na wieżach jakich poczęły paniem swoim oznajmiać czwartą ranną godzinę. Równocześnie tak Pali jak i Miska podnieśli się ze snu. Pali wylazł z chaty i pobiegł ku pobliskiej wiosce, Miska tymczasem zbudził kilku przyjaciół swoich i wraz z nimi podążył za Palim, rozmyślając nad tém coby on o tej porze we wsi miał do czynienia; otóż zobaczyli jak Pali, prze-
-szedłszy przez płot, zbliżył się do pierwszej chaty przy drodze. Drżał widocznie i jnż zamierzał wrócić się, lecz chęć zemsty gnała go naprzód. Ażeby spełnić powzięty zamiar, zebrał wszystkie siły i niebawem z napełnionym workiem na plecach przeskoczył przez płot, dążąc pośpiesznie ku wiosce cygańskiej. Był przerażająco blady, jakby w febrze, a ręce cochwila ocierał sobie jakby chciał je oczyścić. U wejścia do wsi

siły go opuściły, i padł zemdłony na ziemię. Śledzący go koledzy podbiegli do zemdłonego, w około którego gromadzić się zaczęli i inni mieszkańcy wioski, którzy o tym czasie już ze snu powstawali. W worku leżącym obok Palego ruszało się coś. Jeden z cyganów rozwinął go i oto wyleciała zeń kuropatwa.

— Ha! zwierzyna pierzasta, ptak dziki! zawołałi zgromadzeni, rozstępując się i czyniąc znak krzyża świętego.

— Oh! na Boga! zawołał słabym głosem leżący na ziemi Pali, zabierzcie worek co mnie przygniata, zlitujcież się ludzie!

— A cóż jest w nim? zapytano go.

— Fasola, fasola! zawołał Pali.

— A brzydko! brzydko! zawołałi zgromadzeni, odstępując od jęczącego.

— A cóż ty chciałeś zrobić z tym grochem? zapytał Miska śmiejąc się.

— Chciałem wrzucić do twój chaty, odparł zagadnięty jęcząc coraz bardziej i trzęsąc się straszliwie.

Głośny śmiech obecnych odebrał do reszty przytomność młodemu cyganowi, którego po chwili podniesiono i do chaty jego zaniesiono.

Worek z fasolą pozostał nietknięty na drodze, a przechodzący cyganie mijali go, spluwając z obrzydzeniem.

Pali chciał się pomścić, lecz sam padł ofiarą swego pomysłu, chciał przewyciężyć cygańską naturę, chciał dokonać czynu bohaterskiego, lecz wrodzona

natura pomściła się na nim. Cyganie, wiedzieć trzeba, uczuwają wstręt nieprzewyciężony do dzikiego ptactwa, czyli jak je zwą „pierzastój zwierzyny“, do fasoli, żab, żółwi i do niektórych gatunków ryb, jak sumy, węgorze, liny, pod którym to względem mają wielkie podobieństwo do Egipcyan. Fasola i kuropatwy są par excellence dla cyganów rzeczą najwstrętniejszą, i gdy unikają samego widoku fasoli, to przeciwnie bez cebuli żyć prawie nie mogą.

W dni parę później po całodziennym deszczu, Pali dostrzegł jak stary Gabór idzie śród nocy z latarką w rękę w stronę lasu i ku wodospadom. Pali poszedł za starcem, który, przybywszy nad wodospad, przywiązał sznur przyniesiony do drzewa rosnącego nad brzegiem a drugim końcem obwiązał siebie, poczem zapalił świecę woskową w latarni i stanął nad przepaścią.

Wodospad tworzył tu trzy kondygnacye. U samego dołu było małe jeziorko, otoczone ze wszech stron niebotycznymi skałami, pomiędzy którymi wąską szczeliną woda wydostawała się na równinę, tworząc ów złotodajny strumyk. Stary cygan stojący nad przepaścią ukląkł i zaczął się modlić, a gdy skończył modlitwę powstał i ujawszy w zęby latarnię, a rękami objawszy sznur do którego był przywiązany, spuścił się nagle w przepaść. Pali krzyknął, lecz głos jego przygłuszył huk wodospadu. Niebawem pod drugim spadem, jakby za przejrzystą szklaną zasłoną, ujrzał Pali blask latarni starego cygana.

— A więc tam jest złoto, którego strzeże djabel? zawołał Pali; dobrze, teraz i ja tam pójdę!

Spadająca woda, w wyźłobieniu jakie w skale uczyniła, gromadziła po każdym dészczu znaczną ilość złota; otóż Gabór wiedział o tej skarbnicy, i tu z narażeniem życia przychodził zbierać te skarby, które, jak twierdzili, djabel mu darował. W chwili w której Gabór stanął pod wodospadem, usłyszał wykrzyknik Palego, wychylił więc głowę przez szczelinę w skale, i ujrzał młodego cygana stojącego nad przepaścią.

— A więc tędy droga! zawołał Pali.

— Pali! stój! krzyknął stary, lecz w chwili tój zaślepiony Pali krzyknawszy „już idę, djable!“ rzucił się naprzód. Wodospad porwał wskakującego, i poniósł z sobą w przepaść.

Gabór, drżący i przerażony, szybko wydobył się na wierzch przepaści, i począł nadśłuchiwać, lecz głucho milczenie zalegało w koło. Powłókł się więc do domu, i odtąd nigdy już więcej do wodospadu nie chodził. Nazajutrz martwe ciało Palego znaleziono wyrzucone na skalistym brzegu.

Jakem wspomniał na początku tego opowiadania, cyganie osiedli są pracowici i trudniąc się różnemi rzemiosłami, nie zaniedbują także uprawiać i muzyki. W każdej tóż niemal osadzie, wsi lub miasteczku w całych Węgrzech znajdują się mniej lub więcej dobre orkiestry cygańskie, składające się z pierwszych i dru-

gich skrzypiec, klarnetu, cymbałów i basetli. Muzyka cygańska, o melodyi pełnej ognia i rzewnej tęsknoty zarazem, ujętej w rytm zupełnie odrębny od rytmu ludów europejskich, stała się muzyką narodową węgierską, która wciska się w głąb duszy swą dziwną smętnością a zarazem i dziką, szaloną, że tak powiem harmonią tonów; w owych *Lwiza-Csardasach*, *Fecske-ropules*, *Magyar-angyalek*, owych marszach *Rakoczego*, *Hunyada*, lub przepysznym hymnie „*Szozat*“, ileż melodyi, ileż rzewnej a tak roznamiętniającej harmonii?! Melodye te wschodnie, płynące gdzieś z głębi Azji, z nad Gangesu, które, ujęte w pewne formy, na nas Europejczykach dziwne, niepojęte sprawiają wrażenie, w Madjarach wywołują zachwyty nieokreślony i wprawiają ich w pewien rodzaj szału. Widziałem nieraz, jak ten lub ów Węgier, chcąc czarę rozkosznej harmonii wychylić do dna, kazał cyganowi grać sobie tuż przy samym uchu namiętne csardasze, i jestem przekonany, że gdyby tylko był mógł, to byłby grającego cygana połknął, aby we wnętrznosciach jego grał i grał bez końca!

Weźmy na przykład powszechnie znane pieśni ludowe Węgier jak „*Fényon ó kis*“ (zwinna rybka), „*Szulöföld puszta*“ (stepie rodzinny), „*O magyarfold*“ (ah, ziemio węgierska) lub „*Megolvadon ó az ének*“ (ah! płyn po stepie), z którymi europejski świat muzyczny zapoznali Brahms i Behr Ferencz, a przekonamy się co za bogactwo jest w nich melodyi, lecz melodyi niezwykłej i niekonwencyjonalnej, że tak powiem powszechnej, lecz z wybitnym, zupełnie odręb-

nym charakterem, pełnej namiętnej smętności i rzewności. Melodye te mają rytm odrębny od rytmu ogólnoeuropejskiego, przyczem akcentuacja przypada zawsze na drugą nutę. Melodye węgierskie pod względem charakteru harmonii porównałbym z melodyami ukraińskimi i małoruskimi. Otóż w wykonywaniu tych melodyj cyganie są mistrzami. Nut muzycznych nie znają oni wcale, grają więc wszystko jedynie ze słuchu. Skrzypek trzymający prym gra melodyą, inni wtórują mu, a pomimo że wtór ten nie jest ujęty w karby reguł kontrapunktowych, jest on nieraz nietylko wielce harmonijny, lecz i umiejętny. Klarinet, najczęściej odzywający się tylko od czasu do czasu, i tworzący tło do melodyi wykonywanej przez solistę, podejmuje nieraz melodyą i jak echo wrzaskliwe tercyami ją powtarza, gdy tymczasem skrzypce i bas, jakby siejąc drobne perełki, wtórują. Cymbały, ów konieczny i nieodzowny instrument w orkiestrze cygańskiej, niegdyś i u nas w Polsce rozpowszechnione i nieraz po mistrzowsku przez żydów traktowane, tworzą pewien rodzaj łącznika między instrumentami smyczkowymi a piskliwym klarinetem; wi-brujące tony cymbałów, zlewając się w jedność z klarinetem i bucującym basem, uzupełniają i zaokrąglają dziką harmonię.

Cyganie, jako lud koczujący przywykli do ciągłej włóczęgi, z wielką trudnością przywiązują się do miejsca i stałej siedziby; pomimo to, ci którzy raz już się osiedlili, niechętnie opuszczają obraną sobie siedzibę. Tacy osiedli cyganie, jak to rzekłem, trudnią się

różnemi rzemiosłami, a handel końmi jest dla nich najponętniejszy. Cyganów koczujących w Węgrzech prawie niema. Każda osada cygańska ma swego oddzielnego wójta (biró), który z żelazną sprężystością swój urząd sprawuje, a czuwając nad porządkiem pilnuje, aby podwładni mu członkowie osady nie dopuszczali się przekroczeń, któreby ściągnąć mogły na osadę przesładowanie. W ogóle biorąc cyganie na Węgrzech są tem, czem u nas żydzi rozproszeni i osiedli po wsiach i miasteczkach, tylko z tą różnicą, że, jak miejscowi twierdzą, jeden cygan zastąpi trzech *„polskich żydów“*.

Po dwudniowym pobycie w Szegedynie, równo ze świtem ruszyliśmy do Hód-Mezo-Vazarhely, skąd nie zatrzymując się wcale podążyliśmy dalej do Sentes a przeprawiwszy się przez Cisę pod Csongradem, tuż u samego ujścia Körös'u, po przebyciu jednym ciągiem dziewięćmiłowej przestrzeni ciągle prawie stepami, zatrzymaliśmy się na nocleg w Csongradzie, miasteczku liczącem około 14000 mieszkańców, położonem w okolicy błotnistej, na prawym brzegu Cisy i naprzeciw ujścia dopływu jej Körösu. Zwiędziwszy tu dnia następnego piękny kościół, w którym zauważyłem parę pięknych lecz nowożytnych obrazów, ruszyliśmy do półczwarta mili odległego miasteczka kumańskiego: Félegyháza, położonego w peszteńskosólt-skim komitacie. Miasteczko pomienione jest stolicą obwodu *Małej Kumanii* (Kis-Kunság). R. 1086 Jazygowie i Kumanie, wracając ze swoich wypraw obławowani łupami, chcieli podążyć na wschód do swoich pierwo-

tnych siedzib, lecz król Władysław I zatrzymał ich i zmusił do pozostania tutaj jakoteż do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Otóż potomkowie tych Jazygów i Kumanów tworzą cztery oddzielne obwody: Jaszag, Nagy Kunsag, Kis Kunsag i Hajdu Varosók. Felegyhaza ma 16000 mieszkańców, leży na obszernej równinie, bogatej w żyzne pola i winnice. Ztąd, nie zatrzymując się długo, pośpieszyliśmy bezmierną równiną do Kecskemet, jednego z największych miast handlowych w Węgrzech (38000 mieszkańców zamieszkujących w 6000 domach, po większej części niskich i źle zbudowanych). Ruch handlowy tu wielki i przeważnie zbożowy, do podniesienia którego wielce przyczyniła się tędy przeprowadzona linia kolei żelaznej do Bazias nad Dunajem. Opuściwszy Kecskemet, wydostaliśmy się na równinę 24 mil kwadratowych, ciągnącą się między Cisą a Dunajem. Step to olbrzymi, na którym nic więcej nie widać jak tylko bezmierne przestrzenie falującego zboża, i pastwiska pokryte wysoką, bujną trawą. Drogi tu niema i podróżny kieruje się jak żeglarz na morzu za słońcem. Gdziekolwiek wśród stepu widać tylko studnię z żurawiem lub też osamotnioną csardę. Tak jadąc ku północy, po parogodzinnej jeździe dotarliśmy do Vezensy, małej wioski nad samą Cisą. Jak pod Szegedinem tak też i w tym miejscu Cisa odznacza się pewną szczególnością a mianowicie tak zwanym „kwiatem Cisy“. Są to małe skrzydlate owady, należące do gatunku jednodniówek, które w pewnych porach roku, mianowicie w maju i sierpniu, pokrywają rzekę.

w tak znacznej ilości, że nieraz statki są przez nie w biegu wstrzymywane. Jako dobrą karmę dla bydła, mieszkańcy tutejsi zbierają te owady szuflami po kilka tysięcy wozów w ciągu czterech dni, gdy, jak mówią: *Cisa kwitnie*. Gdy bydło tej ogromnej ilości karmy spożyć nie może a owad zaczyna się psuć, wtedy pozostającą resztę używają za nawóz, który jest nadzwyczaj tłusty. Przenocowawszy w Vezensy, dnia następnego wzdłuż Cisy podążyliśmy do Szolnoku, gdzie zamierzaliśmy dni parę zabawić. Miasteczko liczy do 12000 mieszkańców, leży wśród bagnisk i trzęsawisk odznaczających się tem, że dostarczają ogromnej liczby żółwi, które pod różnemi postaciami przez mieszkańców tutejszych są spożywane. Szolnok leży na ujściu rzeczki Zagyva do Cisy, u zbiegu których wznosi się mały zamek warowny, zajęty przez miejscową załogę. Kościół piękny, w stylu staroniemieckim, ładny ratusz w którym mieści się sala teatralna, oraz parę większych domów i dwa czy trzy hotele, miłe na przybyśzu sprawiają wrażenie. Na zwiędzaniu zamku, kościoła z jego pięknymi archiwami, oraz i innych osobliwości, jak giełdy zbożowej i zakładów rybnych, zeszyły dwa dni, po upływie których podążyliśmy do Debreczynu.

VI.

Nieprzejrzana równina 15 mil kwadratowych dziwnym uczuciem napędza wędrowca, którego oko nigdzie nie może znaleźć punktu spoczynku. Na wiosnę wysoka trawa okrywa płaszczyznę, wśród której niczem innym jak tylko krótszą trawą odznaczona wije się główna droga. Grunt jest miękki, dla tego koła kute głęboko się wrzynają i jadący co chwila zmieniając kierunek szuka twardszego gruntu. Tak ujeżdża się droga na pół mili szeroka, poprzerzynana na wsze strony głębokimi trawą zarastającymi kolejami. Nigdzie nie widać tu uprawy, na wiele mil niemasz ani wsi, ani miasteczka, a z wysokiej trawy wygląda to dziki bawół długorożny, to parskając cała trzoda wypłoszona z legowiska zostawia za sobą szeroki ślad wśród podeptanej trawy. Stada przepiórek i derkaczy nawoływaniem swemi ożywiają głucho milczenie jakie wędrowca otacza. Zdaleka widać żórawie lub czaple szybujące w powietrzu a zresztą wszędzie pustkowie, wszędzie step bezmierny.

Ze zbliżeniem się lata, nastają uciążliwe upały,

trawa więdnie, upada i zostaje zdeptaną przez zwierzęta zamieszkujące te stopy. Słońce pali coraz mocniej, żar obraca w proch trawę, już na łądździe w siano zamienioną, i ledwie licha murawa pokrywa grunt; lecz i ta wnet się przepala. Wtedy ziemia zaczyna pękać i tworzą się szpary szerokie na całą dłoń, później na stopę, grunt coraz głębiej wysycha, z wydobywaniem się z ziemi ostatka wilgoci, szczeliny stają się coraz głębsze tak, że dochodzą do 20 stóp głębokości. Spalona i stratowana trawa zamieniona w pył pokrywa ziemię. Lekkiemi podmuchy wiatru wzniesione ostre ździebelka spalonej trawy wirują kłębami całemi w powietrzu, zaciemniając widnokrąg. Bydło wpada w zemdlenie, nie znajdując ani paszy ani wody. Studnie, jeziora wysychają, wegetacya u ich brzegów znika, i dno jezior pokrywa się rozpadlinami tak jak i step cały. Liczne stada szlachetnych koni błakają się do koła z wyciągniętymi szyjami, szukając rozwartemi nozdrzami wilgotnego powietrza i wody. Konie w naszym zaprzęgu ledwie dysząc ciągną lekki wózek śród tumanów kurzu. Nakoniec widzimy w dali na końcu widnokręgu błyszczący pas wodny! Czyżbyśmy zmylili drogę i zdążali ku Cisie? Jedziemy dalej, już zbliżamy się do owej rzeki by napić spragnione rumaki, lecz godziny uchodzą, a do celu dojechać nie możemy. Wtém o uszy nasze obija się huk podobny do dalekiego grzmotu, i naprzeciw nas pędzi szeroka chmura kurzu, Huk podobny do gromu i tuman kurzu zbliża się do nas a zpośród niego wyłaniają się stada dzikich koni, przebiegające

obok nas z parskiem i rzeniem: za niemi pędzi kilkunastu jeźdźców o śniadej cerze, w czarnych baranich czapkach lub szeroko-skrzydlnych kapeluszach na głowach, płóciennych koszulach z szerokimi rękawami. Wtem zaświstał w powietrzu jedną ręką rzucony węzeł, i wnet upada z głuchym jękiem na ziemię pochwycony rumak. Lotem błyskawicy kilku towarzyszących jeźdźców rzuca się na szamoczącego się konia, opasują go wełnianą derką, wkładają w pysk ostre wędzidło, rozplątują krępujące go pętlice, i oto nagle zrywa się, lecz już z jeźdźcem na grzbiecie, który boki jego ostrogami bodzie. Koń tak ujęty na razie kręci się w kółko, skacze, wznosi się na zadnich nogach, aż nakoniec puszcza się naprzód w szalonym pędzie, dopóki zmęczony i wysilony nie odda się zupełnie pod władzę nowego pana.

Wszystko to odbyło się w jednej chwili, i zjawisko całe znikło jak widmo fantasmagoryczne; zdala tylko jeszcze słyhać grzmiący tentent galopujących koni, lecz znikła także i upragniona rzeka, słońce schyliło się do zachodu, i ułudna mara rozwiała się w przestworzu. To Deli-Baba (fata-morgana) zadrwiła sobie z nas i ze spragnionych koni! Lecz oto i noc się zbliża, a z nią nastaje przejmujące zimno. Cisza nocna przynosi zdaleka jakieś szmery i odgłosy, jakby ktoś siekierą w drzewo uderzał, gdy na stronie przeciwnej podobnie odpowiada uderzenie. To umówione znaki rozbójniczych pasterzy, którzy mało kiedy poprzestają na samym rabunku spóźnionego wędrowca. Lecz my nie potrzebujemy się ich obawiać,

każdy z nas ma u pasa po dwa sześciostrzałowe rewolwery, a nadto mamy z sobą i dwie dubeltówki; możemy więc śmiało z rabusiami stepów bliższą zabrać znajomość. Zdala widać jakieś migotliwe światelko. Ha! to zapewne wieś jakaś, w której pod gościnną strzechą odpoczniemy po całodziennej podróży, a konie nasze pokrzepią swe siły owsem i tak upragnionym napojem. Lecz, niestety, to nie wieś żadna, lecz osamotniona csarda, z okienek której światło płonącego ognia na kominie szeroką smugą padało na step pograżony w czarnej nocy. Przełęczony gospodarz i płacząca gospodyni padając do nóg naszych; zaczęli nas zaklinać, abyśmy tu nie zostali na noc, bo w tym miejscu pastuchy się schodzą i pewnie dopuszczają się jakiego gwałtu w nadziei rabunku. Nie mając bynajmniej ochoty spotkania się z tymi nocnymi ptaszkami, napoiwszy konie, ruszyliśmy dalej ku Debreczynowi.

Ujechałszy już paręset kroków od csardy zapytałem mego towarzysza, czy w istocie spotkanie się z pastuchami stepowymi jest niebezpieczne?

— Jest to rzecz względna, odparł zagadnięty, lecz zawsze lepiej unikać ich a mianowicie nocną porą, niż starać się o spotkanie z niemi. Słyszałeś przed chwilą głuchy łoskot rozlegający się po stepie, jakby kto twarciem narzędziem uderzał w pień drzewa; otóż wiedzieć ci trzeba, że ten łoskot pochodził od uderzeń obuchem toporka w stwardniałą skorupę ziemną stepu. Tym sposobem Szegén-Legeny (opryszki powszechnie „biednymi chłopcami“ zwani), zwołują się, a i teraz widać, słysząc turkot naszego wózka,

zwoływali się, aby na nas w csardzie napaść. Pomimo to jednak nie są oni zbójami, przeciwnie żyją przeważnie ze zdobyczy bezkrwawej; są to po największej części parobczaki ukrywający się przed rekrutacją, dezterterzy lub też tacy, którzy za drobne przewinienia przed sprawiedliwością się ukrywają. Szegén-Legény wśród ludu mają licznych przyjaciół i obrońców, we dnie kryją się na stepie wśród nieprzebranych moczarów, przez które przechodzą sobie tylko wiadomymi ścieżkami, w nocy zaś gromadzą się w csardach odludnych, i tu, racząc się pieczonemi baranami, które ze stada temu lub owemu gospodarzowi zabrali, winem i palenką (wódka), do posiadania której przyszli również bezpłatnie, tańczą i hulają do białego dnia. Otóż jeżeli kto do takiej csardy w nocy zajędzie, to może być pewny, że będzie musiał „dobrowolnie“ oddać wszystko co tylko ma z sobą i przy sobie, a gdyby chciał stawić opór, to wtedy sam sobie winien, jeżeli który z górętszych Szegén-Legény'ów czekaniem po głowie go poczęstuje i wyekspeduje opornego na łono Abrahama. Czasami znowu „biedni chłopcy“ są nadzwyczaj uprzejmi, szczególnie dla kobiet. Już to wiedzieć ci trzeba, że Węgier na ogół odznacza się uprzejmością, grzecznością i pewnym rodzajem rycerskości dla kobiet. Otóż i „biedni chłopcy“, jako prawdziwi Madjarzy z krwi i kości, mimo swego nieokrzesania, swej rabuśniczej natury, dla kobiet okazują się zawsze bardzo względni a nawet rycersko-hojni. Przed paru laty w stronach tych słynął z niezmiernej odwagi, śmiałości i opryszkowstwa nie-

jaki Tót Miska. Było postrach całej okolicy. Służył on r. 1849 w honwedach; pojmany w niewolę jako dezertter z cesarskich huzarów, skazany został na rozstrzelanie, lecz łatwo było wydawać wyroki, które gradem sypały się z pod ręki Hainaua, trudniej jednak je wykonywać, bo nie wszyscy czekali aż ich powieszą lub rozstrzelają. Tak i tu było. Tót Miska nie czekał, lecz już po wyroku, pewnej nocy, drapnął z więzienia, przedostał się w te strony, a dostawszy się już raz na step, przepadł jak kamień rzucony do wody. Zrazu siedział cicho, gdzieś w jakimś niedostępnym oczerecie, ale powoli zaczął się pokazywać tu i owdzie; tam z dobranymi towarzyszami wpadł do wioski gdzie kwaterowała cesarska konnica i uwiódł z sobą parę wołów; ówdzie znowu napadł na konwój prowadzący kasę rządową, pocztę pieniężną, konwój rozpędził a pieniądze zabrał; dosyć że zaczęto go na wszystkie strony śledzić i szukać, lecz zawsze wywijał się z zastawionych nań sieci. Paudurzy (rodzaj żandarmów), którzy go ścigali, również jak i on wrodszy austryakom, sami dopomagali mu do tego. Czasami przychodziło do krwawego starcia, lecz Tót zawsze wychodził zeń zwycięsko. W Györmát, wiosce położonej o 6 mil od Debreczynu, przemieszkiwała podonczas dziedziczka tej włości, Irma Kubiny de Kubinyfalva az Györmátvaros. Była to sierota niemająca ani ojca ani matki, dla tego też przy niej mieszkała daleka jej krewna, kobieta nie młoda, wdowa po foispanie jednego z kor tatów północnych Wę-

gier. Hrabianka, przebywając dosyć często to w Wiedniu to w Paryżu, poznała tam młodego markiza Juliusza de Juillac, który szalenie się w niej zakochał i niebawem stał się jej narzeczonym. Byłoto w karnawale r. 1855, gdy w Debreczynie tamtejsze towarzystwo arystokratyczne wydawało bal, dochód z którego przeznaczono na odbudowanie kościoła, który w czasie kampanii i oblężenia 1849 bardzo wiele ucierpiał. Na ten też bal zaproszoną została i hrabianka Irma jako jedna z gospodyń. Naturalnie że niezapomniano zaprosić i markiza de Juillac, który podówczas bawił w Gyormat. W dniu oznaczonym hrabianka w towarzystwie swej krewnej pani fõispanowej i narzeczonego po południu ruszyła obszerną cztero osobową kareta w drogę, celem przybycia na czas przed 9-tą wieczorem do Debreczyny. Lecz inaczej się stało, bo jak mówi nasze przysłowie: „*Elõre meginni a medvebõr árít*“ (zrobiono rachunek bez gospodarza, przysłowie odpowiednie polskiemu, „człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi“); wśród drogi na stepie, gdy już zmierzch zapadać począł, powstała straszliwa zawierucha, śnieg padał obficie, drogi ani śladu! Woźnica zaczął błądzić, godzina 9-ta dawno już minęła, a Debreczyny jak nie widać, tak nie widać; teraz więc chodziło już nie o to, aby zdążyć na bal, lecz aby znaleźć jakiegokolwiek schronienie, bo tak podróżni jako też i konie byli zmęczeni. Nagle wśród czarnej nocy, na stepie po nad którym szalała śnieżna wichura, zabłysło światelko. Woźnica odetchnął swobodniej, zaciął ze znużenia stojące już konie i nieba-

wem karéta zatrzymała się przed stepową csardą, z wnętrza której dolatywały śpiewy i tony dziarskiego csardasa. Krewna hrabianki, która skwapliwie zbierała wszystkie wiadomości dotyczące Tóta, usłyszawszy śpiewy i muzykę w csardzie i przypuszczając że tam nie kto inny, tylko ten „biedny chłopak“ znajdować się musi, zaczęła błagać i zaklinać swą pupilkę, aby tu się nie zatrzymywali; lecz hrabianka na to nie zważała i mimo zaklęć wszelkich narzeczonego i swój towarzyszki wysiadła z karety i śmiało weszła do wnętrza csardy. W małej dymem fajezanym, i wyziewami wódki i wina napełnionej izbie, za stołem w głębi siedziało ósmiu czy dziesięciu dorodnych parobczaków. Jeden z nich, nadzwyczaj przystojny, o czarnym pokrętnym węsie i namiętym wzroku, siedział bliżej komina, na którym właśnie gospodyni csardy dopiekała potężny udziec sarni. Tak z ubrania, jakotóż i całej postawy, można było wnosić, że jest to naczelnik téj bandy. W drugim końcu stołu zastawionego szklankami i csutrami napełnionemi winem, siedziało trzech cyganów od ucha choć fałszywie grających csardasa.

Z wejściem hrabianki do izby, za którą wsunął się przerażony markiz, trzymając w rękę rewolwer, obecni zerwali się na równe nogi, siedzący przy kominie również powstał z siedzenia i przenikliwym swym wzrokiem spojrział na przybyłych.

— Jestem hrabianka Kubiny de Kubinyfalva, ozwała się hrabianka, jadę z tym oto panem, moim narzeczonym markizem de Juillac i moją ciotką na

bal do Debreczynu, gdzie mnie na gospodynię zaproszono; zbłądziliśmy jednak wśród drogi, proszę więc o gościnność tak dla nas jak dla moich ludzi i koni.

— Pani! odrzekł ów dorodny młodzieniec, bądź pewna, że za zaszczyt sobie policzę, jeżeli zechcesz z nami pod tym dachem chwil kilka spocząć i pokrzej, pić się tém, co sami mamy. A zwracając się do towarzyszy zawołał. Hej! chłopcy, żywo, cóż się gapiacie! koniom owsa i siana, ludziom chleba, słoniny, mięsa i wina, a tym oto gościom naszym miejsca!

— Dziękuję panu! rzekła hrabianka, siadając obok stołu.

Opryszki z pośpiechem spełnili rozkaz swego wodza, i wnet nakarmiwszy i napoiwszy konie i służbę, powrócili do izby, zatrzymując się u wejścia. Markiz tymczasem zajęty był trzeźwieniem pani fojspanowój, która na widok opryszków zemdląła.

— Dla czegoż panowie, ozwała się hrabianka widząc u drzwi stojących opryszków, nie siadają do stołu; jak widzę pieczeń gotowa, nie pozwólmymy aby wystygła; ja się zajmę pokrajaniem, będę gospodynią, wszak pan pozwolisz? dodała, zwracając się do herszta stojącego tuż za jój krzesłem.

— Łaska to wielka! odparł zagadnięty, lecz ra to pozwolić nie mogę, tyś gościem naszym. A zwracając się do jednego z towarzyszy zawołał; Hej, słyszysz Szandor! prędszej podaj do stołu!

Nim jednak pieczeń podano, herszt, spoglądając na markiza, zbliżył się doń i zręcznym ruchem ręki odbierając trzymany przez niego rewolwer, rzekł:

— Niepotrzebna ta pukawka, mój panie! Na nicby ci się nie zdała, nie zastraszysz nas nią; radzę ci więc, mój panie, siedź spokojnie, jédz, pij, i nie mieszaj się do tego co my robić będziemy, bo móglbyś źle wyjść na tem.

— Pan markiz de Juillac, rzekła hrabianka, po węgiersku nie rozumié, jest cudzoziemcem, francuzem.

— A! to inna rzecz, odparł herszt; chciéj mu pani powiedzieć, że nie ma się czego obawiać, jest gościem naszym, włos z głowy mu nie spadnie.

Podano wieczerzę, do której wszyscy zasiedli. Herszt robił honory domu z nadzwyczajną galanterią, a usługując hrabiance szeptał jej różne komplimenta i dowcipkował z przerażonego francuza, który, posadzony przemocą między opryszkami, dygotał ze strachu. Skończywszy wieczerzę, zakropiwszy licznemi szklanicami wina, przywódzca a zarazem i gospodarz krzyknął na cyganów, aby zagrali csardasza zwracając się do hrabianki dodał:

— Pani! zawierucha, która cię pozbawiła przyjemności znajdowania się na balu w Debreczynie, dla mnie okazała się łaskawszą; bo daje mi możność prosić cię, abys chciała ze mną zatańczyć csardasza, a spodziewam się, że nie pożałujesz tego, bo Tót Miska lepiej może umie tańczyć, niż niejeden z tych wymokłych paniczów!

— Owszem! z miłą chęcią, odparła hrabianka po wstając, nic przeciw tak uprzejmemu zaproszeniu nie mam; przeciwnie, cieszę się, że mam sposobność poznać dzielnego Tót Miskę!

— Irmo, co robisz? zawołał po francusku markiz, ja temu lotrowi łeb roztrzaskam.

— Siedz pan spokojnie, bo może być źle z nami, odparła hrabianka również po francusku, podając Tót Misce rękę do tańca.

Tót podkreślił węża i z wyszukaną gracyą ujął hrabiankę w pól. Zaczęli tańczyć. Wnet za nimi, jeden z opryszków gwałtem prawie pociągnął do tańca omdlewającą towarzyszkę hrabianki, gdy tymczasem dwóch drabów przysiadło się do markiza, zmuszając go do picia z nimi. Biedny francuz rad nierad pić musiał ostre wino, zagryzając słoninę z papryką, która paliła mu wnętrzności.

Taniec raz zaczęty nie ustawał. Tót tańczył zgrabnie i z wielkiem życiem. Hrabianka, mając tak doskonałego tancerza, tańczyła z całym zapalem. Tak przetańczono noc całą i już świtać poczynało, gdy zawierucha ustała, a hrabianka całonocnym tańcem znużona padła na ławę.

— Komu w drogę temu czas! rzekł Tót całując w rękę swą tancerkę, nie zatrzymuję więc dłużej państwa, tem bardziej, że na dworze świta, zawierucha już ustała i pani może teraz bezpiecznie dalej jechać. Konie wypoczęły, ludzie jej wywczasowali się. Podróż pójdzie więc dalej bez przeszkody; tembardziej że do Debreczyna stąd tylko mała milka. Przed odjazdem jednak pozwolisz pani, że u nóg twoich złożę mały podarek, który przyjąć raczysz jako pamiątkę balu w esardzie „biednych chłopców“!

Mówiąc to Tót wydobył z za pasa przesliczny sznur pereł i złożył go na kolanach hrabianki.

— Nie bój się, pani! mówił dalej Tót, perły nie pochodzą z żadnego rabunku; kupiłem je sam dla mojej kochanki, będąc w Munkacsu. Śmiało możesz je przyjąć i nosić, bo nie są zhańbione podłym czynem!

— Przyjmuję, odparła hrabianka, zakładając perły naszyję; lecz w zamian, proszę, przyjmij odemnie również na pamiątkę tak mile spędzonej nocy, ten oto zegarek.

Tót, odbierając z rąk hrabianki podawany mu zegarek złoty wysadzany brylancikami, ukląkł na jedno kolano i z rycerską galanterią pocałował ją w rękę.

W chwil kilka później podróżni nasi siedzieli już w karecie i właśnie z miejsca mieli ruszać, gdy Tót zbliżył się raz jeszcze do karety i zwracając się do markiza rzekł:

— Przepraszam! zapomniałem o panu; jak wrócisz do swego kraju, to powiedz swoim rodakom, że i węgierscy Szegén-Légény umieją być gościnni i szanują kobiety, a na drugi raz nie próbuj towarzyszy moich zastraszać rewolwerem, bo mógłbyś źle wyjść na tém. Rewolwer twój zatrzymam, bo jak widzę niezły i przydać się mi może. Isten al dja ont, Szerencse's utat! (Niech Bóg błogosławi was, szczęśliwej podróży).

Po tej przemowie, karéta ruszyła i w niespełna dwie godziny zatrzymała się przed hotelem w Debreczynie.

czynie. Tacy to, jak widzisz, są nasi „biedni chłopcy“; trzeba tylko umieć z nimi postępować.

Skończywszy to opowiadanie towarzyszył mi zamilkł, a ja rozmyślać począłem nad tragiczno-komicznym wypadkiem hrabianki.

Gwiazdziste dotąd niebo zaczęło się pokrywać gęstymi czarnymi chmurami, z pośród których od czasu do czasu na wschodzie wypadać zaczęły jaskrawe błyskawice. Daleki przeciągły huk grzmotów wśród głóchej ciszy dolatywał nas coraz wyraźniej. Niczem nie zamacona dotąd cisza ustępować zaczęła dalekiemu szumowi zbliżającej się burzy. Zrazu lekkie podmuchy wiatru, nasycone orzeźwiającą wilgocią, stając się coraz silniejsze, zamieniły się w końcu w straszliwy huragan, niosący tumany zeschniętej trawy, liści, pyłu i piasku, pomieszane z deszczem kroplistym, który niebawem przy akompaniamencie ogłuszającego huku bezustannych piorunów i oslepiających błyskawic zamienił się w ulewę. Lecz jak prędko ta burza nadciągnęła, tak też i prędko przeleciała ponad głowami naszymi. Niebo rozjaśniło się, gwiazdy żywo na ciemnym tle błękitu zabłyśły, a księżyc, dotąd ukryty za chmurami, wypłynąwszy tryumfalnie na niebios przestworze, magicznym swoim światłem oblewając całą okolicę, pozwolił nam ujrzeć przed sobą upragniony cel naszej podróży.

Klimat węgierski na całym obszarze tego kraju jest nadzwyczaj rozmaity. Okolice Karpat jako wysoko położone są zimne, a średnia temperatura Budy wynosi 9° Réaum., co już klimat łagodny oznacza;

pomimo tego zima jest tam dosyć ostra, bo rozległe równiny i wzgórza, na których leży Buda, z położenia swego mają swobodny i mocny przyływ powietrza, co łatwiej przyczynia się w porze zimowej do zwiększenia zimna niż w miejscach bardziej ku północy położonych. Zmienność pogody i temperatury a mianowicie tej ostatniej jest tu bardzo wielka. W Węgrzech środkowych a mianowicie około Kecskemetu, Debreczynu i Szegedynu, wśród najgorętszego lata, ranki i wieczory są tak zimne, że nieprzyzwyczajony do tych zmian atmosferycznych musi trzy razy dziennie zmieniać ubranie. W dzień upał staje się tak nieznośnym, że każdy radby obyć się bez ubrania; lecz zato rano i wieczór śmiało można się odziać w futro, które wcale zbytęcznym się nie okaże. Niższe okolice Dunaju i Cisy są nieznośnie gorące; lato po większej części suche tak, że wszelka roślinność jakby ogniem zniszczona, w zimie zaś panuje nieznośna wilgoć i przejmujące zimno. W lecie okolice nawiedzają często cyklonowe niejako burze, połączone z oberwaniem się chmur, straszliwymi gromami. Lecz burze te szybko nadciągają i szybko przechodzą.

O bogactwie roślinnym Węgier nie mam co mówić, jest ono aż nadto dobrze znane. Wszelkie gatunki zboża, jarzyn i owoców udają się tu wysmienicie a kawony dochodzą nieraz do 40-funtowej wagi.

Na stepach południowych i środkowych Węgier chowają się i mnożą stada buhajów i krów siwych z ogromnemi rogami; w okolicach bagnistych zaś znajdują się czarne bawoły z szerokimi płaskimi roga-

mi, stada dzikich koni wybornej rasy. Magnaci węgierscy mają tu wielkie stadniny koni, rasy zbliżonej do arabskiej, odznaczające się wysmukłym kształtem lekkością, zwinnością i olbrzymią wytrzymałością. Chowają tu nadto owce, lecz te mają grubą wełnę i nie należą do ras szlachetnych. Chów trzody chlewnej wielce jest rozgałęziony, do czego dopomagają w wielu okolicach bukowe łąsy. Oprócz zwierząt domowych i użytecznych, Węgry obfitują także i w zwierzęta drapieżne, jak wilki, których są dwa gatunki: zwyczajny i tak zwany trzcinowy, o wiele mniejszy od poprzedniego, lecz bardziej niebezpieczny, bo chytrzejszy i zwinniejszy. Rysie, lisy, dzikie koty, dziki i niedźwiedzie znajdują się w całych Węgrzech i to wznacznój ilości. W Karpatach żyją dzikie kozy, a nad Dunajem i Sawą przebywają bobry, lecz nie gromadnie tylko pojedynczo. Z ptactwa dzikiego w górach gnieźdzą się dwa gatunki orłów: królewskie i orliki, oraz sępy. Oprócz mnogiej ilości różnorodnego drobnego ptactwa, Węgry są siedzibą dropiów i pelikanów, czapel, żórawi i bocianów. W płazy i ryby kraj ten niemniej jest bogaty, a Cisa jest najrybniejszą rzeką w Europie. Nadmienić tu jeszcze wypada, że i w minerały i drogie kamienie Węgry nie są ubogie, z czego wypływa, że pod względem bogactwa naturalnego, mało który z krajów Europy z Węgrami iść może w porównanie.

Gdy konieczność nie zmusza do pracy, Węgrzy są leniwi i ociężali; to też, z tych względów, osiedli oni w miejscach, gdzie im sama natura wszystkiego

dostarcza. Lubiąc mieć bydło, które samo bez obcej pomocy się rozmnaża, wychowuje i wypasa, lubiąc kukurydzę, której jedno ziarno daje tysięczny owoc, osiedli tam gdzie się to wszystko udaje. Z tém wrodzoném lenistwem, a raczej, że tak powiem, ociężałością właściwą wszystkim niemal wschodnim narodom, łączy się jeszcze i uporczywe przywiązanie do przestarzałych zwyczajów; żaden Węgier nie da się nakłonić do innej uprawy gruntu od téj, jaką widział u ojca i dziada, żaden nie uważa cudzoziemca za człowieka wolnego, bo on tylko mieni się być wolnym, a najpodlejszy nawet rozbójnik uwolniony z pod szubienicy mając się za coś lepszego od niewęgra, z wielkim wstrętem ledwie mu tytuł „człowieka“ przyznaje. „*Tót ember nem ember*“ (*), mawia każdy Węgier, wywyższając się nad inne narody.

Rzecz osobliwsza, że pomimo uporczywego trzymania się starych przesądów, i pomimo niewysłowionej miłości do tego co jest ojczyste, język obcy w całych Węgrzech najzupełniej się zakorzenił. Łacina stała się tu językiem niemal powszechnym, zagrażając zupełném wyrugowaniem języka madjarskiego. Nie tylko szlachta, lecz i włościanie, ba nawet kobiety mówią tu po łacinie. Nie jest to naturalnie łacina poprawna, klasyczna, tylko najhaniebniejsza na całej kuli ziemskiej, pod względem prozody i wymowy. Duchowieństwo nawet nie mówi lepiej „*Dominusz Vo-*

(*) Sławianin, nie człowiek

biszku“ lub „*Szálve Dominusz*“ oto zwykły sposób wymowy łacińskiej Węgrów.

Język węgierski niezaprzeczenie jest trudnym do nauczenia się, nie ma bowiem żadnego podobieństwa z jakimkolwiek innym językiem europejskim; pomimo to jest piękny, dzwięczny i pełen męskiej siły, jako też posiada szczególną zwięzłość obok giętkości, i niezmierną godność. Węgrzy, na całym obszarze kraju zmieszani z Niemcami, utrzymali się najczystej w csongradzkim komitacie; tu też język ich jest najbardziej wolny od wszelkich przymieszek.

Mężczyźni są ogólnie bardzo dorodni, wysmukli, silni i mocno odznaczających się rysów twarzy, nadających nawet młodym ludziom postać poważną. Cera węgów opalona, brunatnawa od promieni słońca, u młodzieńców i dzieci lśniącą białości. Węgrzy jako jeźdźcy są bardzo zręczni, równie dzielni w kierowaniu czwórka jako i jednym koniem.

Najulubieńszem zatrudnieniem Węgrów, tak jak i Turków, jest próżnowanie; ażeby zaś wtedy się nie nudzić, słuchają opowiadanych im bajek i powiastek. W każdym też możniejszym domu są tak zwane opowiadaczki. Sława wielu z nich nieraz daleko się rozchodzi, a powiastki przez nie głoszone są pełne bogatej fantazyi, kwiecistości, uroku poetyckiego i żywych obrazów. Te kobiety stanowią dzwignię i skarbiec węgierskiej literatury ludowej; ubolewać tylko nadtem należy, że dotąd nikt się nie znalazł, coby te podania, powieści i pieśni ludowe Węgień zebrał i drukiem ogłosił. Jeżeli tak próżniactwo, jako też słuchanie

bajek węgrowi się sprzykrzą, wtedy zrywa się do tańca, w którym cały zasób zręczności, siły, energii i namiętności rozwija.

Niezmiernie szacowném znamieniem charakteru węgrows jest gościnność. Węgier, pamiętający zawsze o swój godności, z powagą wielką przyjmuje w dom swój przybysza; lecz z chwilą w której tenże przekroczył próg domu jego, staje się członkiem rodziny gospodarza, i wszyscy ubiegają się w okazaniu mu serdecznej gościnności. Czego kuchnia i piwica dostarczyć może, wszystko w ofierze składają przed gościem, a im chętniej zagląda do dzbana, tém miłszym jest dla gospodarstwa. Kiedy już gościnę opuszcza, wtedy odprawiają go obładowanego żywnością a często się zdarza, że i przedmiotami które mu się podobały.

Zdarza się często, że nieobznajomieni z tym ogólnie węgiersko narodowym zwyczajem mimowolnie chwalą jakiś widziany przedmiot, np. konia, starożytną broń jakąś, siodło lub tym podobne; otóż węgier niezwłocznie chwalony przedmiot, chwalcemu ofiaruje, a ktoby go nie przyjął, obraża ofiarodawcę i naraża się na bardzo przykre nieraz następstwa.

W poprzednim rozdziale mówiłem już o cyganach, tu jednak przed poznaniem drugiej niemal ich stolicy, Debreczynu, ponownie słów parę o tym ludzie powiedzieć muszę.

Otóż cyganie węgierszy, jako pochodzący z Indyj, kształtami swemi i budową ciała ogromnie się

różnią od Madjarów. Postać ich jest delikatna, kibić kształtna a rysy twarzy regularne; dziewczęta zaś podobne do aniołów, jeżeli aniołowie bywają brunatni; duże czarne oko, pełne namiętnego ognia i słodkiej rozkoszy, błyszczy z pod długich czarnych rzęsów. Zęby bielutkie jak śnieg ukazują się z pod foremnych karminowych usteczek, a czarne jak krucze pióra, grube pukle włosów, okalając twarz, spadają na długą szyję, pełne, delikatnie zaokrąglone ramiona i pierśi prześlicznie ukształtowane. Lecz te piękne kształty tracą swój urok, gdy oczu naszym przedstawi się ich nadzwyczajne nieochędństwo, i wcale nie stetyczne stare lachmany, jakimi swe ciało okrywają. Po całodzienniej pracy, lub też i próżniactwie, wieczorem, te odrażające cyganki, bogato przystrojone i wyświeżone, śpieszą do csardy lub szynkowni, aby przy dźwiękach roznamiętniającego csardasza pohulać z młodzieżą. Młoda i piękna cyganka rozpoczyna więc taniec z najzgrabniejszym chłopcem, i tańczy nieutrudzona prawie noc całą. Znika wprawdzie dosyć często ze sali tanecznej, lecz każdy wie jak to tłumaczyć należy, i nikt ani jój ani też szczęśliwego kochanka nie nagabuje o to. Dziwna rzecz, że jak po za obrębem swego legowiska, mężczyźni i kobiety usiłując osiągnąć korzyść za jakąbądź cenę, lekceważą moralność, tak w obrębie swego zebrania, swej gminy żadne nie dopuszcza się niewierności. Cygan żeni się mając lat 15, z cyganczką 11 do 12-letnią, i ani jemu nie przychodzi na myśl spojrzeć pożądliwie na inną, ani też jej rzucić się w objęcia drugiego cygana; gdy

tymczasem po za kołem rodzinném każda rozrywka jest dozwoloną a nawet podobny sposób zarobkowania jest prawem obyczajowem nakazany.

Cyganie osiedleni zowią się tuta *Ujparasztak* (nowochłopi), i takich, jak to już rzekłem, Węgry posiadają znaczną liczbę.

Późno już w noc przybyliśmy do Debreczynu, miasta największego w Węgrzech po Peszcie, a położonego w komitacie biharskim. Położone jest ono na wielkiej, okiem niezmierzonej piaszczystej i suchej płaszczyźnie, która ku południowej stronie zaczyna być żyzną. Z powierzchni zakrawa Debreczyn na miasto tureckie, a to ze względu na nieregularną budowę domów, jak i nieznośne błoto. Bruki znajdują się tylko na głównych ulicach, a trotuary są z drzewa. Miasto otoczone ziemnym wałem i liczy 2600 domów, przeważnie parterowych; piętrowe są tu niezwykłą rzadkością. Za moich czasów Debreczyn miał 40000 mieszkańców, mówiących najczystszy językiem madjarskim, i należących po większej części do kościoła reformowanego, którego superintendent tutaj rezyduje.

Ratusz, pięć kościołów, gmach szkolny, dalej kolegium reformowane, w którym mieści się biblioteka z 40000 dzieł: oto wszystko co tu zwraca uwagę przybysza. W czasie wojen tureckich, a następnie i religijnych, Debreczyn ucierpiał wiele; r. 1849, po zwycięskiej bitwie dla Węgrów, gdy armia austriacka zajęła Peszt, odbywały się tutaj obrady sejmu węgier-

skiego. Przemysł jest bardzo rozwinięty, a mianowicie Debreczyńscy dostarczają handlowi przeszło 8000 cetnarów mydła rocznie, wyrabianego z sody, którą zbierają z pobliskich jezior solnych. Tu też jest siedziba szewców, wyrabiających węgierskie ciżmy, a mnóstwo garncarzy trudni się wyłącznie wyrobami tak zwanych tureckich stambułek z czerwonej i czarnej gliny, których rok rocznie rozchodzi się do 12,000,000! W czasie czterech dorocznych jarmarków handel tutejszy nadzwyczaj się ożywia, przybywają Wołosi, Turcy, Albańczycy, a konie, woły, wieprze, słonina, miód, wosk, tytuń są wtedy najgłówniejszymi przedmiotami handlu.

Debreczyn jest środkowym punktem węgierskiej narodowości, obyczajów i ubiorów, lecz przytem i starodawnej niedbałości o jakiegokolwiek wygody. Niczego tu niema, coby służyło do uprzyjemnienia życia; pobyt więc w Debreczynie pod tym względem jest arcynieznosny, i jeżeli przybysz niema tu znajomych, w rodzinném kółku których mógłby czas mile spędzić, to już po dwóch dniach pobytu uciekać stąd będzie.

Rozległe bory debreczyńskie sławne są z tego, że śród ich cienia liczne znajdują się jeziora solne, zwane Féjer-To (białe-jeziora), a to dlatego, że zawsze są pokryte jakby warstwą śniegu. Na dnie tych jezior znajduje się wiele piasku kruszcowego z błyszczem. Z jezior tych wydobywająca się soda, bardzo często pokrywa brzegi na pół cala, a mnogość jej zdaje się być nieprzebraną, bo w przeciągu ciepłych ośmiu letnich miesięcy zbierają ją co trzy lub cztery

dni, a jednak od kilku wieków ciągle się odnawia. Brzegi jezior już wyschniętych, jako też i tych, z których sody zbierają, porośnięte są roślinami nadmorskiemi. Sody zbierają tu rocznie przeszło 10000 centnarów, które przerabiają bądź na mydło, bądź też in crudo sprzedają. W Kalugyere koło miasteczka Waszkob znajduje się nadzwyczaj obfite źródło siarczane: *Dagado Foras*. Woda tego źródła jest nadzwyczaj czysta, bez smaku i, mimo niskiej swój temperatury, nigdy nie zamarza.

Z Debreczynu, na Derecske, Ujfalu, Artand i Kis-Püspöki, zdążyliśmy do Nagyvarad (Wielki Warad), położonego nad Sebesköros (Rwący Koros) u skraju wielkiej bagnistej równiny. Nagyvarad jest stolicą komitatu biharskiego i siedzibą biskupa rz. kat. Miasto ma 17000 mieszkańców, niegdyś opasane murami, i otoczone ośmiu podziemiami, nadzwyczaj podupadło; dawniej było o wiele większe. Dziś z 70 kościołów, których jeszcze szczątki się znajdują, jest tutaj tylko 19; między temi cerkiew grecko unicka, dwie cerkwie grecko-wschodnie, kościół ewangelicki i dwa domy modlitwy kalwinów. Katedra biskupia, r. 1080 założona przez Władysława Świętego, parę razy burzona i palona podczas wojen tureckich, ostatecznie r. 1778 w dzisiejszej swój postaci to jest w stylu romańskim została odbudowaną. W katedrze téj znajduje się grób króla Władysława Świętego, oraz pomniki króla Zygmunta i jego małżonki Maryi (siostry Jadwigi kr. polskiej). Nagyvarad słynny rów-

niez z tego, że tu zmarł Rakoczy r. 1660, że tu urodzili się węgierski mówca i arcybiskup Piotr Pazucany, i węgierski poeta Jan Garay.

Zwiedziwszy wszystkie tutejsze pamiątki, drugiego dnia pobytu w Waradzie ruszyliśmy przez Mezo-Telegh do Elesd, skąd dalszą podróż już pieszo odbyć zamierzaliśmy.

Rankiem, równo prawie ze wschodem słońca, opuściliśmy Waradyn, jadąc po nad brzegami krętej rzeczki Rwący Körös. Droga ta ciągnęła się po podurwistemi i stromemi odnogami Biharskich gór, nad którymi ku południowi Magura dumnie wznosiła swój szczyt śniegiem pokryty. Dolina, którą jechaliśmy, coraz bardziej się zwężając, od północy i południa zasłonięta jest górami, których grzbiety pokryte są lasami. W pobliżu tych gór płynie Rwący Körös i ciągnie się droga prowadząca do Banfy-Hunyad i Kołozwaru w Siedmiogrodzie. Przy drodze, w malutkiej dolinie tuż pod stokami lasem porośniętych gór, na lewym brzegu rzeczki osiadła się wioska Mezo-Telegh, przeważnie zamieszkała przez Wołochów wyznania grecko unickiego. Śród wioski tej, na skale, wznosi się mała cerkiewka, przypominająca swoim kształtem liczne cerkwie w Galicyi wschodniej. Góry Biharskie oddzielające Węgry od Siedmiogrodu stanowią jedno z najwyższych wzniesień Karpat, do pasma południowego których należą. Góry te w całym swoim ciągu pełne są najrozmaitszych niezbadanych i niezgłębianych dotąd jaskiń, o istnieniu których zaledwo dżicy górale wiedzą. Jedna z takich jaskiń, niejedno-

krotnie już zwiedzana przez turystów, leży w pobliżu Mezo-Telegh; dostęp do tej jaskini jest dość łatwy i w zwiędzającym ją budzi zajęcie tylko swojemi rozmiarami. Nie zatrzymując się wcale w Mezö-Telegh, coraz to bardziej zwązającą się doliną podążyliśmy do *Elesd*, skąd woźnicę naszego z końmi odesłaliśmy do Waradynu, aby ztamtąd na Bihar, Margitta i Tasnad podążył do *Király Darócz*, gdzie na nas miał oczekiwać; my zaś z podróżnemi torbami na plecach i z przewodnikiem, rozmownym wołochem, pusciliśmy się na zwiędzenie jednego ze szczytów Biharskich gór. „*Varatyek*“ stromo i urwisto wznosił się w północnej stronie po nad wioseczką *Elesd*, która u stóp jego pokornie się rozsiała. Przez szczyt „*Veratyeku*“ ciągnie się granica komitatu kraszneńskiego, należącego już do księstwa Siedmiogrodu, tak jak komitat środkowego Szolnoku i okrąg kovarski.

Po przeszło trzygodzinnym pochodzie, zawieszeni nieraz nad straszliwą przepaścią, najeżoną poszarpanemi skałami, wydostaliśmy się na szczyt *Varatyeku*, z kąd na zachód otworzył się nam prześliczny widok na Waradyn i poza nim rozciągające się równiny, a na północ, wschód i południe imponująca panorama na poszarpane szczyty i łańcuchy gór Biharskich, Reskich i Kovarskich. Ku wschodowi coraz bardziej wznoszące się wierzchołki Karpat siedmiogrodzkich majestatycznie zasłaniały widnokrąg, śnieżno złocistemi liniami rysując się na błękitném pogoduem niebie. Ze szczytu tego po godzinnym odpoczynku i nasyceniu się przewspaniałym widokiem, zlebem położonym

od strony północnej spuściliśmy się na pierwszą turnię, gdzie wytryska źródło sączące swe wody ku Berettyö, rzeczulce stanowiącej przyływ Korösu. Tu pokrzepiwszy się nieco koziem mlekiem, bryndzą i kawałkiem kukurydzianego placka ruszyliśmy dalej ku wiosce Nagy Szata, gdzie przenocowaliśmy u proboszcza, który z wielką gościnnością nas przyjął i opowiadaniem miejscowych zwyczajów i obyczajów dług o w noc nas zabawiał.

Następnego dnia po śniadaniu zastawionym przez proboszcza (którego nazwisko uleciało mi z pamięci), a składającym się z wysmienitej kawy, gorących podłomyków z mąki kukurudzianej, przewybornej wieprzowej polędwicy z marynowaną zieloną papryką, seru, bryndzy, winogron, migdałów i t. d., oraz doskonałego wina na „popłuczyny“, ruszyliśmy do *Szillagy Somlyo*, głównego miasta komitatu, położonego nad rzeczulką Berettyö. *Szillagy Somlyo* ma 2500 mieszkańców: węgrows, wołochów i serbów. Kościół katolicki i mała cerkiewka gr. kat. wyznania stanowią tu główną ozdobę i wspaniale wyglądają między parterowemi domami i domkami. O parę staj od miasta ku południowi tuż nad rzeczką wysoko na urwistej skale rozsiadł się zamek *Somlyo*, należący do najdawniejszych i najznakomitszych w całym kraju. Od strony miasta, tuż nad przepaścią, wznosi się baszta z bramą wjazdową, do której po nad rzeką i przez urwiska prowadzi wążka i kręta drożyna; od baszty téj na prawo i lewo ciągną się mury z strzelnicami i cynkami, połączone z bocznemi skrzydłami zamku, któ-

ry amfiteatralnie pnie się na szczyt skały, na której jest zbudowany. Korpus główny tego zamczyska, wznoszący się w samym środku po nad inne niżej położone gmachy zamkowe, z basztą wznoszącą się samotnie na skalistym ostrokągu, będącym po za obrębem murów, połączony jest arkadowanym krużgankiem. Struktura tego zamczyska przypomina wielce zamek *Hunyadi-Varos*. Po za zamkiem w głębi buczyną a wyżej smerekami porośnięte, wznoszą się dzioko poszarpane Szolnockie góry, stanowiąc tło do arcy malowniczego zamczyska, którego okna oświetlone promieniami zachodzącego słońca, jakby krwawe ogniście rubiny migocząc, wzrok olśniewają. Z wieżyczki kaplicznej, wychylającej się z pośród gmachów zamkowych, na szczycie której w odblaskach słońca migocze złoty krzyż, odzywa się jasnymi i harmonijnymi tony dzwonek wieczorny, wzywając mieszkańców doliny do modlitwy. Głos dzwonka pełny, jasny i dźwięczny, unoszony lekkim powiewem, płynie swobodnie w dal, a powtórzony wśród wąwozów i rozpadlin tysiąckrotnym echem, ginie w przestworzu jak ostatni akord z czarownej pieśni anielskiego chóru.

Ostatnie promienie słońca, kryjącego się na zachodzie po za Reskie góry, padając z ukosa na wspaniałe mury zamczyska, oblewają je złotokrwawymi barwami. Powoli czerwoność ta niknie, złote odblaski przyćmiewają i naraz sinawa pomroka otacza swym płaszczem zamczysko, miasteczko i całą okolicę. Z baszty wznoszącej się nad bramą, w chwili tej rozlega się huk wystrzału działowego, który jak grom

siejący postrach, powtórzony przez echo, zwiastuje okolicy zakończenie pracy całodziennej w sąsiedniej kopalni rudy miedzianej.

Jak wspaniała i imponującą jest powierzchowność tego zamku, tak niemniej i wewnątrz budzi pewien rodzaj zajęcia. Właściciel *Szillagi-Somlyo*, pan Györtfamvy es Szillagi-Somlyovar, człowiek pełen wysokiego ukształcenia i miłości pamiątek, z zamku swojego zrobił istne muzeum, na rozpatrzeniu się w którym i na poznaniu jego skarbów, nie chwil parę lecz dni kilka spędzić można. P. Gyortfamvy z całą węgierską gościnnością przyjąwszy nas, aczkolwiek na razie z niedowierzaniem na mój biały mundur spoglądał, później, poznawszy z kim ma do czynienia, wszystkie swe skarby otworzył przed nami i służył nam za „*cicerone*“ a przyznać należy, że pomistrzowsku wywiązał się z tego zadania. W dużej sali górnego zamku, t. j. głównego korpusu, przyozdobionej w portrety naturalnej wielkości poprzednich właścicieli zamku, całe zbroje rycerskie, tarcze, hełmy, szyszaki, buzdygany, ha-labardy, miecze, maczugi i t. d., w dębowej starą przesliczną rzeźbą pokrytej i oszklonej szafce znajdowały się: szyszak, pancierz, rękawice żelazne i miecz złamany Jana Kemeny, który r. 1662 w bitwie z turekami pod Nagy-Sölösz zginął. Obok tych pamiątek były tu jeszcze i inne jak: modlitewnik Janosa Hunyadi, łańcuch złoty z medalem Stefana Batorego, znaczny zbiór monet staro węgierskich, rzymskich i tureckich, bardzo liczny księgozbiór, i piękna galeria obrazów. W baszcie samotnie na uboczu się wzno-

szącej a z głównym korpusem połączonej krużgankiem znajdowało się archiwum rodzinne i pracownia. W kaplicy o gotyckiem sklepieniu i pięknych takichże oknach, zdobnych w przepyszne malowidła na szkle, oprócz starożytnego obrazu malowanego na drzewie i przedstawiającego Chrystusa między łotrami, a pomieszczonego w ołtarzu, znajdowały się liczne pomniki marmurowe i z porfiru żyłkowanego, pokrywające zwłoki panów tego zamczyska.

Upzejmy nasz gospodarz pan Miklosz Györfamvy, człowiek już nie młody, mający jednego syna, ostatniego z rodu, oprowadziwszy nas po całym zamku, po wszystkich jego komnatach, korytarzach, od podziemi zacząwszy aż do poddaszy i z powodu spóźnionej już pory zatrzymawszy nas na noc u siebie, zaprowadził do sali jadalnej, gdzieśmy przy obficie zastawionym stole zasiedli do wieczerzy. Zamek Somlyo za panowania Andrzeja II około r. 1220 został wzniesiony przez jednego z przodków hrabiów Baufy, od których w czasach późniejszych po kądzieli przeszedł w posiadanie Györfamvych-Silagy, w których posiadaniu już nadal pozostał. Zamek ten, położony na krańcach Węgier, wystawiony na ciągłe napady Mongołów i Turków, dzielny zawsze stawiał opór tym dzikim najeźdźcom, a dzięki swemu położeniu i dzielnej obronie nigdy nie dostał się w ręce wrogów. W r. 1849 w murach swoich, już po poddaniu się zdradzieckiego Gyorgyeya pod Villagos, ukrywał on czas dłuższy węgierskich bohaterów sciganych przez wiarołomnego Haynaua, którzy stąd manowcami przedostawszy

się do granic Turcyi, uszli haniebnej śmierci jaką im generalissimus austriacki przygotował. Tędy, jak niesie podanie, uchodzić miał i hrabia Andrassy, do niedawna kanclerz i prezes ministrów monarchii austro-węgierskiej.

Nazajutrz, podziękowawszy za uprzejmą i serdeczną gościnę, wążiuchną doliną po nad brzegami Krasnym, ekwipażem p. Györtfamvy ruszyliśmy do *Király-Darocz*, skąd, nie zatrzymując się, oczekującami już na nas końmi, przybyłemi dniem wprzód z Elesd, podążyliśmy przez Erdöd, po pod wyniosły szczyt Tarnicy do Aranyos Megyes, wioski rozsiadłej opodal od prawego brzegu Szamosu, z kąd tegoż dnia jeszcze po godzinnym odpoczynku pośpieszyliśmy do mego przyjaciela p. Remeny Miszki, mieszkającego w Aranyosfalu, między Ujvaros i Varallya.

Z zameczku a raczej dworu p. Remeny'ego rozciągał się precudowny widok na całą dolinę i stepy Szatmarskie i Debreczyńskie; opisu widoku, jako już pomieszczonego w moich „*Ze wspomnień żołnierza*“, nie powtarzam nadmienię tylko, że przez czas całotygodniowego pobytu mego u p. Remeny widokiem tym nasycić się nie mogłem, i że nigdy go nie zapomnę. Przez czas pobytu w Aranyosfalu nie próżnowaliśmy; przeciwnie, prawie codziennie robiliśmy wycieczki piesze w okolice a mianowicie w góry, których odnogi, wciskając się między Ujvaros i Varallya, docierały aż pod sam dwór p. Remeny'ego, tak że na ich stokach znajdowała się winiaca, będąca jego własnością i do-

starcząca wysmienitego i powszechnie cenionego Megyeshegyjskiego wina.

Zwiędziwszy każdy niemal zakątek gór otaczających Aranyosfalva, nareszcie puściliśmy się pieszo z przewodnikiem na czele, ku szczytowi Fenyer-Hegy, wznoszącemu się tuż na granicy komitatu Marmaros. Piątego dnia pobytu mego w Aranyosfalva, równo ze świtem ruszyliśmy do Ujvaros, skąd pośpieszyliśmy w dolinę przerzniętą trzema rwąciami strumykami, dążącymi do Cisy, otoczoną ze wszech stron niemal niebotycznymi górami, i rozciągającą się u stóp góry, zwiędzenie szczytu której było celem naszej wycieczki. Ujvaros u wstępu do tej dolinki, rozsiadłszy się tu u podnóża osamotnionego „*wirchu*“, stanowi niejako warowną forteczkę, broniącą przystępu do doliny. Zameczek z czasów odległych, bo z XV wieku, jak gniazdo jaskółcze przyczepiony do skalistych ścian wirchu, stanowi tu bardzo malownicze uzupełnienie dzikoromantycznej okolicy. Minąwszy wioskę i zameczek zagłębiamy się w dolinę równą, pokrytą zielenią pięknych łąk i pól ornych.

Uszedłszy tak przestrzeń nie przenoszącą półtora mili, i dostawszy się do trzeciego z kolei strumyka zwanego Kopatak, który z niemałym trudem skacząc z kamienia na kamień przebyliśmy, zaczęliśmy wstępować na stromą górę. Ścieżynka, którą postępowaliśmy, dążąc ku północy okrążała szczyt góry, która po nad nami groźnie się podnosiła, swe czoło w gęstych kryła obłokach. Przeskakując, lub też na

czworakach pełzając z kamienia na kamień, zawieszani ciągle po nad przepaściami, wydostaliśmy się po dwugodzinnym pochodzie na turnię dosyć rozległą, gdzie znajdował się szałas wołoskich pasterzy kóz i owiec. Odpocząwszy tu, już około południa zaczęliśmy się wdzierać od strony północnej, po stromej skale, na szczyt Fenyer-Hegy. Przy pomocy zręcznych i odważnych przewodników, spinając się jak kozy, tuż po nad przepaścią otwierającą się u stóp naszych, z niemałym trudem dostaliśmy się na niższy szczyt Fenyer'u, porośniętego trawą. Tutaj też wytryska parę źródeł, spływających do owych trzech strumyków, i zamieniających kilkanaście sążni kwadratowych przestrzeni na bagnistą łączkę. Ścieżką wiadomą przewodnikom a prowadzącą przez bagno, dostaliśmy się pod pionowo wznoszącą się ścianę samego „*wierchu*“. Przy pomocy sznurów i żelazem okutych lasek, dostaliśmy się nareszcie na najwyższy szczyt Fenyer'u, skąd nagle przed oczyma naszymi rozwinął się czarodziejski widok. Na zachód rozwinął się u stóp naszych jakby zielonym kobiercem pokryty cały prawie Szatmarski komitat, przerznięty od południo wschodu ku północy, jakby srebrzystą wstęgą, wartko płynącym Szamosem, nad brzegiem którego rozsiadła się stolica komitatu: *Szathmar-Nemethi*; na zachodniopółnocnej stronie coraz wyżej piętrzące się góry i szczyty ciągnące się ku „*Ostremu Wrchowi*“ i sąsiednim jego „*wrchom*“, widok na Ugoczę i Beregh, zasłaniały w zupełności, tak samo jak i ku południowi piętrzące się massy Karpat Si-

dmiogrodzkich. Na wschód, po nad niższe odnogi Fenyerskiego szczytu, widać falistą dolinę Marmaroskiego komitatu, w głębi której wznosi się łańcuch gór karpackich, odgraniczających wschodnią Galicyą od Węgier, ze szczytami swemi: Bliżuica, Pietrosz, Czarna hora, Ruski-Wruch, Kamionka i t. d. Na dolinie tej widać, jak stado owiec rozrzucone wsie i miasteczka Hoszumezö, Teezö, Szigeth, Szeles-Lonka, a śród wąwozów i gór, kryjące się osady Kabolya, Lonka nad Visso, Tribusa i Rusz Polyana, z poważnie między niemi rozsiadłym „wrchem“, zwanym „Pop Iwan“.

Spuściwszy się z niemalym trudem ze szczytu góry, już samym grzbietem górzystego łańcucha po nad przepaście, rozpadliny i t. d. podążyliśmy ku południowi. Po dwugodzinnym znowu pochodzie, pełnym grozy i niebezpieczeństw, szczęśliwie dostaliśmy się do podnóża góry „Ignics“, gdzie z powodu późniejszej już pory zamierzaliśmy zanocować, aby równo ze świtem wyostać się na wierzchołek i stamtąd przypatrzeć się okolicy przy wschodzie słońca. W szałasie na prędce zbudowanym z kosodrzewu i jałowcu, rozłożyliśmy się na nocleg. Przed szałasem przewodnicy rozpalili duży ogień, przy którym zaczęli nam warzyć polentę, czyli, jak tu zowią, mamalygę. Po wieczery zapaliwszy wonne cygara. i ułożywszy się na miękkim mchu, po godzinnéj może pogawędce zasnęliśmy snem głębokim.

Już dobrze po północy tuż obok szałasu usłyszeliśmy jakiś ruch niezwykły, a po chwili i głuche po-

mrukiwania. Ogień rozłożony przed szałasem wygasł prawie zupełnie, tliła się tylko jedna główienka. Noc była zupełnie ciemna. P. Remeny, który pierwszy usłyszał ów tajemniczy ruch po za ścianą szałasów, zerwał się, ujął w rękę tlejącą główienkę, którą wywijając w powietrzu, cienie nocy choć cośkolwiek chciał rozjaśnić. Tak przewodnicy jak i my pozostali, wybiegłszy na wolne miejsce, nagle ujrzelśmy przed sobą czarną masę, która, mrużąc, ku nam się zbliżała. Jeden z przewodników, skrzęsawszy szybko ogień, zapalił smolne łuczywo. Płomień buchnął krwawym blaskiem, oświetlając okolicę, i ujrzelśmy przed sobą, na jakie sześć kroków, dużego niedźwiedzia, który, na widok ognia, nagle się zatrzymał w swoim pochodzie. Ani przewodnicy, ani też i my nie mieliśmy z sobą żadnej broni; rozpocząć więc walkę po nocy, i z tak groźnym nieprzyjacielem nie można było; to też z uszanowaniem ustąpiliśmy z drogi naszemu gościowi, który z całą niedźwiedzią powagą, jakby nigdy nic nie zaszło i jakby nas nie widział, najspokojniej przeszedł obok szałasów, i jarem spuścił się ku Felső-Banya. Tak niespodzianie wypłoszeni z naszych legowisk, zasiedliśmy około świeżo roznieconego ogniska, i popijając przygotowaną winną polówkę, gwarząc o niedźwiedzich odwiedzinach, z pierwszymi braskami nadchodzącego poranku ruszyliśmy w drogę.

O ile trudnym i unuzającym było wdzieranie się na szczyt feyerski, o tyle trudniej nam przyszło zwiedzenie Ignicsu. Zwątpiwszy już abyśmy mogli się dostać na stożkowaty szczyt, ulegając jedy-

nie namowie p. Remeny, ja i p. Kappi mój towarzyszu podróży przy ciągłej i niezbędnej pomocy przewodników, poprzedzani przez naszego gospodarza, wydostaliśmy się nareszcie na sam wierzch, gdzie trzymając się rękami stożkowato zakończzonego szczytu, na którym nawet kozica utrzymałby się nie mogła, a opierając nogi w szczelinach skały, prawie zawieszeni nad 2000 stóp głęboką przepaścią, obejrzelśmy stąd rozwijający się widok. Słońce ukryte jeszcze za Bukowińskimi Karpatami, ozłacałopromieniami swemi ich szczyty, które, płonąc jakby w ogniu, przecudownie rysowały się na błękitnie niebios. Tuż u podnóża Ignicsu widniały dwa miasteczka Nagy - Banya i Felső Banya, dalej cóskolwiek na południe, za Szamosem, już u stoków Kövöarskich gór, wioska Remete, a dalej jeszcze same góry, wierchy, polany, tworzące widok który słowami niepodobna odmalować. Stąd jak i z Fenyéru, widać także w błękitnej oddali Szatmar-Nemethi a bliżej cóskolwiek *Erdöd Szada* i *Varallya*.

Nasyćwszy się tym widokiem i złożywszy na samym szczycie między odłamami skały butelkę dobrze zakorkowaną z naszemi biletami wizytowemi, rozpoczęliśmy odwrót, który o wiele był niebezpieczniejszy od wdrapywania się na szczyt. Podtrzymywani przez przewodników, rękami trzymając się skały, czepiając się szczelin i wyrastających tu i owdzie porostów, cofając się tyłem, z poszarpaném ubraniem, podrapaną twarzą, zakrwawionemi rękami, przybyliśmy na polankę, gdzieśmy noc spędzili. Tu odpocząwszy cóskolwiek postanowiliśmy opuścić się

źlebem wschodnim nad jeziorko zwane „*Czerń dol*“, z którego wypływa strumyk *Mara*, łączący się z *Uisą* w pobliżu *Szigetu*.

Pochód nasz źlebem ku jeziorku, w porównaniu z karkołomną wędrówką, jakąśmy odbyli schodząc ze szczytu *Ignicsa*, był zabawką. Nie zatrzymując się nad jeziorkiem, którego tonie nieruchome są czarnej barwy, tuż obok małego lecz bardzo malowniczego wodospadu spuściliśmy się nad urwiste brzegi *Mary*, po nad którą dalej ku dolinie podążyliśmy. Tak idąc nadsumiającym górskim potokiem, przeciskającym się między skałami, i okrążywszy samotnie wznoszącą się skałę, rodzaj pałki *Herkulesowej*, już dobrze po południu przybyliśmy do *Sugatag*, małej miejsciny, gdzie w dosyć wygodnie urządzonej domy zajezdny na nocleg zatrzymaliśmy się. Niewysłowienie znużeni dwudniową wycieczką w górach, mimo miłego i wesołego towarzystwa miejscowego proboszcza i nauczyciela, wcześniej udaliśmy się na spoczynek, następnego dnia zaś najętymi końmi pośpieszyliśmy do *Szigeth*, skąd nie zatrzymując się, udaliśmy się dalej już koleją żelazną do *Huszt*. Tu przybywszy około południa, postanowiliśmy dnia następnego zwiedzić nad *Nagy Agą* wznoszący się „*Ostri wrch*“. Nazajutrz też z szczęcioma przewodnikami rozpoczęliśmy wdzieranie się na ten istic „*ostry wierch*“, na szczycie którego po parugodzinnym utrudzającym pochodzie stanęliśmy.

Tu znowu piękny widok roztoczył się przed naszymi oczyma na północną część *rumaroskiego komitatu* i na południową część *komitatu bereskiego*;

zabawiwszy na tym szczycie przeszło godzinę, spuściliśmy się nad brzeg Bersovy, skąd w niespełna dwugodzinnym pochodzie, dostaliśmy się do *Bilki* (Białka), górskiej wioski zdobnej ładnie położoną cerkiewką. Tu u grecko-unickiego proboszcza gościnnie przyjęci, zanocowawszy, dnia następnego już na wózku ruszyliśmy na Kis-Almas do *Munkacsa*, gdzie nas pożegnał towarzysz naszej podróży p. Remeny, śpiesząc do swej młodej żony.

VII.

Munkacs, piękne miasto, starożytne i nie mniej malowniczo położone, od strony północnej osłonięte górami, na południo zachód ma przed sobą rozległą równinę, przerznąętą licznemi strumieniami i bagnami, które około Beregh, Szasz i Kaszony są prawie nieprzebyte. Munkacs ma około 5000 mieszkańców, dobrze jest zabudowany i jest przeważnie miastem handlowém. Znajdują się też tutaj liczne piwnice z winami, po zakup których ściągają rok rocznie liczni kupcy ze Stryja, Kałusza i Stanisławowa. Ludność tutejszą stanowią Węgrzy i Rusini. Piękny kościół katolicki ze ślicznemi pomnikami i rzeźbami, cerkiew grecko-nnicka bardzo starożytna i zachowująca piękną strukturę, jest katedrą dyccezyi munkacsskiej, biskup którój rezyduje w Uźhorodzie i tylko od czasu do czasu do Munkacsa przybywa. Nadto jest tu kościół kalwiński i klasztor z cerkwią OO. bazylianów. Na południo-zachód od miasta w odległości blisko $\frac{3}{4}$ mili, na 432 stóp wysokiej skale wznoszącej się na płaszczyźnie ze wszech stron otwartej, znajduje się za-

mek wielce starożytny i budzący niemałe zajęcie pod względem historycznym. Zamek ten wzniesiony został r. 1359, i tu rezydował w nim jeden z książąt Koryatowiczów, który fundował monaster bazylianów. W czasie wojen tureckich zamek ten odegrał ważną rolę, a w czasie walk Emerycha Tokölyego (1685—1688) przeciw Austryakom dzielnie był broniony przez żonę Emerycha, słynną Helenę Zriny. Zamek ten jest dziś zamieniony na więzienie, składa się z trzech części połączonych z sobą bramami, wałami i basztami. Ciele więzienne, które niegdyś były zapewne również więzieniami, wykute w najwyższej skale, są to groza przejmujące pieczary, bez światła i powietrza. W muzeum zamkowym, wśród licznych pamiątek mniejszej wagi pokazują fajkę Rakoczego, strzemiona Stefana Batorego, karabelę Heleny Zriny, listy Tökölyego i inne tym podobne pamiątki. Zwiedziliśmy całe miasto i wszystkie jego pamiątki, ruszyliśmy pocztą przez Szerednye do Ungwaru (Užhorodu), stolicy komitatu ungarskiego, miasta liczącego przeszło 6500 mieszkańców. Leży ono nad Unghą, przy płycie Bodrogu, w bardzo rozkosznej i malowniczej okolicy. Piękny kościół farny, dalej dom komitacki, seminarium teologiczne i parę innych pięknych gmachów zdobi Ungvar, gdzie w starym zamku rezyduje biskup munkacki (grecko-uniacki) z kapitułą. Z Ungvaru po zwiedzeniu bardzo bogatego archiwum kapituły i pięknej biblioteki seminaryjskiej ruszyliśmy w dalszą drogę do Szobrancz, miasteczka słynnego siar-

czanemi źródłami; ztąd na Nagy-Mihály, Gaal-Szes i Ridovcze podążyliśmy do Koszyc.

Coraz bardziej zapuszczając się w północne części Węgier, coraz liczniej spotykamy tu osiadłych Słowaków; Węgrzy zamieszkują już tylko miasta, wsie zaś przeważnie są słowackie. Lud to piękny, odznaczający się budową ciała, silny i zgrabny, lecz przyznać należy nie grzeszący czystością. Plemię słowiańskie zamieszkujące te okolice dzieli się na kilka szczepów jako to: Czopaków, Szolaków, Lissaków i Lemaków. Szczepy te nadzwyczaj są spokrewnione z Małorusami, tak pod względem dyalektu, jako też i obyczaju. Lud pracowity, lecz mimo to ubogi a to z przyczyny nieurodzajności ziemi i górzystego położenia.

Przybywszy do Koszyc i zakwaterowawszy się w hotelu pod „węgierską koroną“, ruszyliśmy na miasto aby je obejrzyć.

Koszyce (Kassa-varos), stolica komitatu abaujvarskiego, wolne miasto królewskie, położone nad Hernadem, liczyło za czasu mej bytności 14 do 15000 mieszkańców. Położenie Koszyc urocze. Miasto całe rozsiadło się w dolinie Hernadu, tuż nad rzeką, która z szumem przez nie przepływa. Otaczające wyżyny i pagórki pokryte są winnicami dostarczającemi dobrego wina stołowego. W głębi po nad miastem wznoszą się szczyty Karpat, które już masami zaczynają tu występować.

Wieś Koszyce, r. 1241 podniesiona do rzędu miast królewskich, pierwotnie zamieszkałą była przez

Niemców, którzy tu się chętnie osiedlali; dziś jeszcze Koszyce noszą na sobie piętno niemieckiego miasta, a uwydatniają to proste, regularne i czyste ulice, domy o czysto niemieckiej strukturze, jako też kościół Ś-tój Elżbiety, najpiękniejsza budowla Węgier, w czysto gotyckim stylu. Liczba Niemców zamieszkujących tutaj jest bardzo mała i przeważną część ludności stanowią Słowacy i Węgrzy. Trzyście kościołów katolickich i dwa kościoły lutrów i kalwinów wyniosłymi wieżycami swemi przyczyniają się wielce do ozdoby tego miasta. Jako gmachy pięknej struktury zasługują na uwagę: akademia prawnicza z biblioteką liczącą przeszło 10,000 tomów; pałac hrabiego Csa-ky, pałac komitatowy, gmach teatralny, pałac biskupi. Oprócz wyżej wymienionej akademii jest tu nadto seminaryum duchowne, wyższe gimnazyum, wyższa szkoła realna i seminaryum nauczycielskie. Mieszkańcy tutejsi trudnią się handlem i przemysłem, są zamożni i zamiłowani w pracy. R. 1849, dnia 4 lipca, Węgrzy pod wodzą swego ministra wojny, w zaciętej bitwie jaką tu stoczyli, przez Austryaków pod wodzą generała Schlicka zostali pobici, i Koszyce, dotąd obsadzone przez Węgrów, dostały się w ręce armii zwyciężkiej. Z Koszyc zrobiliśmy wycieczkę na zachód komitatu, do miasteczka Jaszo, gdzie znajduje się opactwo premonstratenzów. Kościół tego opactwa zalicza się do najpiękniejszych z całego kraju, a to nie tylko pod względem struktury lecz i bogactwa marmurów i alabastrów, jakimi jest przyozdobiony.

Ma on 200 stóp długości. Biblioteka prześliczna, pełna rzadkich dzieł i manuskryptów, dalej zbiory muzealne i numizmatyczne, jako też prześlicznie położony i utrzymany ogród.

Zwiedziwszy te miejsca, nader uprzejmie przyjęci przez wiekowego już starca-opata i jego koadjutora, późno wieczorem powróciliśmy do Koszyc, skąd dnia następnego wyruszyliśmy rankiem do *Eperies* (Preszów), stolicy szaroskiego komitatu. Jadąc prześliczną doliną po nad Hernadem, który wężykowato ją przerzyna, około południa zdążyliśmy do celu zamierzonego.

Eperies leży wśród gór i dzieli się na górne miasto, niegdyś stanowiące warownię, otoczone mocnym starym murem, i trzy przedmieścia. Tu jest rezydencya biskupa grecko-unickiego, a piękna cerkiew i dwa kościoły katolickie dodają miastu niemało ozdoby.

Następnego dnia przez *Kirchdrauf* podążyliśmy około południa do *Lewoczy* (*Locse-varos*), dokąd późno wieczorem przybywszy, zatrzymaliśmy się w hotelu pod „królem węgierskim“, w którym za czasów mej piérszój bytności w tém mieście czas, dłuższy się stołowałem. *Lewocza*, stolica spiskiego komitatu, leży na pagórku wolnym ze wszech stron. Plac główny czyli rynek odznacza się obszernością i wspaniałym kościołem gotyckim *St. Jakóba*, we wnętrzu którego oprócz olbrzymich organów, znajdują się, jak utrzymują mieszkańcy, rzeźby *Wita Stwosza*. Wspaniałały ołtarz, istna koroaka, swoim kształtem przypominający ołtarz *Panny Maryi* w *Krakowie*, w istocie

pozwała przypuszczać, że jestto dzieło naszego rzeźbiarza. Małeńki strumyk przepływający u stóp góry, na której rozsiadło się miasto, a niewystarczający nawet na zaopatrzenie w dostateczną ilość wody mieszkańców, dał powód do złośliwego żartu. wedle którego rada miejska przed wieki wydać miała rozkaz, aby, pod karą wieży, mieszkańcy nie wazyli się chować gęsi, a to z obawy, aby się w „rzecze“ nie potopiły.

Zabawiwszy dzień jeden w Lewoczy, ruszyliśmy w dalszą drogę przez Donnersmark. miejscowość słynną z tego względu, że w jej sąsiedztwie jest siedziba „dziesięciu kopijników“ (Tizen-dsidas), którzy, będąc szlachtą zagonową, należeli do przybocznej straży króla, uzbrojeni w kopie. Minąwszy Kapsdorf (Kapostafalva), pięknie położoną wioskę, w pobliżu której znajduje się w jednej odnodze Kralowej Holi pieczara dosyć obszerna, nosząca ślady na sobie, że we wnętrzu jej, w czasie napadów wojennych, przemieszkwać musieli ludzie. Stąd coraz bardziej się zewężającą doliną po nad brzegami szumiącego Grauu, raźnie podążyliśmy do Pohoreli, wstępując po drodze do Hnilca, małej wioszczyny położonej u podnóża Kralowej Holi, gdzie odpoczęliśmy chwil parę.

W Pohoreli, na południe od majestatycznego szczytu Kralowej Holi, zatrzymaliśmy się u właściciela we dworze położonym tuż obok szosy, po za piękną kapliczką zbudowaną przy drodze.

Dnia następnego z gospodarzem naszym, leśniczym rządowym tu zamieszkującym, jednym pomocnikiem leśniczego i paru góralami, uzbrojeni w dubel-

tówki ruszyliśmy ku źlebow prowadzącym na szczyty Kralowej Holi, w zamiarze zapolowania na niedźwiedzie, które od dni paru w téj okolicy się pokazały, wyrządzając wielkie szkody. Dzień był przesłiczny, powietrze czyste, lekkie, pełne balsamicznej woni, i przypuszczać można było, że polowanie *á l'improviste* urządzone uda się wysmienicie. Z Pohoreli wyszliśmy jeszcze przed wschodem słońca, i nim ono z za gór się wychyliło, już byliśmy wysoko po nad doliną, rozstawieni wzdłuż jaru ciągnącego się od szczytu Kralowej Holi ku wiosce u stóp góry rozsiadłej. Jarem tym ciągnęła się ścieżynka, którą niedźwiedzie do opodal wytryskującego źródelka przechodziły.

Towarzysz mój p. Kappi stał odemnie o jakie pięćdziesiąt kroków wyżej, tuż na skřęcie jaru. Leśniczy zaś, który tą wyprawą kierował, spuścił się do jaru i ostrożnie postępując w górę, zapuścił się w zarośla, zniknąwszy nam niebawem z oczu. Na lewo odemnie pod wyniosłym świerkiem zajął miejsce nasz gospodarz, a dalej za nim jeszcze pomocnik leśniczego. Górale, uzbrojeni w toporki, obszedłszy nasze stanowiska, poszli ku poprzecznemu jarowi, który jeszcze wyżej od naszych stanowisk się znajdował, i który łączył się z tym, nad którym staliśmy.

Po odejściu górali zaległa głęboka cisza; powoli wznoszące się słońce złotemi promieniami oświeciło czarującą okolicę górską. Wirchy i hale, pokryte majową zielenością, błyszczały w całej swej uroczej piękności, a piętrzące się nad niemi szczyty gór fantastycznie poszarpanych ginęły w błękitnej oddali.

przejętej złotawo-płomiennym odblaskiem. Zubova Hola, wznosząca się na południe, od Pohoreli, pokryta cała świerkowym lasem, tonąc w blasku słonecznych promieni, wydawała się świątynią najeżoną licznymi wieżami i wieżyczkami. Blżej i dalej położone Černi vrch, Biela hola, Dobsický vrch, otaczając Zubową Holę, zdawały się być tak blisko nas, że pasterze będący tam mogliby głos nasz usłyszeć, a jednak przeszczeń nas rozdzielająca od tych szczytów była bardzo znaczna. Po półtora blisko godzinnym wyczekiwaniu, naraz w głębi parowu usłyszeliśmy dwa wystrzały jeden po drugim, odgłos których tysiącnym echem powtórzyły góry. W chwil parę po wystrzałach rozległa się straszliwa wrzawa naganiaczy, nawoływania, krzyki: zdało się, że tysiące ludzi nappełniło te dzikie jary i wąwozy. Tuż pod nami było cicho i spokojnie, jakby natura zamarła. Znów wystrzał powtórzony echem przeciągłym. Nagle w głębi jaru, po pod moją stanowiskiem, wśród krzaków, zaszeleściło, jakby zwierz jakiś się przemykał; łomot gałęzi, druzgotanych pod stopami zwierza i głuche pomrukiwanie zwiastowały, że brat Misio tędy się wymykał. Nie namyślając się długo, na oslep w gęstwinę strzeliłem raz i drugi. Potężny ryk rozległ się w powietrzu i uszu naszych doleciał odgłos łamanych gałęzi, w pośpiesznej ucieczce tego, z którym pragnęliśmy się spotkać. Naganka zbliżyła się do nas, w jarze czywiło się, wrzawa rosła z każdą chwilą, padł jeszcze strzał jeden, i ozwała się nakoniec trąbka myśliwska. Polowanie było skończone. Nadszedł leśniczy i wte-

dy dopiero dowiedzieliśmy się, że potężny niedźwiedź spotkał się z nim oko w oko, że strzelił do niego dwa razy, że, jak się zdaje, musiał go postrzelić, bo farba ślad znaczył. Z opowiadania tak leśniczego jakotóż i górali pokazało się również, że i ja do tegoż samego niedźwiedzia, nie widząc go nawet, tylko słysząc, strzelałem, i że nakoniec niedźwiedź zadrwił sobie z nas i poniżej stanowisk naszych wymknął się obławie.

Już dobrze po południu spuściliśmy się z gór podążając do domu, gdy spotkalismy jednego z pasterzy, który powiadomił nas, że u skraju wąwozu prowadzącego przez Cerni vrch ku Muranyały, widział niedźwiedzia z trudnością wdzierającego się na górę. Na tę wiadomość leśniczy posłał niezwłocznie w oznaczone miejsce kilku górali i dwóch strażników leśnych; my zaś całą gromadką udaliśmy się do dworu.

Przed samym już wieczorem wysłani górale ze strażnikami powrócili do Pohoreli, niosąc na noszach naprędce zrobionych olbrzymiego niedźwiedzia, którego przed gankiem na dziedzińcu złożono. Pan leśniczy przystąpił niezwłocznie do odszukania kul i znalazł ich dwie; obie tkwiły głęboko w płucach, a rozdierając je wywołały krwotok i następnie śmierć potężnego króla tych gór. Obie kule z wielkim moim żalem nie nadawały się do lufy dubeltówki, z której strzelałem, i tak bohaterem dnia tego był p. leśniczy, który wtedy dwunastego zabił już w życiu niedźwiedzia.

Wróciwszy do Pohoreli, zastaliśmy we dworze licznie zebranych sąsiadów pana Gabryela Borowskiego (Borovsky Gábor), ówczesnego właściciela Pohoreli, którzy na zaprosiny jego wraz z żonami i córkami na obiad przybyli. Przebrawszy się pospiesznie, podążyliśmy do sali jadalnej, gdzie zebrani goście z gospodarzem na czele przybycia naszego już oczekiwali. Uprzejmy gospodarz, pochodzący, jak sam twierdził, z rodziny polskiej, osiadłej tu na Węgrzech już od wielu wieków, zapoznał nas po kolei ze wszystkimi paniami i panami, z pośród których paru tylko mówiło po słowacku lub niemiecku, inni zaś tych języków nie posiadali, mówiąc jedynie po węgiersku. Zasiadliśmy do długiego stołu, obficie jadłem i napojami zastawionego. Towarzystwo całe składało się przeszło z trzydziestu osób. Naturalnie, że temat do rozmowy dostarczała nasza wyprawa na polowanie. Pan leśniczy, czech rodem lecz od lat już wielu osiadły w tych stronach, żywo i barwnie opowiadał o swoich przygodach z niedźwiedziami, których liczba przed r. 1848 była tu znaczniejsza.

— Pamiętam jak dziś, mówił, a jest temu już jakie lat 30, że prawdziwym cudem Bożym wydostałem się niemal z objęć Maruchy. Byłem wtedy młody, niedoświadczony, niedawno w te okolice przybyły a co najważniejsza zrozumiwały i nie chciałem słuchać przestrogi. Zajmowałem pod ten czas posadę praktykanta leśnego w leśnictwie Polomki. Dnia jednego przypadł na mnie dyżur, i musiałem mój rewir znajdujący się po za Kralową holą obejść i przekonać się,

czy gdzie niéma jakiej szkody, czy straż leśna znajduje się na swoich stanowiskach, i jaki jest zwierzostan. Pod wieczór już było gdy minąwszy Polomski żleb, wszedłem na ścieżynkę wiodącą po nad Hnilcem ku Czerwonej hali; na lewo ścieżynki, czépiającej się prostopadłej skały, otwierała się bezdenna przepaść. Ścieżynka, mało kiedy uczęszczana, wydostawszy się z po nad przepaści, już na Czerwonej hali, wiła się pomiędzy dwu źródłiskami, porośniętymi mchem czerwonym, a gdzieniegdzie porzucone odłamy skalne pozwalały z wielkim trudem, opuszczając ścieżkę, przedostać się po zwaliskach do żlebu prowadzącego ku Polomce. Wesoło pospiewując z jednorurką na plecach kroczyłem po tej ścieżce. Słońce chyliło się już ku zachodowi i jakby roztopionem złotem, promieniami swemi oblewało szczyty Kralowej holi, Szczerbowego wierzchu i innych. Śpiew mój, tysiakkrotnem echem powtarzał się wśród gór, które w tej chwili zdały się być zaludnione tysiącami wesołych mieszkańców. Szum niedalekiego wodospadu harmonijnie mieszał się z moim śpiewem i echem jego. Nagle minąwszy zakręt i wszedłszy już na zwaliska Czerwonej hali ujrzałem na odległości dziesięcin kroków potężnego Maruchę, który ścieżką jak najspokojniej naprzeciw mnie dążył. Łatwo pojąć jakiego wrażenia doznałem, spotkawszy się tak niespodzianie z mieszkańcem tych górskich okolic, a trzeba wiedziéć, że dopiero po raz drugi w życiu i to tak zbliżając się spojrzałem oko w oko niedźwiedziowi, który wyzywająco szedł ku mnie. Ustąpić z drogi? ależ to wstyd! Umykać też samą

drogą, którą przyszedłem, nie podobna, bo Marucha byłby się niewątpliwie rzucił w pogoń. Nie było więc rady, i trzeba było stanąć w pozycji zaczepnej; niedługo też namyślając się, szybko zdjąłem moją jednorurkę, a wzięwszy na cel Maruchę palnąłem, będąc pewien, że niedźwiedź, z tak bliska poczęstowany ołowianą pigułką, pożegna się z tym światem; inaczej jednak się stało. Chybiłem widocznie z zanadto wielkiego pośpiechu. Niedźwiedź z rykiem potężnym podniósł się na tylne łapy i, przednimi łapami jak cepami wywijając, zbliżył się do mnie. Przerażony i bezsilny stałem jak skamieniały na miejscu, uciekać niepodobna. Mąchalnie też wyciągnąłem przed siebie w rękach trzymaną jednorurkę, dotykając nią prawie kudłatych piersi mego przeciwnika.

„Marucha jednym zamachem wyrwał mi broń z ręki, i jakby postronek jaki zaczęła ją skręcać. Ja tymczasem, widząc się bezbronnym i bezsilnym w obec takiego przeciwnika, upatrzawszy na źródliku jeden z licznych odłamów skalnych, od ścieżki na jakie pięć kroków oddalony, jednym rzutem skoczyłem nań. Dziś przypominając to sobie, pojąć nie mogę skąd mi się tyle siły wzięło, żem mógł tak wielką przestrzeń bez rozpędu szczęśliwie przeskoczyć. Niedźwiedź, mrużąc groźnie, skręciwszy jak postronek lufę méj strzelby, cisnął nią za mną z taką siłą, że wbiła się w szczelinę skały, na której stałem, poczem, nie zatrzymując się więcej i ciągle pomrukując podążył ścieżynką, po której ja poprzednio szedłem, dążąc na Czerwona halę. Gdy niedźwiedź się już oddalił i mrużenia

jego słyhać nie było, rozejrzałem się po otoczeniu, rozmyślając nad tem, jak się wydostać z powrotem na ścieżynkę; między miejscem na którym stałem a ścieżynką, rozciągało się na przestrzeni dobrych dwóch sążni bezdenne bagnisko, pokryte, jakby kożuchem, czerwonym mchem. Przeskoczyć tę przestrzeń nie miałem ani odwagi, ani też siły, która poprzednio nie wiem skąd się u mnie wzięła. Odłam skalny, na którym stałem, najwyżej miał sześć stóp kwadratowych obszaru. Co tu robić? Po długim i rozpaczonym niemal namyśle postanowiłem z przyczyny, że już najzupełniejszy mrok zapadł, przeczekać do dnia następnego, i za dnia dopiero próbować przeprawy, a może i który ze strzelców, obchodząc rewir, tędy przechodzić będzie; to mnie wyciągnie z tej fatalnej matni w jaką wpadłem. Usiadłem więc na tem miejscu gdzie stałem, a otuliwszy się jak mogłem przed zimnem, które coraz dokuczliwszem się stawało, z rezygnacją oczekiwałem jutrzeńki.

„O śnie i marzyć nie można było; szczęściem że w csutrze miałem sporo jeszcze sliwowicy. nią też noc całą rozgrzewałem się. Nad ranem znużony całonocnym czuwaniem zdrzemnąłem się, i już słońce zeszło na niebie, gdy nagle obudził mnie głos jednego ze strzelców, który, idąc tędy, ujrzał mnie. Opowiedziałem co zaszło, prosząc aby mi dopomógł do wydostania się z tego miejsca, a że pod ręką nie było ani żerdzi, ani żadnego kawałka drzewa, któreby mi za kładkę posłużyć mogło, więc strzelec spuścił się z hali ku żlebowi, gdzie byli węglarze, i w godzinę może póź-

niej powrócił wraz z dwoma węglarzami niosącymi wysmukłą świeczynę, świeżo co ściętą. Po tej też świeczynie, ułożonej jak kładka po nad bagniskiem, zabrawszy z sobą pokręconą lufę mej jednorurki, dostałem się szczęśliwie na ścieżkę. Już dobrze było z południa, gdym przy pomocy strzelca zawlókł się do domu w Polomce i położywszy się niezwłocznie do łóżka, wskutek przeziębienia a może i strachu, dostałem gorączki i czas dłuższy chory przeleżałem. Odtąd udając się na rewizyą leśną i idąc w góry, choćby tylko na spacer, biorę z sobą dwururkę, a jak teraz i rewolwer i kordelas; dzięki też tej przezorności mojej dwunastego już dzisiaj ubiłem Maruchę!“

Pan leśniczy skończył swoje opowiadanie a obecni, na wniosek gospodarza, wypili jego zdrowie, wślad za którym posypały się i inne, przeplatane śpiewem, deklamacją i iście z węgierskim ogniem wypowiedzianymi mowami. Po obiedzie, a raczej wieczery nastąpiły tańce, które przeciągnęły się do dnia białego.

Dnia następnego, około południa, po sutem śniadaniu spożytém u pana leśniczego, ruszyliśmy w dalszą drogę, a jadąc wciąż po nad Granem, minawszy Polomkę-Renyus, późno już w noc zatrzymaliśmy się w Briesen (Brezno-Banya), małym górniczym miasteczku, liczącém przeszło 4000 mieszkańców, i celującem z wyrobu znakomitych sérów i przepysznej bryndzy. Nazajutrz wysmienicie przepawszy się we wcale porządnie urządzonej gospodzie, ruszyliśmy drogą po nad Granem do Bestercze Banya (Neusohl). W pobliżu Tót-Lipecs przejeżdżaliśmy tak ściésnionym wą-

wozem, że drogę musiano w tem miejscu wykuć w skale, po pod którą przepływają jak kryształ czyste wody Granu. W miejscu tem ponad rzeką skały tworzą rodzaj bramy naturalnej.

Bestercze-Banya, stolica bystrzyckiego komitatu, leży w obszernej kotlinie gór przy ujściu Bystrzicy do Granu (Hron) i dziwne robi wrażenie na przybyszu. Domy wszystkie, aczkolwiek piętrowe tylko, wydają się być dwupiętrowemi i, co dziwniejsza że bez dachów, a to pochodzi stąd, że ściany frontowe dachy połowicznie budowane przewyższają i są ślepemi ozdobione oknami. Drugą osobliwością jest to, że rynek jest otoczony 32 domami zajezdnemi wyłączenie, posiadającemi prawo szynkowania. Miasto otaczają mury. Po nad miastem wznosi się starożytny zamek, który niegdyś był obronny. Piękne kościoły, pałac biskupi i komitatowy niemało przyczyniają się do ozdoby miasta. Kopalnie miedzi, źródła szczawowe i handel drzewa dają dosyć zajęcia mieszkańcom. Tutejsze kopalnie wydawały tygodniowo po 100 funtów mieszaniny złota ze srebrem. Zwiędziwszy to co tylko zwiędzić się dało, ruszyliśmy do Kormocbanya (Krzemnice, Kremnitz), dokąd przez Radvany i Laurin około południa zdążyliśmy. Między siedmioma wysokimi górami rozsiadło się ślicznie położone miasteczko, należące do wolnych miast królewskich i będące zarazem stolicą komitatu bacskiego. Wgłębi kotliny rozrzucone domy i domki malowniczy widok przedstawiają od romantycznie dzikiej doliny Hermaneckiej, przez którą jak i przez gó-

ry teŝe nazwy wjazd nasz do K6orm6cbanya odbyliŝmy.

Najdawniejsze to miasto W6ęgier, bo, jak kroniki miejscowe i tradycja utrzymuj1, zał6żone zostało 750 roku. Stare miasto otoczone jest murami i z zamkiem, starcŝytn1 wielce budowli1, liczy tylko 40 dom6w; przedmieŝcia czyli dzisiejsze miasto otaczaj1 centrum, i licz1 przeszło 6000 mieszkańców,. Staroŝytny koŝci6ł, zdobny w malowidła al-fresco, ze złote mi tłami (styl bizantyjski), ma dwie wysokie wieŝe, pokryte grubo złoconemi dachami. Na rynku wznosi się kolosalny lecz wcale nie gustowny pos1g St. Teresy, kt6rego postawienie r. 1769 kosztowało 20,000 gulden6w. S1 tu takŝe pi6kne gmachy jak menniczy, gdzie bij1 tak zwane kremnickie dukaty, dalej ratusz i pałac komitatu. Przeŝliczny wodoci1g zaopatruje miasto w wodę; wodoci1g ten sprowadza wodę z rzeki Turocz o 2¹/₂ mili poł6żonej od miasta. Tutejsze kopalnie złota zasługuj1 na szczeg6ln1 uwagę, t6mbardziej, ŝe w nich znajduje się i ruda srebrna. Kopalnie te za czas6w mej bytnoŝci zatrudniały tylko 900 ludzi. Tak tu jak i wsz6dzie indziej nad kopalniami dyrekcj1 ma kamera kr6lewska. Prywatni przedsi6bierycy obrabiaj1 trzy cechy, w kt6rych wiele sztolni ma po szeŝć st6p kruszcowych, poruszanych za pomoc1 wody lub koni. Kr6lewski cech Leopolda jest najgł6bszy, i tu kruszce wydobywane w duŝych bryłach, jakŝy ponakrapiane złotem i srebrem, s1 rozbijane, tłuczone na proch i za pomoc1 szlamowania i

płukania szlachetny kruszec z kwarcu wydzielany. Kruszenia wydobytych brył kwarcowych dopełniają stępy olbrzymiej wielkości, które bryły wrzucone do koryta żelaznymi blachami wyłożonego, do którego ciągle sączy się woda, rozbijają i miazdzą na drobniejsze kawałki i pył. Tak potłuczone bryły kwarcowe, zamienione na błotnistą miazgę, przedostają się z owego koryta do płuczkarni, gdzie z wielką skrzętnością, pod dozorem urzędników, każde ziarnko złota i srebra wydobywane zostaje. W tutejszej hucie srebrnej obrabiają także i surowe bryły kruszcu srebrnego, który co miesiąc przywożą ze Szczawnicy węgierskiej (Schemnitz). Rozdzielacz, czyli jak go tu zowią szajdownik, ciągle jest zajęty rozdzielaniem złota właściwego od kwarcu, w którym tak złoto jak i srebro pomieszane i złączone, które zwożą z hut srebrnych w Żarnowicach i Bestercze-Banya. Mennica kremnicka wybija wszelkie szlachetne metale na monetę i tylko 267 grzywien złota i 17,812 srebra odstawia rocznie do Wiednia do cesarskiej fabryki ciągnięcia drutów telegraficznych. Wody gromadzące się w tutejszych kopalniach zawierają w sobie wiele siarczynu żelaza; dlatego też wydobywają z nich rocznie przeszło 406 cetnarów witryolu żelaznego. Zwiędzenie kopalni, mennicy i prześlicznie zbudowanego wodociągu, którym przeszło 2 $\frac{1}{2}$ mili sprowadzaną jest woda do warsztatów z rzeki Turocz, zajęło nam sporo czasu, i gdyby nie okoliczność, że niebawem mój urlop już się kończył, niewątpliwie bylibyśmy tu dłużej zabawili, aby dokładnie poznać tak eksploatację krusz-

ców szlachetnych jako też i życie tutejszych górników. Nie zatrzymując się też nigdzie po drodze, podążyliśmy przez Heiligen-Kreutz i Żernowice do Uj-Banya (Königsberg), jadąc ciągle po nad malowniczymi brzegami Granu. Uj-Banya leży na prawym brzegu rzeki, w miejscu ściśnioném i nadzwyczaj ponurem. Niegdyś były tu źródła złotodajne tak obfite, że robotnicy jako wynagrodzenie za swą pracę otrzymywali pył złoty, który osiadał na ich sukniach; dziś źródła te żadnej już prawie korzyści nie przynoszą, i hamernia żelaza oraz kopalnia kamieni młyńskich o wiele więcej procentuje. W sąsiedztwie Uj-Banyi, śród gór, znajduje się mała wioseczka, słynna gorącymi siarczanymi źródłami. Położenie téj wioski, *Szkleno* zwanej, jest prześliczne. Otóż oprócz źródeł siarczanych jest tu na wzgórzach naturalna grotta, która służy za łaźnię. Na ławkach, podobnie jak w Monsumano, wykutych w skale, dwadzieścia osób razem może używać kąpieli; lecz gorąco wywiązujące się w téj grocie jest tak silne, iż kąpiący się mogą tu zaledwo parę minut przebywać.

Z Uj-Banya, na Sz.-Benedek, małą miejscinę, ruszyliśmy do Aranyos-Maroth, miasteczka położonego nad Żitwą (Zsitva), skąd po parugodzinnym odpoczynku podążyliśmy dalej, górską drożyną, do Nitry, stolicy komitatu nitrzańskiego.

Nitra leży w prześlicznej okolicy nad brzegami rzeki téj saméj nazwy i u krańców gór nitrzańskich.

Miasto jest rozdzielone rzeką na dwie części, górne i dolne miasto, razem przeszło 5000 mieszkańców. Zamek na skale tuż nad rzeką się wznoszący otoczony jest murami, wałami i basztami. Niegdyś był bardzo obronny. Tu jest rezydencya biskupa katolickiego. Katedra składa się z dwu części, starego i nowego kościoła, które 24 stopniami są od siebie oddzielone co na zwiędzającym dziwne sprawia wrażenie. Do katedry przytyka pałac biskupi, a domy kanoników leżą u spodu góry. Całość tego gmachu wraz z przytykającymi budowlami przedstawia się jak jakie zamczysko i wcale nie jest pozbawione pewnej oryginalnej malowniczości. Zwiędziwszy miasto i katedrę pośpieszyliśmy na szczyt góry *Zabor*, wznoszącej się opodal od miasta. Po blisko trzygodzianym pochodzie wydostaliśmy się na wierzchołek góry, gdzie sterczą jeszcze ruiny klasztoru kamedułów i ich kościoła, pełne różnych pięknych rzeźb i szczątek z pomników. Z ruin tych precudowny rozwija się widok na wyspę *Csalloköz*, aż po za *Dunaj* w góry *Bakońskie* lasu. *Surany* nad *Nitrą*, *Neuhausel*, *Guta*, *Komorn* a dalej jeszcze *Igmand*, wszystko to widać jak na dłoni pośród okiem nieprzejrzanej zieleni pól i pastwisk, przerzniętych wodami *Wagu*, *Nitry* i *Dunaju*.

Tuż pod samym szczytem *Zaboru*, cośkolwiek wyżej od ruin klasztornych, pokazują pieczarę, w której zamieszkiwał niegdyś pustelnik *Gerard* (*Zoerarda*), który r. 1010 zmarł jako święty. Góra ta bierze nazwisko od księcia morawskiego *Zabora* (?). który

przez Madjarów w czasie ich najścia był schwytany i na téj górze powieszony.

Pod wieczór opuszczając Nitrę podążyliśmy na noc do Galgocz (Freistadt), miasteczka położonego nad Wagiem, i liczącego do 4000 mieszkańców, gdzie znaleźliśmy gościnne przyjęcie w zamku hrabiego Erdody. Hrabia podówczas był u wód za granicą, ale ponieważ był powiadomiony iż mamy przybyć, przeto przed odjazdem swoim zarządził, iż przyjęci byliśmy tak, jakby on sam w zamku przebywał. Wspaniały zamek hrabiego, zbudowany z ciosu, w przepyszném położeniu, otoczony wspaniałemi ogrodami, stanowi prawdziwie pańską rezydencyą, tém cenniejszą, że jest jedną z najdawniejszych w całym kraju. Wyborowa biblioteka, pełna przepysznych i cennych dzieł, odnoszących się do historyi Węgier, kronik, herbarzy, rozmaitych starożytnych manuskryptów i t. d., dalej nader bogaty zbiór numizmatów, medali, pięknych dzieł sztuki, jak rzeźb i obrazów, jest niezaprzeczenie cenną ozdobą tego zamku. Nadto jest tu teatr bardzo pięknie urządzone, i w ogrodach wcale piękna menażerya. Zamek ten, jak niesie tradycya, był zbudowany przez Morawian, jeszcze przed przybyciem Madjarów w te strony, i był zawsze upragnioną zdobyczą wszystkich wojowników, przebywających dolinę Wagu, do której jest kluczem. Podczas zaburzeń Rakoczego był punktem środkowym wszystkich wojennych przedsięwzięć. Głównym obronnym punktem tego zamku była wieża, mająca sześć sążni średnicy, i dziś na jej miejscu wznosi się altana, skąd roz-

tacza się prawdziwie czarujący widok na dolinę Wagu i całą zachodnią część nitrzańskiego komitatu. Na prawym brzegu rzeki, naprzeciw Galgocz, już na równinie, wznosi się forteczka Leopoldstadt, zamieszkała przez mały oddział wojska wysłanego tu na załogę z twierdzy Komorna. W forteczce téj pomieszczone więzienie karne cywilno-wojskowe, i tu zasądzoną karę odsiadywali także przestępcy polityczni z r. 1848—1849 i lat późniejszych. Galgocz z Leopoldstadtem połączony mostem 400 stóp długości. Zabawiwszy dwa dni w Galgocz i odwiedziwszy podporucznika Lubojemskiego, komendanta oddziału forteczki i mego kolegę pułkowego, ruszyliśmy z niemałym żalem w dalszą drogę przez Szered, Selye i Farkasd do Guty, skąd dnia następnego pod wieczór już stanęliśmy w murach komorniańskiej twierdzy. Towarzysz mej podróży we dwa dni później statkiem parowym podążył w dół Dunaju, śpiesząc do zagrody rodzinnej, ja zaś po trzymiesięcznej swobodzie zaprzęgnąłem się do zmudnej i nużącej służby garnizonowej, rozweselając sobie powolnie upływający czas wspomnieniami z téj pięknej podróży.

W kraju tak bogatym w rozmaite płody natury a ubogim w przemysł, zdawaćby się należało, iż handel winien być bardzo rozwinięty; jednak tak nie jest i ogranicza się on jedyniema wywozie zboża, wina i bydła rogatego; pomimo tego ubóstwa tu nie znać; od zagrodnika począwszy a skończywszy na magnacie, wszyscy są zamożni i na biedę wcale nie narzekają.

Walka, jaką Węgry za czasów mojej bytności w ich kraju prowadziły z Austryą, udowodniła wysoką polityczną dojrzałość tego narodu, co też i rezultaty téj walki wykazały, dały bowiem Węgom to, czego r. 1848 i 1849 z bronią w ręku zdobyć sobie nie mogli. W przeprowadzeniu téj systematycznej walki, tego biernego oporu, jaki na każdym kroku napotykał w Węgrzech rząd wiedeński, uwydatniała się solidarność wszystkich stanów.

Węgier, aczkolwiek dumny i niechętnie przyjmujący oświatę płynącą z zachodu, bo przyczyniającą się do jego wynarodowienia, to jednak w obejściu jest giętki i uprzejmy. Rubasznosć Węgrów, rażąca mieszkańców zachodu i dająca powód do licznych przypowieści i anegdot, nie pochodzi bynajmniej z braku oświaty; nie! jest ona wynikiem prostoduszności i nieskażonych obyczajów, któremi Węgrzy się odznaczają. W ciągu mego paroletniego pobytu w kraju Arpada, w czasie moich licznych wycieczek po kraju całym, ocierając się o wszystkie warstwy społeczeństwa, miałem sposobność poznać kraj i ludzi zamieszkujących go, a w miarę poznawania ich, coraz więcej uczyłem się ich szanować, i coraz więcej przychodziłem do tego przekonania, że lud ten, tak dziki i nieucywilizowany na pozór, w łonie swoim kryje przymioty, któremi niejeden naród mógłby się poszczycić. Węgier obłudy nie zna, a wróg najzaciętszy, przeszedłszy próg jego domu i żądający gościnności, staje się dlań ześląncem Bożym, i może być pewien, że ani słowem ani

czynem znieważony nie będzie. Osoba gościa dla Węgry jest świętą i nietykalną. Otóż pamięć téj gościnności natchnęła mnie chęcią nakreślenia tych wspomnień z wycieczek moich po Węgrzech. A pragnę óy rodacy moi z Węgrów pod każdym względem przykład brać chcieli.

KONIEC.





